GAZETAPOLSKA.PL

BANDYCKA NAPAŚĆ NA DOMY DZIENNIKARZY REPUBLIKI I „GAZETY POLSKIEJ”

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLA AŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU



SPOWIEDŹ ZBIGNIEWA ZIOBRY

Ze **Zbigniewem Ziobrą** rozmawia **Piotr Lisiewicz**

CENA **10,90 PLN** (w tym 8% VAT)
www.gazetapolska.pl
#21 (1706) 20/05/2026
indeks 320919
Numer w sprzedaży do 26.05.2026
ISSN 1230-4581

OKŁADKA: FATIK

Wspieraj Media Strefy Wolnego Słowa

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

Numer konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Fundacji Niezależne Media**

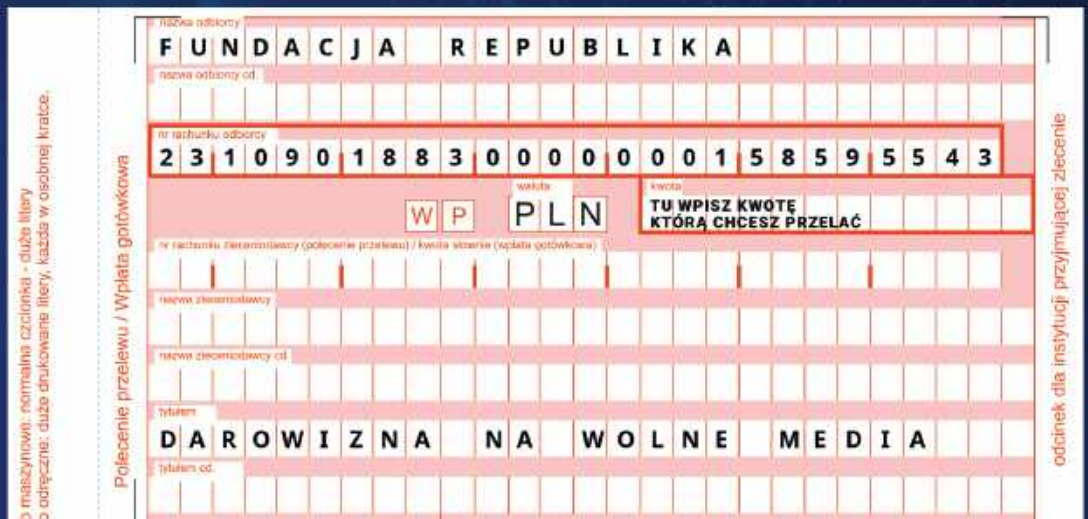
Konto do wpłat zagranicznych: PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

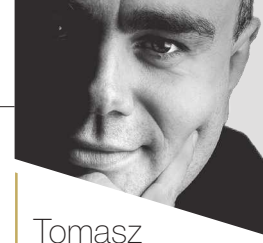
Adres: Fundacja Niezależne Media ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**
Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa





Tomasz
Sakiewicz

NAPAD

W chwili, gdy piszę ten komentarz, policja twierdzi, że ujęła jednego ze sprawców fałszywych alarmów, które przez trzy dni destabilizowały prace naszych redakcji i życie naszych rodzin. Wiara w to, że zrobił to jeden człowiek, a służby i instytucje państwowe popełniły jedynie szereg błędów, jest jak przekonanie o szczerości Donalda Tuska. Gdybym miał dokonać własnej oceny tego, co się stało, to powiedziałbym, że uruchomiono „woluntariuszy" po to, żeby wdrożyć bardzo niebezpieczny wariant najść na redakcję i prywatne domy bez stosownych zezwoleń i nakazów.

Cała Polska widziała napad dwóch osobników w mundurach policyjnych na moje biuro i jednocześnie mieszkanie w Warszawie. Posługuję się swoim przykładem, bo jest on najlepiej udokumentowany – są nagrania i świadkowie. Ale brak natychmiastowych działań, już po pierwszej groźbie ataku, jest wyraźnym tropem co do sprawców. Fakt, że maile z groźbami pod moim adresem i całej Republiki RCB rozsyłało do przypadkowych osób, a nie powiadomiło zainteresowanych, to kuriozum pokazujące, że działo się coś, co zrozumieć może tylko taki umysł jak Marcin Kierwiński. To, czy policja w moim domu działała, jak działała, bo miała rozkaz, czy też jest już po prostu w takim stanie – to kwestia ustaleń. Jedno i drugie powinno spowodować natychmiastową dymisję szefa MSWiA.

Na wszelki wypadek krótka analiza tego jednego z kilkunastu napadów.



FOT. TOMASZ SAKIEWICZ

Dlaczego w moim domu policja działała nielegalnie:

1. Nie było powodu do interwencji, gdyż pojawiające się od kilkunastu godzin ostrzeżenia na temat „zagrożeń" w naszych mediach samo RCB uznało za niskiej wiarygodności i taki komunikat wśród instytucji państwowych rozsyłało razem z jednym z oryginalnych maili; co ciekawe, tego maila nie pokazano samym zainteresowanym.
2. Była to druga interwencja tego typu pod tym samym adresem w ciągu doby, poprzednia została uznana za fałszywy alarm, co już obniżało wiarygodność. Poprzednią sprawdzono przez telefon i uznano to za dostateczne.
3. Policjanci nie mieli imienników ani numerów, widać to na zdjęciach, a posiadanie jednego z nich na mundurze jest obowiązkowe.
4. Mimo braku przewidzianych przez prawo oznaczeń policjanci do samego końca czynności odmawiali wylegitymowania się.
5. Powodem użycia siły wobec mojej asystentki był fakt, że zażądała od nich przedstawienia się. Nie przeszkadzała im nawet w tych nielegalnych czynnościach.
6. Jeżeli żądanie wylegitymowania się tak bardzo im przeszkadzało, to ja domagałem się tego dużo mocniej, a wobec mnie nie zastosowano takiego środka.
7. Asystentkę skuto rękami do tyłu, co stosuje się tylko w przypadku kogoś wyjątkowo niebezpiecznego, i w taki sposób, że doszło do uszkodzenia ciała.
8. Policja powiedziała, że uwolni moją asystentkę, jeżeli pokaże im ona dowód osobisty, co było niemożliwe, gdyż była skuta. Nosiło to cechy znęcania się.
9. Analogicznie żądania pokazania dokumentów nie zastosowano wobec mnie, chociaż nie byłem skuty.
10. Nie poproszono mnie do towarzyszenia przy oglądzie mieszkania. Policjant bez nakazu robił to sam.
11. Nie sporządzono żadnej notki ani nawet nie poinstruowano, gdzie można uzyskać informacje o interwencji.
12. Skutą asystentkę, przy dziesiątkach świadków, wyprowadzono na ulicę, a po zdjęciu kajdanek porzucono ją, mimo że była w szoku. Policjanci uciekli, do końca odmawiając podania swoich danych.

W chwili, gdy ukaże się ten numer, mam zostać przesłuchany przez nielegalną prokuraturę w sprawie Zbigniewa Ziobry. Zobaczymy… **GP**

W numerze

WYWIAD NUMERU

6 **Spowiedź Ziobry**
 # Ze Zbigniewem Ziobrą rozmawia Piotr Lisiewicz

KRAJ

20 **Hejter z PZPR i biesiadnik FSB na straży tajemnic wojska**
 # Grzegorz Wierzchołowski

24 **Koalicja 13 grudnia pomogła Iustitii przejąć KRS**
 # Grzegorz Broński

26 **Okno na świat zamknięte na kłódkę. Jak Tusk zmarnował zbożowe terminale**
 # Jacek Liziniewicz

28 **Pokolenie kredytów traci pracę**
 # Hubert Kowalski

PUBLICYSTYKA

36 **Przyzwoitość nakazuje być po stronie Ziobry**
 # Dawid Wildstein

38 **Chłopcy z ferajny. Jak partia Tuska szkodzi Polsce Wschodniej**
 # Krzysztof Wołodźko



42 **Kultury u Tuska nie będzie**
 # Jakub Maciejewski

44 **(Fajny) Budapeszt w (fajnej) Warszawie**
 # Wojciech Mucha

48 **Nowa polityka w erze sztucznej inteligencji**
 # Mateusz Matyszkowicz

ŚWIAT

50 **Ostrożny zimny pokój**
 # Maciej Kożuszek

OBRONNOŚĆ

62 **Deepfake, czyli nie wierz własnym oczom**
 # Konrad Wysocki

HISTORIA

70 **Piedimonte San Germano, czyli drugie Monte Cassino**
 # Tomasz Łysiak

KULTURA

74 **Odeszła Stanisława Celińska – artystka magnetyczna**
 # Sylwia Krasnodębska

75 **Misja – utopić „Potop”**
 # Sylwia Krasnodębska

ŚRODOWISKO

78 **Swędzący problem**
 # Jacek Liziniewicz



Bandycka napaść na domy dziennikarzy Republiki i „Gazety Polskiej”
Grzegorz Wszołek

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
15 Jacek Liziniewicz
15 Krzysztof Karnkowski
30 W INTERNETACH
40 Witold Gadowski
41 Tadeusz M. Płużański
41 Józef Wieczorek
47 Marcin Wolski
47 Tomasz Łysiak
53 WIEŚCI Z UE
57 ROSJA ABSURDEM STOI
61 TECHNIKA
62 OBRONNOŚĆ
64 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ”
73 OKIEM KAPELANA
82 PODRÓŻE
86 LISTY



87 KULINARIA
88 Katarzyna Gójska



SAFE – kasa na wybory
Piotr Grochmalski



Reżim Putina w opałach
Antoni Rybczyński



Dla Niemców nie byli ludźmi, tylko kupą gnoju
Sebastian Reńca

KUP TERAZ

Kup prenumeratę **e-wydania** Gazety Polskiej i czytaj najważniejsze teksty wcześniej niż inni!





Dziś niezależne dziennikarstwo to placówka frontowa. W świecie zdominowanym przez polityczne naciski, **Twoja prenumerata** to nie tylko dostęp do prawdy – **to realne wsparcie** dla redakcji, która nie boi się zadawać trudnych pytań.

Dlaczego warto wybrać wersję cyfrową?

Szybkość: Czytasz wcześniej niż inni.
Wygoda: Całe archiwum w Twoim komputerze, telefonie i tablecie.
Solidarność: Każda subskrypcja to „cegiełka” na rzecz wolnego słowa.

JAK KUPIĆ PRENUMERATĘ W 60 SEKUND

1. Wejdź na: **prenumerata.swsmedia.pl**
2. Wybierz pakiet **Gazety Polskiej.**
3. Opłać (BLIK, karta, przelew) **i czytaj natychmiast!**

TWOJE WSPARCIE MA ZNACZENIE

GAZETA POLSKA



Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

„Choćby na smokach wojska latające nas nie zatrwożą” – śpiewaliśmy wiele razy te słowa „Pieśni Konfederatów Barskich”. Teraz nasłano na nas współczesną wersję takowych smoków. W sposób opisany przez Władysława Broniewskiego: „Gdy pod drzwiami staną nocą i kolbami w drzwi załomocą”. Smoki przybyły nas bronić. Przed ukrytym w naszym kiblu islamskim terrorystą z pasem szahida. Albo by ratować dziecko, które w naszym domu pragnie popełnić samobójstwo. Oczywiście islamski terrorysta oraz zdesperowane dziecko istnieli w realu w tym samym stopniu, co sukcesy rządu Tuska. Byli równie realni, jak lekarze dzwoniący do pacjentów za rządów koalicji 13 grudnia. Od 13 grudnia Jaruzel prowadził wojnę z własnym narodem. W 2026 roku wjazdy na chatę pod pretekstem obrony pokazały, że Tusk też wypowiedział wojnę polskiemu (nie użyję określenia „własnemu”) narodowi, ino hybrydową. Ciekawie kombinują. Być może na ich zwolennikach takie zastraszanie zrobiłoby wrażenie. Na nas tak niespecjalnie.

Zasada jest prosta. Co cię nie zabije, to cię wzmocni. Nas jest trochę za dużo, by spełnił się pierwszy wariant. Młode pokolenie naszych dziennikarzy i reszty pracowników przeżyło teraz przyspieszony kurs tego, jak działa ubekistan. To bezcenne doświadczenie. Hartujące i budujące fanatyczną determinację, by wrogowi władzę odebrać. Kiedy robiłem happeningi Naszości, największą zaletą ich uczestników było otrzaskanie z represjami. Pierwsze zatrzymanie na komisariacie robiło na nich wrażenie. Ale piąte budziło już tylko śmiech. Podobnie ze sprawami sądowymi. Siedzenie na ławie oskarżonych denerwuje tylko za pierwszym razem. Za piątym budzi już tylko politowanie dla prymitywnej żulerii w togach i mundurach. Pokolenie Solidarności zna tego typu metody na pamięć. Dzisiaj uczą się tego nasi dwudziestoparoletni przyjaciele, kontynuatorzy idei niepodległej Polski.

Przypominam moją wersję popularnego hasła: „Murem za polskim mundurem, chyba że jest on wypełniony sowieckim



„Ziobro nie wraca, ranki i wieczory, / We łzach go czekam i trwodze. / Tusk dostał furii, pełne mam już pory / I pełno trumpowców na drodze”
tekturowy Waldemar Żurek w TV Republika



„Was po prostu nie szanuję” – powiedział o Republice Czarzasty i kamień spadł mi z serca. Gdyby się okazało, że Czarzasty szanuje, znaczyłoby to, że coś z nami jest nie tak.

szczurem”. Tyle nauczyliśmy się z pewnością, że także dla szeregowych policjantów, którzy ze złą wolą wpadali do domu Tomka Sakiewicza czy wcześniej do Rysia Majdzika, litości nie będzie. Jak ujął to genialny Marian Hemar: „Dla najemnych Judaszów bolszewickiej bestii nie będzie przebaczenia, nie będzie amnestii”. To o was.

„Stany Zjednoczone azylem dla osób podejrzanych o poważne przestępstwa, za którymi wystawiono list gończy. Nowe, nie znałam” – napisała Dominika Wielowieyska. Naprawdę? A Zdzisław Rurarz? A Romuald Spasowski? A wreszcie ten najważniejszy, Ryszard Kukliński? Odpowie Wielowieyska oburzona, że nie można porównywać, że inne czasy. Nie można by porównywać, gdy Jaruzelski trafił w III RP za kraty, a nie w objęcia redaktora naczelnego Wielowieyskiej, Adama Michnika, wykrzykującego, że go kocha, czy prezydenta Bronisława Komorowskiego, z którym leciał do Smoleńska.

„Was po prostu nie szanuję” – powiedział o TV Republika towarzysz Włodzimierz Czarzasty i kamień spadł mi z serca. Bo gdyby się okazało, że Czarzasty Republikę szanuje, znaczyłoby to, że coś z nami jest nie tak. Czarzasty to najgorszy typ sowieciarza, który wstąpił do PZPR w stanie wojennym, czyli w czasie, gdy wszyscy w miarę przyzwoici ludzie, którym nie odpowiadało na przykład zabijanie górników, z PZPR występowali. A później wykorzystał pozycję w partii komunistycznej do tego, by zostać biznesowym oligarchą. Czarzasty jest też wyjątkową kanalią w relacjach osobistych. W czasach afery Rywina, gdy Czarzasty trząsł mediami publicznymi, przyjechał wizytować jedną z lokalnych rozgłośni. Tam widząc dziennikarza o wyglądzie hipisa, zapytał go, czy działał w ZSP, na co ten energicznie zaprzeczył. „Ale pewnie pana rodzice działali? Albo ktoś z pana rodziny?” – dopytywał Czarzasty. „Nie, moja rodzina to sami porządni ludzie” – odparł hipis. Co zrobił Czarzasty? Ano to, czego nauczyli go w komunistycznej młodzieżówce. Złożył donos na hipisa do prezesa radia. Takie z pozoru błahe zachowania więcej mówią o człowieku niż polityczne manifesty.



FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA (2)

Czy są komuniści, do których można mieć szacunek? Tak, jeśli potrafili stanąć z prawdzie. List do Jaruzelskiego, który napisał po 13 grudnia wspomniany ambasador Rurarz, od dziecka komunista, w którym wygrała lojalność wobec polskości, powinien być dziś klasyką dla każdego patrioty. Pisał Rurarz: „Miałem 15 lat, kiedy wstępowałem w 1945 roku do ZWM i tylko 16 lat, kiedy wstępowałem do PZPR… wydając rozkaz użycia Wojska Polskiego przeciwko polskiemu Narodowi zapewnił Pan sobie miejsce w naszej krwawej historii jako oprawca tegoż Narodu. Gorzej nawet, bo nie tylko jako oprawca, ale także jako cynik i kłamca, a nawet komediant, który śmie szargać słowa naszego hymnu narodowego przy ogłaszaniu stanu wojennego… Jest Pan, Generale, zwykłym tchórzem, któremu łatwiej mordować bezbronnych górników niż walczyć przeciw obcej agresji… Gdyby Pan miał doprawdy żołnierski honor, to uklęknąłby Pan przed płytą Grobu Nieznanego Żołnierza i strzeliłby sobie w łeb! Może wtedy Naród wybaczyłby Panu dokonane zbrodnie”. Przypomnijmy: tuż po tym, jak Rurarz napisał te słowa, Czarzasty wstąpił do PZPR. Czy kogoś może dziwić, że tak harmonijnie układa mu się współpraca ze zdrajcą Tuskiem?

Zgodnie z obietnicą wrzucam tu wierszyki ze środowego „Piachu w tryby”, które deklamowaliśmy razem z Jakubem Maciejewskim i Wujkiem Samo Zło. Tym razem był to „Powrót Ziobry”, czyli przeróbka „Powrotu Taty” Adama Mickiewicza. W roli podmiotu lirycznego czy też „postaci mówiącej w wierszu” wystąpił Waldemar Żurek: „Ziobro nie wraca, ranki i wieczory,/ We łzach go czekam i trwodze./ Tusk dostał furii, pełne mam już pory/ I pełno trumpowców na drodze./ Pójdźcie, giertyszki, pójdźcie wszystkie razem/ Do Danzig, pod Monciak, na wzgórek,/ Na wodza klęknijcie ulicy,/ Proszę was ja, biedny Żurek./ Wtem słychać turkot, wozy jadą drogą/ I wóz znajomy na przedzie;/ Skoczyły giertyszki i krzyczą jak mogą:/ To Donald! Für Deutschland tu jedzie!/ Obaczył Donald, furię z oczu leje,/ Z wozu na ziemię wylata;/ Czemu uciekli nam z PiS-u złodzieje?!/ I dziarsko chwyta za bata!”. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**
{ RODZINA WACIAKÓW }



SPOWIEDŹ ZIOBRY

ZE ZBIGNIEWEM ZIOBRĄ ROZMAWIA PIOTR LISIEWICZ

– Finałem mojej sprawy miało być wielkie show: były minister sprawiedliwości w rządach PiS w kajdankach zespolonych, w czerwonym uniformie, jako „szef zorganizowanej grupy przestępczej”. Miałem być trofeum Tuska. Symbolem tak zwanych rozliczeń. Telenowela z Ziobrą miała być rozpisana na kolejne akty aż do wyborów parlamentarnych. Areszt. Kolejne zarzuty. Kolejne zatrzymania niewinnych ludzi: urzędników, posłów, przedstawicieli chrześcijańskich i konserwatywnych stowarzyszeń oraz fundacji. Reżyserem tego spektaklu był socjopata, a zarazem prawdziwy złodziej i przestępca Giertych, który zapowiadał, że ta sprawa doprowadzi Tuska do kolejnego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych – mówi „Gazecie Polskiej” Zbigniew Ziobro.





AMOK WŁADZY

Ataki na dziennikarzy to stały rytuał w czasie rządów Tuska. Jeśli i tym razem Tusk i jego podwładni będą bezkarni, jeśli i ta napaść na wolne media uszłaby im płazem, to posunąłby się jeszcze dalej. To pewne.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

25 lat więzienia – taki wyrok dostał niedawno ojczym zakatowanego ośmioletniego Kamilka, który rzucił dziecko na rozżarzone węgle. 25 lat więzienia według Waldemara Żurka grozi też Zbigniewowi Ziobrze. Fakt zagrożenia wysoką karą podnoszony jest jako argument za tym, że Stany Zjednoczone ukrywają szczególnie groźnego przestępcę.

Mój dziadek, polski oficer, za AK i WIN w procesie stalinowskim dostał od kuzyna Maksymiliana Sznepfa, teścia Doroty Wysockiej-Schnepf, dożywocie. Ów członek rodziny arcykapłanki tuskowej propagandy nazywał się Rajmund Sznepf i dziś w sądownictwie znalazłby godnych siebie nagrzanych naśladowców. Dlatego teraz obóz polityczny nawiązujący do tej tradycji chce dla mnie 25 lat więzienia. Tak to historia kołem się toczy… W Polsce znów mamy autorytarną władzę. Oczywiście to autorytaryzm selektywny, a nie wymierzony we wszystkich, jak w stanie wojennym. Ale mechanizm jest ten sam – jestem niszczony za to, że służyłem Polsce, działając w ramach prawa.

Jaki miał być scenariusz w Pana sprawie, gdyby nie poleciał Pan do Stanów Zjednoczonych?

Sfabrykowane i kłamliwe zarzuty byłyby tylko pretekstem do wielomiesięcznego politycznego spektaklu. Do gigantycznej nagonki, której celem się stałem. Finałem miało być wielkie show: były minister sprawiedliwości i prokurator generalny w rządach PiS – w kajdankach zespolonych, w czerwonym uniformie, jako „szef zorganizowanej grupy przestępczej”. Miałem być trofeum Tuska. Symbolem tak zwanych rozliczeń. Telenowela z Ziobrą miała być rozpisana na kolejne akty aż do wyborów parlamentarnych. Areszt. Kolejne zarzuty. Kolejne zatrzymania niewinnych ludzi: urzędników, posłów, przedstawicieli chrześcijańskich i konserwatywnych stowarzyszeń oraz fundacji. Wszystko po to, by uzasadniać partyjny, goebbelsowski przekaz Tuska: PiS – złodzieje oraz przedłużanie mojego aresztowania na długie miesiące. Reżyserem tego spektaklu był socjopata, a zarazem prawdziwy złodziej i przestępca Giertych, który w mediach już zapowiadał, że ta sprawa doprowadzi Tuska do kolejnego zwycięstwa w wyborach parlamentarnych. A zamiast triumfu wyszła kompromitacja. Oni nie wiedzieli nawet, że istnieje paszport genewski, przysługujący każdej osobie korzystającej z azylu politycznego. Miał być pokaz siły i wielkiego sukcesu przywództwa Tuska. A co wyszło? Katastrofa wizerunkowa i gang Olsena.

Jak Pan ocenia reakcję rządu na Pana wyjazd?

Oni w popłochu włączyli plan B: prowokację, odwrócenie uwagi, zemstę i zastraszanie dziennikarzy. Uderzyli w Republikę. Zwłaszcza w redaktora naczelnego, który zatrudnił mnie jako komentatora w USA, co próbują teraz wiązać z moim skutecznym wyjazdem do Stanów Zjednoczonych. Ale znowu zabrakło im wyobraźni i, powiem po młodzieżowemu, sprawę spartolili. Dziennikarzy Republiki, a tym bardziej jej redaktora naczelnego nie zastraszą, a sprawa tej prowokacji, jestem pewien, obróci się przeciwko nim. Władza, która jest słaba i ma katastrofalnie niskie kompetencje, w panice sięga po przemoc, w tym przypadku wobec redaktora Tomasza Sakiewicza. Ale ataki na dziennikarzy to stały rytuał w czasie rządów Tuska. Przecież obecne rządy rozpoczął właśnie od siłowego i bezprawnego ataku na media publiczne oraz pracujących tam dziennikarzy. A w czasie poprzednich było siłowe wejście prokuratury i ABW do „Wprost”, wcześniej zastraszenie brytyjskiego właściciela „Rzeczpospolitej” i skutkiem usunięcie redaktora naczelnego Pawła Lisickiego. Ostatnie dwa i pół roku bezkarności, łamania prawa rozzuchwaliło Tuska i pokazuje, że stać go na jeszcze więcej. Dlatego to bardzo groźna sytuacja. Jeśli i tym razem Tusk i jego podwładni będą bezkarni, jeśli i ta napaść na wolne media uszłaby im płazem, to posunąłby się jeszcze dalej. To pewne.

Jak może odnieść się do ewentualnego wniosku o Pana ekstradycję amerykański sąd? Profesor Ireneusz Kamiński, były sędzia Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, mówi, że

amerykańskie sądy odmawiają ekstradycji, jeśli jest nawet cień podejrzenia, że sprawa ma charakter polityczny.

Polsko-amerykańska umowa ekstradycyjna została zawarta w czasie, gdy byłem po raz pierwszy ministrem sprawiedliwości, i obowiązuje do dzisiaj. Przewiduje ona, że w procedurze ekstradycyjnej jednym z badanych elementów jest ewentualny polityczny charakter sprawy.

Co wskazuje na polityczny charakter Pana sprawy?

Możemy wymienić całą litanię. My, niestety, już do tego wszystkiego trochę się przyzwyczailiśmy, ale gdy rozmawiam z ludźmi z Europy czy USA, to oni słysząc te historie – jak choćby pozbawianie snu aresztowanej urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości, by wymusić na niej obciążające mnie zeznania – otwierają szeroko oczy ze zdumienia. Wydaje im się niemożliwe, że to się działo naprawdę. Albo gdy słyszą z ust wielkiego ponoć demokraty Donalda Tuska porównania PiS do nazistów. Jak opowiadał na konferencji prasowej, że będzie organizować politykom PiS procesy na wzór norymberskich, gdy sądzono niemieckich zbrodniarzy. Albo gdy Tusk publicznie oświadczył, że będzie stosować prawo nie tak, jak jest ono zapisane w ustawach, a tak, jak on je rozumie, co później jeszcze rozwijał teorią o demokracji walczącej. A przecież wiadomo, że ta teoria została stworzona przez Karla Loewensteina w reakcji na dojście do władzy przez Hitlera. Przewidywała naruszanie praw podstawowych po to, żeby zapobiec działaniom przestępczej, nazistowskiej władzy. Amerykanom w głowie się nie mieści, że premier Polski publicznie zapowiedział niszczenie największej partii opozycyjnej metodami niedemokratycznymi, brutalnymi, z użyciem przemocy i z pominięciem obowiązujących w Polsce konstytucji i prawa. Opozycja ma prawo do krytyki rządu, bo taka jest jej rola w demokratycznym państwie prawa. Tyle że my nie żyjemy już w demokratycznym państwie prawa, a w państwie nieformalnego, permanentnego stanu wyjątkowego, jak trafnie określił to jeden z konstytucjonalistów, gdzie władza sobie sama wybiera, kiedy prawo zastosuje, a kiedy nie. To wszystko nie ma nic wspólnego także ze zobowiązaniami międzynarodowymi, które Polska ratyfikowała, w tym gwarancjami uczciwego procesu. Niezawisły i niezależny od jakichkolwiek władz amerykański sędzia w procesie ekstradycyjnym to może być koszmar Tuska, a nie mój. Bo nie napisze już takiemu sędziemu na platformie X, że ma być areszt, jak zrobił to, gdy byłem w Budapeszcie.

Historia kołem się toczy... W Polsce znów mamy autorytarną władzę. Oczywiście to autorytaryzm selektywny, a nie wymierzony we wszystkich, jak w stanie wojennym. Ale mechanizm jest ten sam – jestem niszczony za to, że służyłem Polsce, działając w ramach prawa.

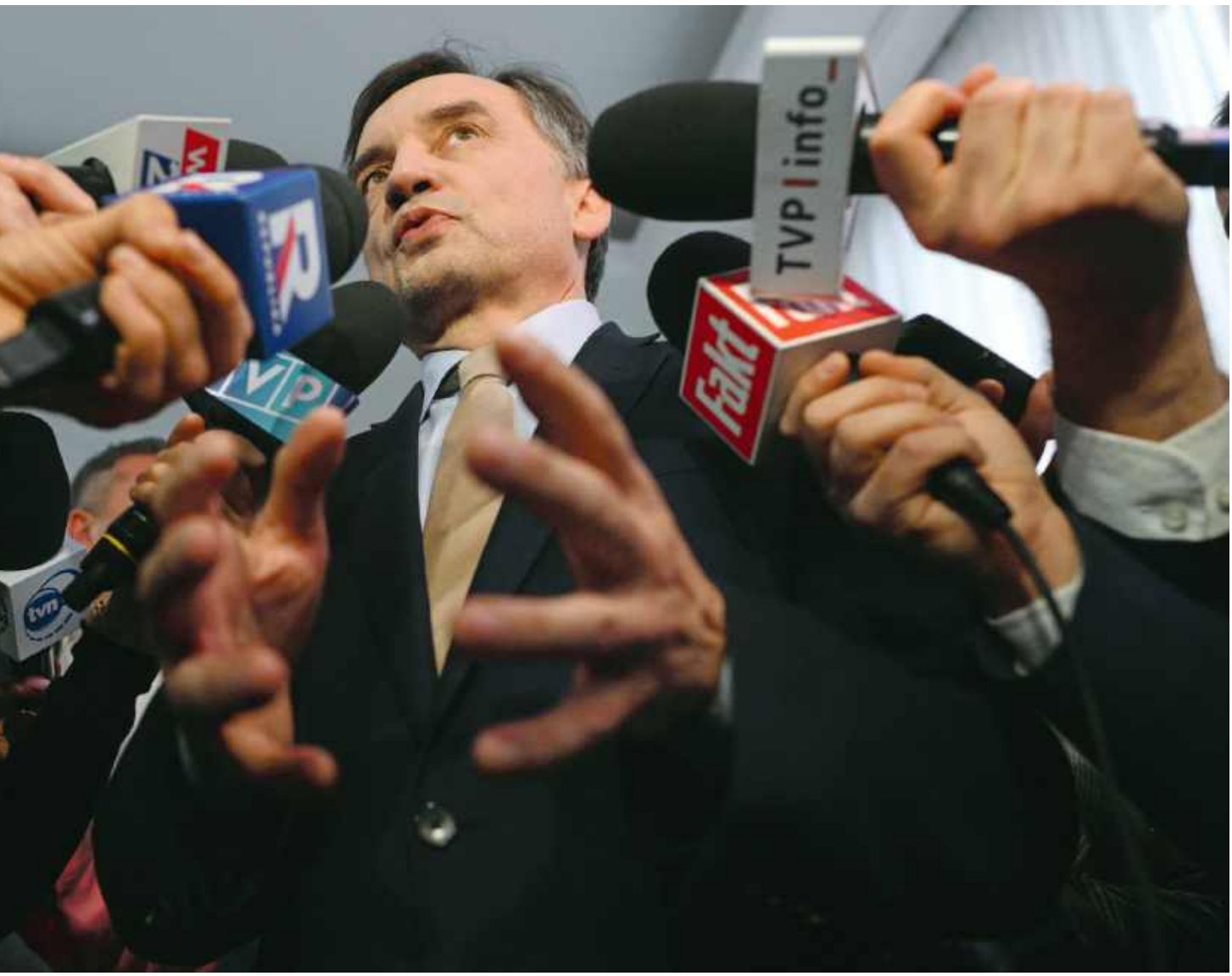
Zdaniem prokuratury Żurka kierował Pan zorganizowaną grupą przestępczą.

To jedno, wielkie kłamstwo. Nie dopuściłem się żadnych przestępstw. Takich kłamstw pojawia się coraz więcej. Ostatnio Roman Giertych – prawa ręka Tuska – sugerował, że mogłem kupić amerykańską wizę. Jego hejterzy pisali nawet, że mam 150 milionów na kontach. To tak piramidalne brednie, że może w to wierzyć tylko ktoś z dużymi niedoborami intelektu. Z Funduszu Sprawiedliwości wyposażaliśmy szpitale w najnowszy sprzęt do ratowania zdrowia i życia ludzkiego. Tomografy komputerowe, rezonanse magnetyczne, które przez lata pomagały tysiącom chorych, ale dzisiaj zaczynają porastać kurzem, bo rząd obciął limity badań diagnostycznych. Z Funduszu kupiliśmy sprzęt ratowniczy dla strażaków, który posłużył niedawno w ratowaniu ludzi i ich majątku w trakcie powodzi na południu Polski. Ze środków Funduszu zbudowano Klinikę „Budzik", gdzie wybudza się ludzi ze śpiączki. Powstała pierwsza w historii ogólnopolska



WYBIÓRCZOŚĆ

Nie żyjemy już w demokratycznym państwie prawa, a w państwie nieformalnego, permanentnego stanu wyjątkowego, jak trafnie określił to jeden z konstytucjonalistów, gdzie władza sobie sama wybiera, kiedy prawo zastosuje, a kiedy nie.



FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

sieć punktów pomocy dla ofiar przemocy. Taki ośrodek zbudował m.in. ksiądz Michał Olszewski, który za swoją działalność przesiedział ponad pół roku w kazamatach Tuska. Pieniądze pozyskane od przestępców poszły także na zakup programu Pegasus, który służył wykrywaniu rosyjskiej dywersji czy zatrzymywaniu skorumpowanych polityków, jak Sławomir Nowak.

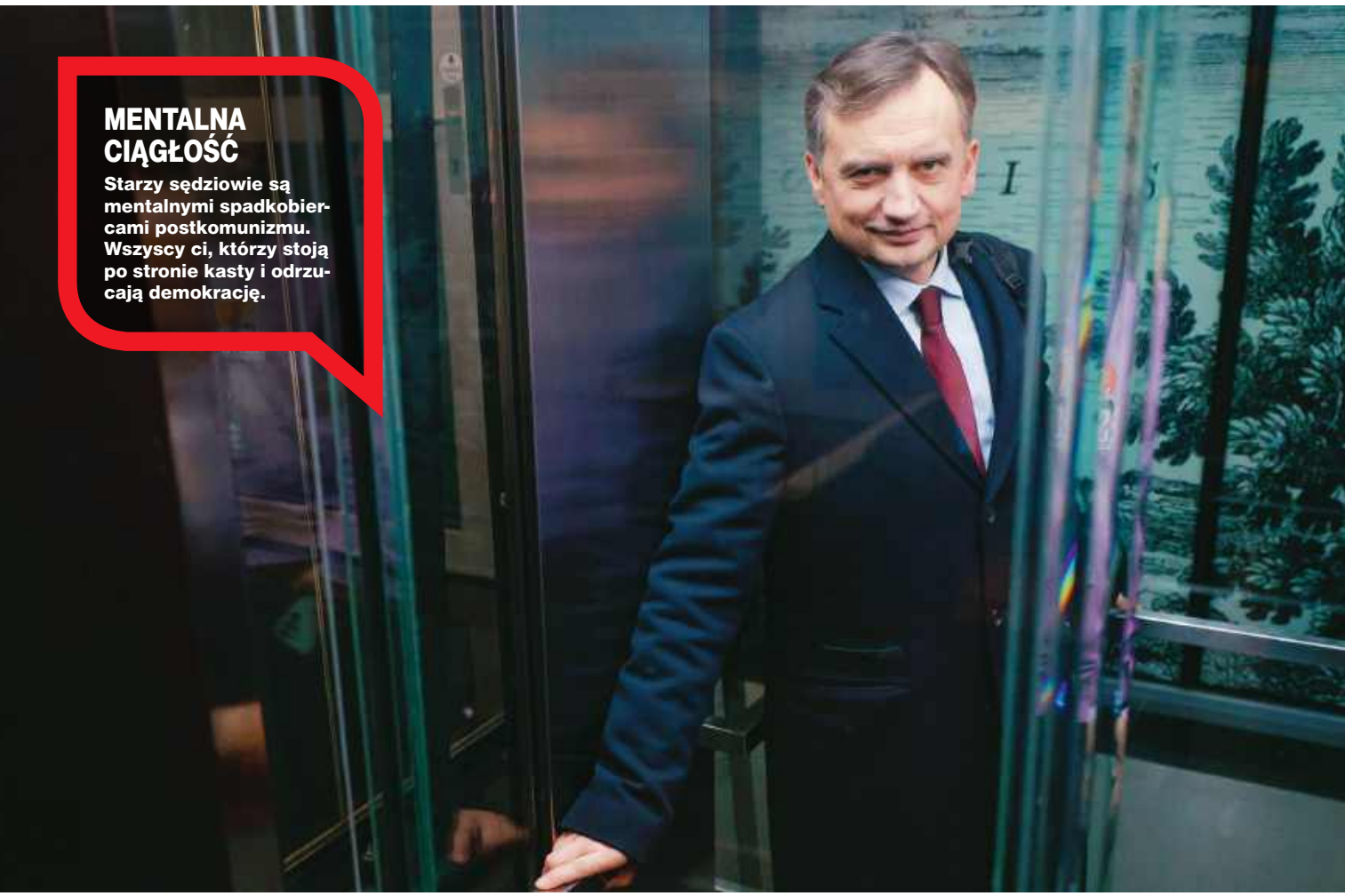
Pegasus nie służył do inwigilacji opozycji?

Oczywiście, że nie. Dzięki Pegasusowi wykrywano najcięższe przestępstwa, w tym morderstwa i akcje terrorystyczne. Plany wysadzania pociągów czy sprawę Rubcowa, rosyjskiego agenta, który zresztą opisywany był przez dzisiejsze reżimowe media jako prześladowany dziennikarz. To było najnowocześniejsze na świecie urządzenie, którego używały też Francja, Holandia czy Hiszpania. Ale przyszedł Tusk i oślepił nasze służby specjalne. I teraz słyszymy co chwilę o podpaleniach polskich przedsiębiorstw przez rosyjskich dywersantów…

Roman Giertych w rozmowie ze wspomnianą Dorotą Wysocką-Schnepf zasugerował, że mógł Pan trafić do Ameryki przez Serbię lub Amerykanie wysłali po Pana specjalny samolot.

To nie był samolot, tylko była to łódź podwodna. Wyłoniła się nagle z Dunaju, Amerykanie zamachali do mnie, odmachałem im i wskoczyłem do łodzi. Zeszła pod wodę i wypłynęliśmy na powierzchnię dopiero w Stanach Zjednoczonych, w Potomaku. Ujawniam to specjalnie dla Giertycha i Żurka (śmiech).

W mediach pojawiła się wersja, że w Stanach Zjednoczonych zatrzymał się Pan u polskiego boksera Tomasza Adamka, wychodzącego niegdyś na ring z piosenką Funky Polaka „Pamiętaj”. Adamek zaprzeczył, ale



MENTALNA CIĄGŁOŚĆ

Starzy sędziowie są mentalnymi spadkobiercami postkomunizmu. Wszyscy ci, którzy stoją po stronie kasty i odrzucają demokrację.

powiedział, że chętnie by Pana do domu przyjął.

A ja chętnie bym się z nim spotkał, choć na razie jeszcze nie mieliśmy okazji. Tomasz Adamek to wielka postać polskiego sportu. Góral, bardzo wierzący, genialny i pracowity bokser, który zdobył dwa tytuły mistrza świata. Kiedyś kandydował z list Suwerennej Polski.

W tym samym czasie dochodzi do ataków na prezesa Trybunału Konstytucyjnego, sędziów Sądu Najwyższego, z naruszeniem prawa przejęta została KRS, która wcześniej miała być nielegalna. Represjonowani są „neosędziowie". Na naszych oczach odkręcane są zmiany wprowadzane za Pana rządów.

Tyle że reformy w wersji przeze mnie zaproponowanej nie udało się w pełni wprowadzić w życie. Weta postawił prezydent Andrzej Duda. Mój projekt reformy zakładał wymianę składu Sądu Najwyższego. Głowa jest najważniejsza w każdej organizacji, w każdej instytucji. A głową w sądownictwie jest Sąd Najwyższy. To on może przewrócić wszystko do góry nogami, ale też opanować każdą sytuację kryzysową. Jego orzeczenia są ważne i trwałe. Dlatego przywiązywałem tak dużą wagę do całkowitej wymiany składu Sądu Najwyższego. Tam nie miało już być komunistycznych sędziów i tych o postkomunistycznej mentalności.

Krytykowałem wówczas chyba najostrzej weto prezydenta, ale czy nie było tak, że w tej sprawie zawiodła komunikacja pomiędzy prezydentem i ministrem?

Tak, zawiodła. Ale to była sytuacja nietypowa, bo Pan prezydent był wcześniej u mnie wiceministrem. Potem, po przegranych wyborach, prezydent Lech Kaczyński powiedział, że mogę wskazać kogoś ze współpracowników na stanowisko podsekretarza w Kancelarii Prezydenta, któremu będą podlegały sprawy prawne, a on go zatrudni. Wskazałem Andrzeja Dudę, pamiętając jego pryncypialną postawę w przeszłości. Gdy został prezydentem, nasze wizje zasadniczej zmiany w sądownictwie mocno się rozeszły. Weta Andrzeja, a potem jego projekt ustawy o SN, który został już po wecie uchwalony, a błędnie jest mi przypisywany, zamknął szansę na głęboką zmianę.

Dodajmy sprawiedliwie, że w wielu innych sprawach prezydent tę szansę wykorzystał.

Tak, prezydentura Andrzeja ma też zapewne sukcesy. Ale, niestety, zabrakło tej

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

najważniejszej zmiany. Prezydent Andrzej Duda zaproponował własną reformę, której nie jestem autorem. Dzisiejszy skład Sądu Najwyższego to nie jest, jak wspomniałem, efekt ustawy Zbigniewa Ziobry, a ustawy Andrzeja Dudy. Prezydent spróbował połączyć wodę z ogniem. Przestrzegałem, że to skończy się totalną wojną wewnątrz Sądu Najwyższego i sabotowaniem przez uratowanych wetem sędziów zmian. I tak się skończyło. Uratowane stare Izby SN „odwzajemniły się" zaraz prezydentowi Dudzie kwestionowaniem jego uprawnień jako prezydenta do powoływania nowych sędziów. Poszły skargi do TSUE, Unia Europejska to wykorzystała i w efekcie doprowadziło to do wielkich kłopotów, faktycznych sankcji itp. Podkreślam: robili to sędziowie, którzy zostali uratowani przez prezydenta Andrzeja Dudę. To dało UE pretekst do interwencji w nasz proces wyborczy, kamieni milowych, mechanizmów warunkowości i różnych form nacisku na Polskę. Natomiast zapisy dotyczące KRS, które prezydent Andrzej Duda przyjął, były bardzo dobrym rozwiązaniem, zresztą idącym w tym samym kierunku, który ja proponowałem. Istotą tego rozwiązania było to, że to demokracja, czyli – jak mawiał Churchill – system zły, ale nikt lepszego nie wymyślił, ma realny wpływ na wyłonienie trzeciej władzy. Czyli odebraliśmy władzę klice postkomunistycznej, wywodzącej się z komunizmu, którą Jaruzelski z Kiszczakiem przeforsowali przy Okrągłym Stole, oddając władzę starym układom, decydującym o awansach czy przyjmowaniu do zawodu. Odebraliśmy im tę władzę i oddaliśmy ją mechanizmowi demokratycznemu, narodowi. Nasz rzekomy autorytaryzm był wprowadzeniem demokracji. Zamiast kliki i korporacji decyduje demokracja. Nie jest to rozwiązanie idealne, ale przynajmniej przyniosło transparentność. Chociaż nadal większość składu KRS wyłaniana była spośród sędziów, ale wybieranych przez parlament. Czyli głos polityków nadal nie był tu kluczowy, jak jest w Niemczech, gdzie wyboru sędziów bezpośrednio dokonują politycy. U nas politycy parlamentarzyści wybierają wyłącznie konstytucyjny organ, który potem uczestniczy w wyłanianiu nowych sędziów.

Dziennikarzy Republiki, a tym bardziej jej redaktora naczelnego rządzący nie zastraszą, a sprawa tej prowokacji, jestem pewien, obróci się przeciwko nim. Władza, która jest słaba i ma katastrofalnie niskie kompetencje, w panice sięga po przemoc, w tym przypadku wobec redaktora Tomasza Sakiewicza.

Symbolem trwania tych układów, o których Pan mówi, była postać Igora Andrejewa. Mordercy sądowego, który skazał na śmierć gen. Augusta „Nila" Fieldorfa. Laurkę jubileuszową na jego cześć napisał prof. Lech Gardocki, pierwszy prezes Sądu Najwyższego z nadania prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Dodajmy, że Andrejewowi schlebiał także prof. Andrzej Zoll. To było jedno środowisko. To, że Zoll broni tej kasty, nie jest przypadkiem. Bronił Andrejewa, a także prof. Kazimierza Buchały, I sekretarza Komitetu Uczelnianego PZPR na UJ, członka Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa PRL Wojciechu Jaruzelskim z ramienia PZPR. Tacy ludzie mnie dzisiaj zwalczają, zarzucając mi autorytaryzm, choć sami wywodzą się z komunistycznego totalitaryzmu.

Ten postkomunistyczny układ w sądach konserwowało przez wiele lat zamknięcie zawodów prawniczych dla osób spoza kasty.

Było tak, że wąska grupa rodzinno-układowa decydowała o tym, kto może być adwokatem. Razem ze śp. Przemkiem Gosiewskim walczyliśmy o otwarcie zawodów prawniczych i z bardzo dużym udziałem Przemka dokonaliśmy tu wyłomu. Przemek był tu jak taran, jak się za coś brał, to doprowadzał to do końca, nie przejmował się atakami, szedł jak burza i wspólnymi siłami przeforsowaliśmy to otwarcie.

Mamy rok 2026. Na ile można powiedzieć, że dzisiejszy podział w sądach to jest podział na układy postkomunistyczne i nowych, młodych sędziów spoza układów?

Myślę, że to jest nadal klucz. Starzy sędziowie są mentalnymi spadkobiercami postkomunizmu. Wszyscy ci, którzy stoją po stronie kasty i odrzucają demokrację. Źródłem władzy sądowniczej jest naród i wyobrażam sobie sytuację, w której będzie on nawet bezpośrednio wybierał sędziów. Dziś dzieje się to z bardzo pośrednim udziałem parlamentarzystów. A kasta chce, żeby decydowali wciąż ludzie, którzy nie mają mandatu demokratycznego. Ludzie spółdzielni, kasty – jak sami siebie nazywają. Tacy, którzy wiedzą lepiej niż naród z racji swojej rzekomej elitarności. Prowadzi to do korupcji, układów, degrengolady. Zdobyczą reformy KRS było to, że jej prace odbywają się jawnie. Sędziowie przechodzą procedurę, którą wszyscy mogą oglądać w transmisji online. Dawny, układowy, KRS działał w tajemnicy. Nikt nie wiedział, jakie są przesłanki podejmowanych decyzji, motywacje, kto jak głosował.

Powiedzmy jeszcze o źródłach złego stanu sądownictwa. Sędziowie, którzy nie mieli oporów, by tuszować zbrodnie komunistyczne, tym bardziej nie mieli ich, by uniewinniać postkomunistycznych oligarchów. Bo to była mała niegodziwość w porównaniu do wcześniejszej.

Tak było! Sędziowie w Sądzie Najwyższym wybielali komunistycznych zbrodniarzy, Jaruzelskiego, stan wojenny i nie było w tym żadnego przypadku, to wszystko było przemyślane. Nie można odmówić Kiszczakowi inteligencji. To była przemyślana operacja z udziałem, niestety,

prof. Adama Strzembosza, który ten stan rzeczy zaakceptował. Zostali dobrani sędziowie, którzy byli uwikłani w komunistyczne bagno. Tacy, którzy zagwarantują komunistom bezkarność. A ta bezkarność budziła moralne zło, degrengoladę gwarantującą postkomunistom bezkarność w czasach współczesnych. Reforma KRS była więc słuszna, ale żeby się do końca udała, trzeba było oczyścić Sąd Najwyższy. Oczyścić zarówno z komunistów, jak i z ludzi mających wobec nich dług wdzięczności za awanse.

Porozmawiajmy o tym, co było błędem Ziobry, przynajmniej zdaniem wielu osób z obozu niepodległościowego. Instytucja świadka koronnego, która miała pomóc w walce z przestępczością, jest w realiach sądów i prokuratury III RP nadużywana. Pan przyczynił się do poszerzenia znaczenia tej instytucji. Czy dzisiaj zrobiłby Pan wszystko tak samo?

Precyzyjnie to jednak nie ja, bo świadek koronny to instytucja wprowadzona w czasach AWS. Wszędzie na świecie, gdzie ją zastosowano, przyniosła naprzód spektakularne sukcesy w walce z mafią. Dość wymienić Włochy czy USA, ale potem też się wynaturzała w praktyce. Dlatego wprowadzano ograniczenia w jej stosowaniu, czy to na drodze orzecznictwa, czy legislacji. W Polsce rzeczywiście tego zabrakło. Uporządkujmy, że za wprowadzeniem tej instytucji pod koniec rządów AWS stał minister Marek Biernacki. Myśmy później tę instytucję popierali i wzmacniali. Widząc, jakiej patologii uległa w niektórych sprawach, poszedłbym drogą amerykańską. W Stanach Zjednoczonych świadek koronny, przestępca, jeśli nie ma innych twardych dowodów popierających jego twierdzenia, nie jest uznawany za wiarygodnego. Potrzebne są obiektywne dowody potwierdzające jego narrację. A jeśli zostanie złapany na kłamstwach w jakimś wątku, to całkowicie podważa to jego wiarygodność we wszystkich innych. I to jest logiczne i powinno mieć też zastosowanie do tzw. małego świadka koronnego. Bo powiedzmy sobie szczerze, przestępcy



to nie są ludzie, których uczciwość można z góry domniemywać.

Prawo w tej sprawie powinno być zmienione?

Z całą pewnością tak. W Polsce obowiązuje swobodna ocena dowodów. Pozytywną rolę mogłoby tu odegrać mądre orzecznictwo Sądu Najwyższego. On może nadawać kierunek interpretacji dowodów, gdy jedynym dowodem są zeznania świadka koronnego. Ale gdy chodzi o stronę ustawodawczą, też pewne zmiany powinny tu nastąpić, ponieważ praktyka doprowadziła do patologizacji tej instytucji. Chociaż na początku były dobre intencje, a nawet dobre skutki, jak rozbicie mafii pruszkowskiej. Nie można odmówić dobrych stron tej instytucji, ale każda instytucja może zostać wypaczona i niewątpliwie do tego tu doszło. Przestępcy zbyt łatwo chcą kupić sobie bezkarność czy w przypadku małych świadków koronnych dobrodziejstwo złagodzenia kary. Nierzadko kłamią, a jeśli mamy przy tym prokuraturę, która działa dla celów pozaprawnych, można robić z tego łatwy użytek. Mamy przykład świadka, który obciążył Tuska i jego syna. Chodziło o słynne 600 tys. euro w reklamówce Biedronki. Ja zachowałem w tej sprawie ostrożność. Nie byłem pewien, jaka jest prawda, i nie zdecydowaliśmy się na zarzuty w tej sprawie. Po drugiej stronie nie widzę takiej ostrożności. Tusk w sprawie Zondacrypto powołuje się na informacje z ABW, że to Rosja stoi za Zondacrypto. A okazuje się, że źródłem tych rewelacji jest człowiek, który obciążył jednocześnie oskarżeniami o łapówki Kosiniaka-Kamysza, Bodnara, Siemoniaka i Kierwińskiego. Tusk działa w takich

FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM



SILNY SOJUSZ

Jeżeli nie chcemy, żeby w wyniku wojny ginęły polskie dzieci, kobiety, a przede wszystkim polscy mężczyźni na froncie, to rozsądek nakazuje pielęgnować dziś sojusz z Ameryką. A Tusk ciągle atakuje Stany Zjednoczone.

sprawach wybiórczo. Powoływał się na małego świadka koronnego, jako najbardziej wiarygodnego, gdy zeznał on, że za nagraniami w „Sowie i Przyjaciołach" stały rosyjskie służby. Czyli że rzekomo PiS współpracował z Rosjanami. Ale gdy w odpowiedzi na to ujawniłem zeznania tego samego świadka koronnego, który bardzo szczegółowo opisał, jak wręczał synowi Tuska pieniądze na potrzeby kampanii wyborczej, przestał być superwiarygodny. Tak samo dziś Tusk traktuje zeznania w sprawie Zondacrypto.

Kolejna sprawa, za którą jest Pan krytykowany w obozie niepodległościowym, to nieskuteczne śledztwo smoleńskie.

Tu się nie zgodzę. Byliśmy skuteczni na tyle, na ile pozwoliła sytuacja, w której postawił nas Tusk, oddając śledztwo Rosjanom. To nasi prokuratorzy ustalili, że Rosjanie świadomie doprowadzili do katastrofy. Zdjęliśmy odpowiedzialność z polskich pilotów, a taka była przecież wersja Klicha. Ustaliliśmy, że polscy piloci świadomie, umyślnie wprowadzani byli w błąd. Zamach mógł dokonać się poprzez świadome naprowadzanie na zderzenie pilotów, którzy wierzyli danym podawanym przez rosyjską wieżę kontrolną. To ustaliliśmy na 100 procent. Co do materiałów wybuchowych, to został powołany międzynarodowy zespół ekspertów, który z racji braku dostępu do głównego dowodu, czyli wraku, za moich czasów odpowiedzi nie udzielił. Za sprawą wybuchów stoją też mocne przesłanki, ta wersja jest jeszcze przedmiotem śledztwa. A więc sprawa dalej jest otwarta. Niemniej zaniechanie Tuska, który oddał śledztwo Moskwie, przełożyło się fatalnie na możliwość pewnych ustaleń.

Z Funduszu Sprawiedliwości wyposażaliśmy szpitale w najnowszy sprzęt do ratowania zdrowia i życia ludzkiego. Kupiliśmy sprzęt ratowniczy dla strażaków, który posłużył niedawno w ratowaniu ludzi i ich majątku w trakcie powodzi na południu Polski. Ze środków Funduszu zbudowano Klinikę „Budzik", gdzie wybudza się ludzi ze śpiączki.

Nie udało się też ustalić sprawców spalenia Jolanty Brzeskiej, warszawskiej działaczki lokatorskiej. Działacze lokatorscy mówią, że nawet jeśli mogą zrozumieć, że sprawców zbrodni zatuszowanej za innych rządów nie udało się znaleźć, to nie zostali też ukarani ci, którzy od początku tuszowali tę zbrodnię.

Sprawcy trzeba udowodnić winę, a nie tylko mieć bardzo poważne przypuszczenia. Jeżeli ktoś zawali śledztwo na wczesnym etapie, kiedy dowody są w zasięgu ręki, to nie zawsze jest tak jak w filmie, że udaje się tę sprawę doprowadzić do końca. Za naszych czasów ustaliliśmy wiele ważnych nowych poszlak, ale nie były one wystarczające, żeby przed sądem obronić akt oskarżenia i doprowadzić do skazania. Niestety, łańcucha poszlak, którego dla przypisania winy bezwzględnie wymaga obowiązujące prawo, nie udało się zamknąć. W sprawie księdza Blachnickiego udało się za moich czasów doprowadzić do przełomu, dzięki prokuratorowi prowadzącemu sprawę, i udowodnić, że ponad wszelką wątpliwość było to zabójstwo wspaniałego kapłana, twórcy ruchu oazowego. Udało się wykazać, że został otruty, i uprawdopodobnić z bardzo wysokim prawdopodobieństwem, jak został otruty. Udało się zebrać poszlaki, które wskazywały na sprawców – dwoje agentów PRL, działających na polecenie swych komunistycznych mocodawców. W tym kobietę, której fundacja dostawała potem dotacje od Rafała Trzaskowskiego jako prezydenta Warszawy. Ale bardzo dobry prokurator prowadzący to postępowanie, jak dotąd, nie zdecydował się na zarzuty i akt oskarżenia, bo nie ma najwyraźniej przekonania, że po latach wykaże przed sądem, ze stuprocentową pewnością, kto jest sprawcą. Podobnie było w sprawie Jolanty Brzeskiej.

A co z tymi, którzy jako przedstawiciele państwa tuszowali tę zbrodnię?

Platforma Obywatelska odchodząc od władzy, drastycznie skróciła okres przedawnień. Przestępstwa niedopełnienia obowiązków w momencie, kiedy my prowadziliśmy śledztwo i ustaliliśmy fakty w tej sprawie, niestety się przedawniły. Oni celowo skrócili ten okres. To była de facto forma ukrytej amnestii dla wszystkich sprawców tego rodzaju zaniechań i niedopełnień. Udało nam się jednak powołać komisję śledczą ds. reprywatyzacji – to była misja Patryka Jakiego i Sebastiana Kalety, którzy powstrzymali proces wyrzucania ludzi z kamienic. Doprowadziliśmy też do odzyskania wielu budynków i zaprzestania patologii bezkarności czyścicieli kamienic.

Portal Wirtualna Polska pisze, że przez wyjazd do Stanów Zjednoczonych jest Pan obciążeniem dla PiS-u.

Rozumiem, że według tego portalu na korzyść PiS byłoby, gdyby Tusk okazał się człowiekiem sukcesu i sprowadził mnie do zakładu karnego w czerwonym stroju, przy kamerach TVN i TVP w likwidacji. I przykrywał kolejnymi fałszywymi zarzutami dla mnie i innych osób nieudolność swoich rządów, na przykład sytuację w służbie zdrowia i wszystkie inne swoje porażki.

Pana wyjazd do Stanów Zjednoczonych stał się kolejnym pretekstem do ataków Donalda Tuska, a także Włodzimierza Czarzastego, na naszego najsilniejszego sojusznika.

Te ataki od dłuższego czasu, a nie od mojego wyjazdu, przybierają już charakter napaści, jak kwestionowanie lojalności naszego sojusznika na wypadek wojny. Jeśli Putin kogoś się boi, to Stanów Zjednoczonych. Jeżeli nie chcemy, żeby w wyniku wojny ginęły polskie dzieci, kobiety, a przede wszystkim polscy mężczyźni na froncie, to rozsądek nakazuje pielęgnować dziś sojusz z Ameryką. A Tusk ciągle atakuje Stany Zjednoczone. Żurek powołał nawet na szczeblu Prokuratury Krajowej zespół do badania afery Epsteina, choć nie ma tam śladu informacji, by skrzywdzone zostało jakieś polskie dziecko.

W sprawie afery kłodzkiej aż takiego zapału nie widać.

Tu nie ma specjalnego zespołu prokuratorskiego. Natomiast kłamliwe atakowanie Trumpa w sprawie afery Epsteina stało się od miesięcy specjalnością Romana Giertycha, po to by obrzydzić Polakom Stany Zjednoczone. To jest zresztą specjalność zarówno niemieckiej, jak i rosyjskiej agentury w Polsce.

Bardzo pracowałem ze swoimi ludźmi nad tym, by budować wspólnotę wartości. Suwerenność czy wartości chrześcijańskie to nie były dla nas puste słowa. Myślę, że miałem jakiś skromny udział w tym, że dziś w ramach PiS są zwartą, wartościową i bardzo sprawną medialnie drużyną.

Jak Pan patrzy dziś na rolę polityków dawnej Solidarnej Polski, którzy w ramach PiS wspierają dziś Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera?

Bardzo pracowałem ze swoimi ludźmi nad tym, by budować wspólnotę wartości. Suwerenność czy wartości chrześcijańskie to nie były dla nas puste słowa. Myślę, że miałem jakiś skromny udział w tym, że dziś w ramach PiS są zwartą, wartościową i bardzo sprawną medialnie drużyną. Ważna była dla nas walka z ingerencją Berlina w sprawy polskie. Zachęcałem moich przyjaciół z SP do aktywności, do brania byka za rogi, nawet sam rezygnując z niektórych wystąpień w Sejmie, by budować drużynę. Tak widziałem swoją rolę jako lidera. Dzisiaj świetnie służy to Polsce, a w ramach Prawa i Sprawiedliwości nadaje mu podobny kierunek. Pamiętam na przykład, jak namawiałem Janka Kanthaka, którego wielki talent dostrzegłem, by rozpoczął aktywność na YouTube. A takich ludzi bardzo utalentowanych i pracowitych w dawnej SP było wielu. I dzisiaj mają ogromne zasięgi, oddziaływanie na myślenie wielu Polaków i wpływają też na inicjatywy PiS-u, wszystko dla Polski.

Przez chorobę powierzył Pan kierowanie Solidarną Polską Patrykowi Jakiemu.

Diagnoza, jaką usłyszałem od lekarzy, była taka, że mam większe szanse na spotkanie ze świętym Piotrem niż na dalsze działanie w polityce. Patryk, którego bardzo cenię, był najbardziej wyrazistą osobą w tamtym momencie, której mogłem powierzyć Solidarną Polskę, i do tego bardzo pracowitą. Decyzji kolegów, by wstąpić do PiS, mogłem się oczywiście przeciwstawić, ale tego nie zrobiłem i uszanowałem ją. Dziś wspieram ich działania, jesteśmy w stałym kontakcie, uważam, że są ważną częścią tej partii.

Wyobraźmy sobie, że w 2027 roku PiS wraca do władzy, być może w jakiejś koalicji. I Ziobro wraca do Ministerstwa Sprawiedliwości. Czym by się Pan zajął?

Myślę, że będzie wtedy wspólna wola dokonania takich zmian, które nie pozwolą nigdy powtórzyć zbrodni, jakich dopuszczają się dziś na polskim państwie Donald Tusk i jego przyboczni. Nie może być więcej wahania, szukania kompromisów, wycofywania się ze zmian. Byłoby zdradą Polski, gdyby po raz kolejny dokonano jakiejś grubej kreski, zamiast prawdziwych reform. Pod presją Berlina czy Brukseli. Musimy zrealizować to, co jest dobre dla Polski. A częścią tego jest rozliczenie grupy, która dziś niszczy Polskę i dopuściła się zamachu stanu. **GP**

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }



Jacek **Liziniewicz**

CIENKA GRANICA

Nawet najtwardszy elektorat ma swoje granice wytrzymałości. To taka cienka – niedostrzegalna – linia, po której przekroczeniu nic już człowieka nie przekonuje. Taki wyborca, owszem, może nie będzie od razu głosował na przeciwników politycznych, ale częściej po prostu dostrzegał, że i ci „moi" są marni. Widzi, że nie warto za nikogo w Sejmie umierać. Politykom wydaje się, że nic to nie zmienia. Szczególnie tym rządzącym. Nie jest przecież tak, że stracili głos. A że ktoś nie będzie tak gorliwy, aby wieszać plakaty i banery? Wynajmiemy ludzi i efekt będzie taki sam. To jednak złudne. Jest bowiem różnica między głosowaniem ze wstydem a popieraniem kogoś z pełnym przekonaniem i entuzjazmem. Sprawa Zbigniewa Ziobry może się okazać jednym z kamyczków. Miało być przecież inaczej. Państwo miało być profesjonalne. Miało wymierzyć sprawiedliwość. Później celem Tuska zostało naprawienie krzywd i pojednanie Polaków. Tymczasem z całej sytuacji z wyjazdem do USA wychodzi na to, że państwo razi amatorszczyzną na każdym poziomie. Dodatkowo brak profesjonalizmu polityków sprawia, że w zasadzie wniosek do USA o ekstradycję grozi jedynie dalszą kompromitacją. Będą więc ścigać Ziobrę, napinać się, ale właściwie będzie to robienie z własnych wyborców idiotów. I to niezależnie od tego, ile wygłoszą przemówień o szczurach uciekających z tonącego statku. Wyborcy to widzą. Ich entuzjazm słabnie. Markowanie rozliczeń musi boleć, bo to najważniejsza z obietnic koalicji 13 grudnia. Utknęli, a kadencja się kończy. Bynajmniej nie oznacza to, że nagle prawica zacznie ich miażdżyć. Po prostu pojawia się szansa w postaci demobilizacji w obozie przeciwników. Ale najlepszą okazję trzeba umieć wykorzystać. **GP**

Będą ścigać Ziobrę, napinać się, ale właściwie będzie to robienie z własnych wyborców idiotów.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }



Krzysztof **Karnkowski**

BRYTYJSKA LEKCJA

Wybory regionalne w Wielkiej Brytanii nie rozpaliły u nas takich emocji jak te na Węgrzech. Oczywiście odnotowali je niektórzy prawicowi publicyści, bo i z punktu widzenia prawicy te brytyjskie wyniki są bardzo interesujące. Zwłaszcza gdy spojrzy się na nie dość powierzchownie. Cóż, na Węgry też patrzymy powierzchownie i nie ma się co dziwić, krajowa polityka zajmuje nas na tyle skutecznie, że trudno o to, by każdy był specjalistą od specyfiki poszczególnych krajów. Nawet tych, które uważamy za sojusznicze lub jakoś duchowo z nami spokrewnione. Gdy popatrzymy na liczbę głosów, zobaczymy, że Orbán nie przegrał sromotnie z Magyarem, dobiła go jednak jego własna ordynacja wyborcza. Tak samo jak kiedyś Saakaszwilego. W Zjednoczonym Królestwie skala porażki Partii Pracy wydaje się wielka, bo wielki był jej sukces w wyborach parlamentarnych – ale tam też różnice w głosach nie były tak wielkie, swoje zrobiły jednak JOW-y. Swoją drogą kilka lat temu wpadła mi w ręce jakaś „dorosła" kontynuacja przygód kultowej dla młodzieży lat 90. postaci Adriana Mole'a i tam właśnie można było prześledzić, jak okręgi jednomandatowe odbierają wielkiej grupie ludzi reprezentację. Cóż, tak się umówili, więc tak mają, jedni i drudzy. Tak czy inaczej Partia Pracy dostała łomot, tyle że nie konserwatyści na tym skorzystali, a zyskała partia Reform UK Farage'a. Konserwatyści przestali stanowić alternatywę, ponieważ byli niewiarygodni w kwestiach polityki migracyjnej, a i brexit za ich rządów okazał się bezobjawowy, niczym sam ich konserwatyzm. Import ludności wzrósł, ekoszaleństwo wręcz przyspieszyło. PiS boryka się z podobnymi zarzutami. I choć są one dużo mniej zasadne, warto wymyślić konkretną strategię polemiki z nimi (wystarczą fakty, determinacja i trochę pokory), by nie powtórzyć losu partii, z którą tworzył przecież jeszcze nie tak dawno koalicję w Parlamencie Europejskim. **GP**

Partia Pracy dostała łomot, tyle że nie konserwatyści na tym skorzystali, a zyskała partia Reform UK Farage'a.



Grzegorz
Wszołek
albicla.com/GrzegorzWszolek

BANDYCKA NAPAŚĆ NA DOMY DZIENNIKARZY REPUBLIKI I GAZETY POLSKIEJ

TOMASZ SAKIEWICZ I MEDIA STREFY WOLNEGO SŁOWA NA POLICYJNO-PROKURATORSKIM CELOWNIKU

Pierwszy raz w III RP doszło do zmasowanego najścia funkcjonariuszy policji na mieszkania dziennikarzy Republiki i „Gazety Polskiej" – wszystkie przeprowadzono na podstawie fałszywych alarmów zgłoszonych do służb. – Oni są zdolni do wszystkiego – mówi redaktor naczelny „Gazety Polskiej" Tomasz Sakiewicz, do którego domu wtargnęła warszawska policja i skuła kajdankami jego asystentkę. Czegoś takiego jeszcze w polskich mediach nie było.

Gdy ogłoszono, że Zbigniew Ziobro od czasu do czasu będzie występował w konserwatywnej stacji po przylocie do Stanów Zjednoczonych z Węgier, zaczęły się niepokojące incydenty przed siedzibą telewizji. W środę 13 maja pojawiły się tam radiowozy policyjne, a nawet wóz strażacki. Komenda Stołeczna Policji w rozmowie na żywo w Republice potwier-



SAKIEWICZ:
„Uważam, że istnieje prawdopodobieństwo nie tylko postawienia mi zarzutów, lecz nawet aresztowania, bo mamy do czynienia z politykami zdolnymi do wszystkiego. W kręgach rządowo-prokuratorskich panuje istny amok, nie liczą się przepisy prawa i jakiekolwiek standardy”.

FOT. JOANNA GRABARCZYK

działa fakt prowadzonych czynności, nie ujawniała jednak szczegółów. „Policjanci interweniowali przy Placu Bankowym w związku z informacją, która się pojawiła. Dotyczyła ona potencjalnego zagrożenia. W tego typu przypadkach zadziałali proceduralnie poprawnie i standardowo, czyli policjanci pojechali na miejsce, nie potwierdzili zagrożenia” – przekazał Wirtualnej Polsce oficer prasowy Komendanta Rejonowego Policji Warszawa I, mł. asp. Jakub Pacyniak.

Hybrydowy atak na dziennikarzy Republiki i „Gazety Polskiej”

– Mieliśmy nawet cztery wydarzenia w tej chwili dotyczące osób związanych z redakcją Republiki, z czego dwa incydenty wymagały znajomości prywatnych danych. A ponieważ nastąpiły w jednym czasie, szczerze wątpię, że nie były skoordynowane. Wyglądało to na próbę wywołania napięcia czy zastraszenia naszych dziennikarzy i redakcji. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że jest to też przestępstwo. Wedle tych informacji, których miała udzielać policja, przed siedzibą Republiki było poważne zagrożenie. Straż Pożarna w tamtym momencie mogła być potrzebna, gdyby informacja przekazana służbom była oczywiście prawdziwa. Żeby była jasność: nie mamy żadnych pretensji do strażaków i policjantów, ponieważ zachowują się standardowo w takich sytuacjach. Pytanie, kto wznieca takie alarmy i w jakim celu. I kto dysponuje danymi, które umożliwiają ataki na naszych dziennikarzy? Niestety, mamy tu jak najgorsze przypuszczenia. Dokładnie w tym samym czasie był wyświetlany stary reportaż w TVN24 atakujący Republikę na podstawie wyssanych z palca bzdur. Doskonale widać zatem zorkiestrowany atak na naszą telewizję – opowiada Tomasz Sakiewicz o tym, co wydarzyło się 13 maja na Placu Bankowym w Warszawie.

Na tym nie koniec. Policja weszła do warszawskiego domu redaktora naczelnego „Gazety Polskiej”. Miało to związek z innymi fałszywymi zawiadomieniami do służb o ładunkach wybuchowych, próbach samobójczych lub dziecku pozostawionym bez opieki, do których to incydentów miało dochodzić w lokalach Republiki, „Gazety Polskiej” i domach dziennikarzy mediów Strefy Wolnego Słowa. Wszędzie tam zjawiali się funkcjonariusze policji. 15 maja policjanci siłowo wtargnęli do domu Sakiewicza i skuli kajdankami jego asystentkę. Nie wylegitymowali się i nie wyjawili powodów interwencji. W tym samym czasie legitymowano osoby, które wchodziły i wychodziły z siedziby Republiki.

Warto zacytować komunikat Komendy Rejonowej Policji Warszawa II – ukazał się on w ubiegły piątek. Zamiast przeprosić i przyznać się do pomyłki, funkcjonariusze kłamliwie oskarżyli Republikę o podawanie nieprawdziwych informacji na temat zajścia. „Policja została powiadomiona, że w mieszkaniu pod tym adresem znajduje się osoba, której zachowanie zagraża jej życiu. Informacja taka zgodnie z przyjętymi zasadami otrzymała najwyższy priorytet, a na miejsce niezwłocznie skierowany został patrol Policji. Informacja dotycząca realnego zagrożenia czyjegoś życia stanowiła również powód, dla którego policjanci podjęli decyzję o wejściu do lokalu. Funkcjonariusze zastali w nim kobietę, która nie chciała się przedstawić i współpracować z policjantami. Na czas wyjaśnienia sytuacji, mając na uwadze bezpieczeństwo zarówno jej, jak i swoje, policjanci zastosowali wobec tej osoby kajdanki. Zebrane przez funkcjonariuszy informacje i weryfikacja zastanej na miejscu sytuacji pozwalają na stwierdzenie, że wiadomość o zagrożeniu czyjegoś życia była nieprawdziwa i najprawdopodobniej miała na celu wprowadzenie w błąd jej odbiorcy i służb ratunkowych. Po przeprowadzeniu niezbędnych ustaleń policjanci zakończyli interwencję. Nikt nie został zatrzymany” – czytamy. Do piątkowego popołudnia było co najmniej kilkadziesiąt tego typu fałszywych alarmów. Służby niczego nie weryfikowały – z chwilą zamknięcia numeru nie wiadomo, kto konkretnie odpowiada za zorganizowaną akcję nękania Republiki i „Gazety Polskiej”. Anonim w fałszywych donosach podpisywał się jako Jan Adriański i wysyłał maile do służb ze skrzynki Gmaila.

Strategię represjonowania konserwatywnych mediów kontynuował minister spraw wewnętrznych i administracji, który zasugerował, że powinniśmy być wręcz wdzięczni służbom za reakcję na fałszywe doniesienia – szczególnie skuta bez powodu kajdankami asystentka redaktora Sakiewicza. „Służby podległe MSWiA nie prowadzą działań wobec jakiegokolwiek medium. Reagują na sygnały o potencjalnym niebezpieczeństwie i zagrożeniu życia. Nie ponoszą odpowiedzialności za fałszywe

zgłoszenia tak samo, jak za tych, którzy chcą to wykorzystać jako oręż w politycznej walce" – napisał Marcin Kierwiński na platformie X. W obronę dziennikarzy Republiki wzięli m.in. Jarosław Kaczyński i Krzysztof Bosak. „Systematycznie uderzają w filary demokracji: wolność i niezależność. Dzisiaj na celowniku znalazły się media demaskujące obłudę i kłamstwa ich rządu. Chcą zastraszyć! Chcą zniszczyć" – napisał w mediach społecznościowych prezes PiS. Zdaniem Bosaka „wtargnięcie Policji do mieszkania redaktora Tomasza Sakiewicza i nieuzasadnione skucie jego asystentki jest skandalem, który musi zostać wyjaśniony, podobnie jak wszystkie wcześniejsze i mniej medialne interwencje wobec innych dziennikarzy czy pracowników". Poseł Grzegorz Płaczek zaapelował do MSWiA i ABW o pilną reakcję w związku z nękaniem dziennikarzy Republiki i „Gazety Polskiej". „W demokratycznym państwie prawa niedopuszczalne jest tworzenie atmosfery strachu wobec środowiska dziennikarskiego tylko dlatego, że prezentuje poglądy niewygodne dla obecnej władzy lub dominującego nurtu medialnego. Każda próba wywierania wpływu na media poprzez działania zorganizowane czy nękanie powinna spotkać się z natychmiastową reakcją państwa i odpowiednich służb" – argumentował poseł Konfederacji. Takich reakcji, na szczęście, było więcej. Przed siedzibą Republiki 15 maja zgromadził się w geście solidarności tłum ludzi, natychmiast reagując w związku z bezpardonowym atakiem na dziennikarzy.

Z kolei na 20 maja (czyli dzień, w którym ukazuje się ten numer „GP") zaplanowano przesłuchanie w prokuraturze w charakterze świadka Tomasza Sakiewicza. Ma to związek z wylotem Zbigniewa Ziobry do Stanów Zjednoczonych. Pod wezwaniem podpisał się Piotr Woźniak – śledczy zdegradowany za rządów PiS, który dziś prowadzi śledztwo w sprawie Funduszu Sprawiedliwości. Ponad dekadę temu odpowiadał m.in. za aresztowanie Piotra Staruchowicza „Starucha", gniazdowego Legii Warszawa, którego prawomocnie uniewinnił sąd. Z inicjatywy Woźniaka trzy lata w areszcie bez wyroku przesiedział inny kibic stołecznego klubu, Maciej Dobrowolski, którego kuriozalny proces w sprawie narkotykowej nadal trwa.

O planach nielegalnie przejętej prokuratury opowiadał podający się za prokuratora krajowego Dariusz Korneluk. „Uwzględniamy informacje, które pochodzą od samego pana Ziobry, ale także informacje, które zostały opublikowane w Telewizji Republika, że z dnia na dzień pan Ziobro został zatrudniony przez tę stację telewizyjną. (...) Prokuratorzy podjęli decyzję o wezwaniu redaktora Sakiewicza na przesłuchanie w charakterze świadka, by m.in. wyjaśnić, co się takiego stało, że raptownie Zbigniew Ziobro, z dnia na dzień, a więc tuż po zmianie rządów na Węgrzech, stał się korespondentem czy też pracownikiem Telewizji Republika, i czy to ma być może związek z popełnieniem przestępstwa z art. 239 Kodeksu karnego, czyli poplecznictwa, m.in. tworzenia fałszywych dowodów dla osoby poszukiwanej" – mówił w TVN24.

W tle awantury o Ziobrę, którego ekstradycja – jeśli w ogóle stosowny wniosek przez polską stronę zostanie złożony – może potrwać latami, chodzi o odebranie koncesji Republice.

Zachęty do niszczenia Republiki. Orkiestra Giertycha

Prokuraturę do natychmiastowych represji wobec Republiki zachęcał Roman Giertych – rozdający karty z tylnego siedzenia w prokuraturze bardziej, niż to było za czasów urzędowania ministra i prokuratora generalnego Adama Bodnara. Ten sam, który zemdlał, a następnie zwiał do Włoch, gdy groziło mu zatrzymanie i postawienie zarzutów w sprawie Polnordu w 2020 roku. „Składam jutro wniosek do PG o wszczęcie śledztwa w sprawie pomocnictwa do ucieczki ze strony Tomasza Sakiewicza. Mam nadzieję, że prokuratura natychmiast zarządzi zabezpieczenie materiału dowodowego" – napisał mecenas 10 maja, tuż po opublikowaniu informacji przez Republikę, że Ziobro przebywa za oceanem. Korneluk nie wykluczył w wywiadzie dla TVN24, że zostaną postawione zarzuty poplecznictwa redaktorowi Sakiewiczowi. Mówił o tym w ubiegłym tygodniu również poddenerwowany rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak na konferencji prasowej. „Zostały wszczęte czynności sprawdzające, czy mamy do czynienia z popełnieniem przestępstwa polegającym na ułatwieniu podejrzanemu uniknięcia odpowiedzialności karnej, w tym ucieczki" – podkreślał. Pytanie o ten wątek zadał nagle dziennikarz z kostką Polskiego Radia. Wspomniał o rzekomej wizie dziennikarskiej, która miała umożliwić Ziobrze wyjazd do USA. „W mediach mówi się, że być może jest tu wiza dziennikarska, za którą miała poręczyć Republika. Czy państwo się szykują na jakieś działania na miejscu?" – pytał dziennikarz, ewidentnie zachęcając prokuratora Nowaka do akcji wymierzonej w prywatną stację telewizyjną. Nie tylko on.

Bianka Mikołajewska z TVP w likwidacji dociekała, nie mając najwyraźniej pojęcia o paszporcie genewskim Ziobry: „(...) powinno zostać wyjaśnione, czy Ziobro będzie faktycznie wykonywał pracę na rzecz TV Republika (a więc TVR będzie wypłacała wynagrodzenie na jego rzecz). Jeśli TVR będzie wypłacała Ziobrze wynagrodzenie – trzeba wyjaśnić, czy tego działania oraz

wcześniejszego wystawienia dokumentów poświadczających, że Z. Ziobro jest dziennikarzem tej stacji, nie należy uznać za poplecznictwo (czyli pomoc w unikaniu odpowiedzialności karnej). Jeśli TVR nie będzie wypłacała Z. Ziobrze wynagrodzenia – amerykańska administracja powinna zbadać, czy nie została wprowadzona w błąd co do zamiaru wykonywania przez Z. Ziobrę pracy dziennikarza, a tym samym – czy nie doszło do wyłudzenia wizy. Oczywiście administracja D. Trumpa nic z tym nie zrobi, ale kolejna – kto wie. Bardzo ciekawe też, co wpisano we wniosku o wizę (np. kto finansuje wyjazd) i jakie dokumenty dołączono" – doradzała Mikołajewska w serwisie X prokuratorom Żurkowi i Kornelukowi.

Po pierwsze, Ziobro nie jest osobą skazaną, a prywatna telewizja może zatrudniać, kogo chce. Po drugie, Polsat News w ramówce ma program „Prezydenci i premierzy", w którym o polityce dyskutują – cóż za zdziwienie – politycy pełniący niegdyś najwyższe funkcje w państwie. Nie jest to więc nic nowego w świecie mediów. A już na pewno przedstawianie własnych poglądów przez Ziobrę nie ma nic wspólnego z pomocą przy popełnieniu przestępstwa, gdy podróż posła PiS z Węgier była całkowicie legalna.

Co warte podkreślenia, rzecznik Prokuratury Krajowej stwierdził na wspomnianej konferencji prasowej wyraźnie: „Ziobro nie był i nie jest osobą poszukiwaną międzynarodowo". Nie wystawiono za nim nadal europejskiego nakazu aresztowania, nie uprawomocniła się też decyzja o tymczasowym areszcie. To, co jest kompromitujące dla śledczych Waldemara Żurka – oprócz ataków na Republikę – to niewiedza, że Ziobro dysponował jako uchodźca polityczny paszportem genewskim. A ten uprawniał go do przyjazdu do USA. To dokument podróży każdego uchodźcy, który jest wydawany na podstawie konwencji genewskiej. Wiza dziennikarska – nawet jeśli Ziobro ją posiada – nie była więc kluczowa dla powodzenia podróży byłego ministra sprawiedliwości.

Sakiewicz o podstępie prokuratorów

– Nie mam zielonego pojęcia, na jakiej wizie i w jaki sposób Zbigniew Ziobro udał się do Stanów Zjednoczonych. Po prostu tego nie wiem. Zostałem zaproszony do prokuratury jako świadek w sprawie przestępstwa urzędniczego z art. 231 Kodeksu karnego. To absurd, bo nigdy nie byłem urzędnikiem państwowym. Przełożeni tych nielegalnych prokuratorów, którzy mnie wzywają, powołują się na art. 269 Kodeksu karnego i przesłuchają mnie jako świadka. Moim zdaniem mamy do czynienia z oszustwem i podstępem prawnym, co jest zakazane w polskich przepisach. I tego dopuszczają się osoby, które mienią się prokuratorami. To kompletny skandal. Mało tego, osoba, która podpisała się pod tym dokumentem z wezwaniem mnie na przesłuchanie, nie pełni legalnie takiej funkcji! I to jest ogromny problem ustrojowy. Czy w ogóle powinienem liczyć się z kimś, kto podpisuje się pod dokumentem z funkcją, której nie pełni? – komentuje Tomasz Sakiewicz, prezes Republiki i redaktor naczelny „Gazety Polskiej".

– Uważam, że istnieje prawdopodobieństwo nie tylko postawienia mi zarzutów, lecz nawet aresztowania, bo mamy do czynienia z politykami zdolnymi do wszystkiego. W kręgach rządowo-prokuratorskich panuje istny amok, nie liczą się przepisy prawa i jakiekolwiek standardy. Pytanie, do czego jest zdolna mafia. Mafia posunie się tak daleko, na ile jej się pozwoli – komentuje Tomasz Sakiewicz.

Biejat: Skontrolować Republikę

W tle awantury o Ziobrę, którego ekstradycja – jeśli w ogóle stosowny wniosek przez polską stronę zostanie złożony – może potrwać latami, chodzi o odebranie koncesji Republice. Wciąż w Naczelnym Sądzie Administracyjnym ważą się losy obecności stacji na multipleksie MUX-8. Ogromna część polityków koalicji rządzącej nie ukrywa, że chciałaby zniszczyć Republikę. Mówił o tym wielokrotnie nie tylko Roman Giertych, ale też minister cyfryzacji i wicepremier Krzysztof Gawkowski. Do kontroli prywatnej stacji namawia też wicemarszałek Senatu Magdalena Biejat z Lewicy. „Fakt zaangażowania telewizji Republika w całą tę historię to jest dopiero skandaliczna sprawa. To znaczy telewizja, dziennikarze, którzy w tej chwili są podejrzenia, że pomogli uciec ściganemu przestępcy, no to jest już nowy standard" – wypaliła w rozmowie z Wp.pl, kłamiąc, że Ziobro jest „ściganym przestępcą" – pomijając kuriozalność wywodu nieopartego na jakichkolwiek faktach, poza chęcią uzyskania politycznych komentarzy na wizji od byłego ministra sprawiedliwości. „Uważam, że tę sprawę powinna przeanalizować zarówno Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, jak i prokuratura. To są poważne zarzuty i poważne zastrzeżenia. Zbigniew Ziobro potwierdził, że jest korespondentem Telewizji Republika, co by wskazywało na to, że rzeczywiście dostał tę wizę jako dziennikarz tej telewizji" – mówiła Biejat.

– Jedyne, co się zmieniło w sprawie koncesji, to to, że zostaliśmy poproszeni o dokumenty na temat umorzenia części odsetek, co jest obowiązkowe. To tzw. pomoc de minimis. KRRiT nie zgodziła się na to, by opłacać raty za koncesję aż do prawomocnego wyroku sądu w kwestii naszej przyszłości. Wszak sąd drugiej instancji może zanegować koncesję prawomocnie. Złożyliśmy dokumenty w KRRiT, urzędnicy je pokwitowali, po czym ogłosili, nie informując nas, że części dokumentów brakuje, mimo że posiadamy pokwitowanie ich odbioru. Wymusili na nas natychmiastową zapłatę z góry, ale też ogłosili, że nie zapłaciliśmy części kwoty za koncesję. W moim przekonaniu mamy do czynienia z ewidentnym przestępstwem, działaniem na szkodę prawdziwości dokumentów – podkreśla Tomasz Sakiewicz. Jedno jest pewne: do końca tej kadencji Sejmu Republika będzie poddawana atakom, jak na przykład za organizację konferencji CPAC w ubiegłym roku, a jej dziennikarze – nie tylko redaktor naczelny, ostatnio choćby również Piotr Nisztor – ścigani przez prokuraturę. Monopol na przekaz informacyjno-publicystyczny mają posiadać tylko stacje znajdujące się na liście rządowych podmiotów strategicznych z uwzględnieniem politycznych interesów Donalda Tuska, czyli TVN24 i TVP w likwidacji. **GP**



HEJTER Z PZPR I BIESIADNIK FSB NA STRAŻY TAJEMNIC WOJSKA

KADROWE PATOLOGIE W SKW

Niedawno gen. Jarosław Stróżyk – który swą rozprawę doktorską przygotowywał pod opieką kolegi z WSI prof. Mirosława Minkiny – wystąpił jako prelegent na kongresie Impact '26 w Poznaniu. Tytuł panelu z jego udziałem brzmiał dumnie: „Współczesne spojrzenie na bezpieczeństwo". Jak w praktyce wygląda owo „spojrzenie" w wykonaniu obecnego szefa wojskowego kontrwywiadu? Jak dowodzą nasze ustalenia, polega ono na sięganiu po głębokie rezerwy kadrowe z rodowodem w WSI. Stróżyk powierzył newralgiczne inspektoraty SKW – osłaniające polskie porty oraz wschodnią granicę – ludziom budzącym spore kontrowersje.

Hejter nadaje

Marek Napierała objął stanowisko szefa Inspektoratu SKW w Białymstoku na przełomie lat 2023 i 2024. Placówka ta odpowiada za absolutnie kluczowy odcinek obrony państwa – wschodnią flankę graniczącą z Białorusią. Funkcję tę Napierała pełnił do lata 2025 roku. Został odwołany dopiero wtedy, gdy w przestrzeni publicznej głośno zrobiło się o jego skrajnie agresywnej działalności w internecie. Lektura jego wpisów z portalu X (dawniej Twitter) oraz Facebooka, do których dotarliśmy, szokuje. Oficer wulgarnie atakował prawicowych polityków, dziennikarzy, historyków oraz



Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEŻNA.PL
albicla.com/GrzegorzWierzcholowski

Szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego gen. Jarosław Stróżyk, sam wywodzący się z rozwiązanych Wojskowych Służb Informacyjnych, oddał kluczowe inspektoraty SKW w ręce oficerów z kompromitującą przeszłością. Na czele placówki w Białymstoku do niedawna stał płk Marek Napierała – internetowy hejter ze stażem w komunistycznej PZPR i WSI – a inspektoratem w Gdyni do dziś kieruje kmdr Daniel Pożarski, były żołnierz WSI, znany m.in. z suto zakrapianej alkoholem biesiady SKW z oficerami rosyjskiej FSB w Kadynach.

duchownych, zachowując się jak pospolity internetowy troll.

Jednym z głównych celów niewybrednych ataków Napierały stał się prof. Sławomir Cenckiewicz, a także inni likwidatorzy WSI. Napierała pisał o historyku m.in., że to potencjalnie „zdolny NKWD-zista", „kłamca", „tchórz", „kundel na pisowskiej smyczy" oraz „PiS-katolicki pachołek". Szydził również niewybrednie, sugerując, że były szef Komisji Likwidacyjnej WSI ze strachu przed rzekomą odpowiedzialnością potrzebuje pieluchomajtek: „Wiesz, dlaczego Cenckiewicz nie był jeszcze przesłuchiwany w prokuraturze? Podobno nie mają tak dużego pampersa". Stale i bez dowodów kolportował oskarżenia, jakoby likwidatorzy WSI świadomie współpracowali z podejrzanym o szpiegostwo Tomaszem L. Oberwało się także innym. Dziennikarza Michała Rachonia oficer SKW nazwał „PiS-owskim kundlem", a Piotra Woyciechowskiego – „specjalistą od służb jak z koziej dupy trąbka".

„Twórczość" Napierały – bo na Facebooku jest on aktywny do dziś – jest przepełniona pogardą dla wierzących i Kościoła; swoich oponentów notorycznie nazywa „PiS-katolikami". Pisał m.in.: „Do słowa »katolicyzm« zawsze dodaję »PiS«. Bo ta wasza wiara całkowicie stoi w sprzeczności z nauką Chrystusa".

Co gorsza, oficer nie ograniczał się do krajowego podwórka. Ostro atakował Donalda Trumpa, kolportując obrzydliwe wpisy łączące go ze skandalem pedofilskim Jeffreya Epsteina. Snuł także dywagacje o uwikłaniu prezydenta USA we współpracę z rosyjskimi służbami: „Biorąc powyższe pod uwagę, łatwo sobie zatem wyobrazić, co działo się podczas pobytów biznesmena z USA Trumpa w Moskwie i jak to zostało udokumentowane przez rosyjskie służby". Człowiek produkujący i upubliczniający tak skandaliczne insynuacje wobec lidera najważniejszego sojusznika Polski przez kilkanaście miesięcy odpowiadał za najbardziej zapalny odcinek polskiego kontrwywiadu.

Wyraziciel poglądów marksistowsko-leninowskich

Kariera Napierały w Wojskowych Służbach Informacyjnych miała solidne fundamenty z czasów PRL. Jak ustaliliśmy – we własnoręcznie napisanym życiorysie Napierała deklarował przełożonym w wojsku: „Do PZPR należę od 1987 roku, natomiast do ZSMP wstąpiłem rok wcześniej". Jego pryncypałowie z entuzjazmem oceniali ten ideologiczny zapał. W opinii służbowej z lat 1988–1989 znajduje się następujący fragment: „W opiniowanym okresie podchorąży Napierała interesował się i był wyrazicielem poglądów marksistowsko-leninowskich. Jego postawa moralno-polityczna nie budziła zastrzeżeń".

Owo „uświadomienie" z pewnością nie przeszkodziło mu w późniejszej karierze w WSI, do których trafił na początku lat 90. Co ciekawe, pod opiniami służbowymi Napierały z lat 1994–1997 podpisany jest ówczesny szef Wydziału Kontrwywiadu 4. Dywizji Zmechanizowanej (WSI), ppłk Roman Smejlik. To postać doskonale znana w środowisku – w latach 1975–1990 pracował on w komunistycznej Wojskowej Służbie Wewnętrznej, będąc aktywnym członkiem PZPR. Dziś tradycje rodzinne kontynuuje jego syn, płk Maciej S., pełniący funkcję dyrektora Biura I SKW, uchodzący – jak pisała w kwietniu 2026 roku „Gazeta Polska" – za „szarą eminencję z rodowodem WSI". Z kolei pod rozkazami personalnymi i decyzjami kadrowymi z przełomu wieków dotyczącymi Napierały widnieje m.in. podpis samego gen. Marka Dukaczewskiego, byłego szefa WSI.

Wdzięczność wobec dawnej formacji pozostała Napierale na lata. Po przeniesieniu do rezerwy z SKW stał się żarliwym obrońcą WSI w prasie, współtworzył książkę gloryfikującą te służby („WSI. Żołnierze przeklęci"). Znalazł też przystań w Fundacji „Bezpieczeństwa i Rozwoju Stratpoints", założonej przez gen. Mirosława Różańskiego. Organizacja ta skupia wielu ludzi wywodzących się ze służb specjalnych powołanych przed likwidacją WSI.

To właśnie pod szyldem Stratpoints w 2021 roku Napierała opublikował tekst zatytułowany „Służby specjalne. Stan obecny – perspektywa". W publikacji tej, mającej rzekomo charakter analityczny, zawarł wyjątkowo żenujące ataki na politycznych oponentów i przełożonych z czasów likwidacji WSI. Uderzając personalnie w ówczesne kierownictwo, napisał: „W początkowym etapie szefem SKW został Piotr Bączek, zaufany człowiek Macierewicza, który wcześniej jako rzecznik Komisji Weryfikacyjnej WSI zasłynął wypowiedziami, które mogłyby wskazywać na niedorozwój umysłowy". Trudno o dobitniejszy dowód na to, jak w istocie wyglądał „ekspercki" profesjonalizm człowieka, któremu Jarosław Stróżyk

FOT. KRZYSZTOF ŻATYCKI / FORUM

powierzył we współczesnej SKW nadzór nad wschodnią granicą Polski.

Komandor z Kadyn

Równie szokująca co w Białymstoku jest polityka kadrowa gen. Jarosława Stróżyka na północy Polski. Tamtejszy kluczowy Inspektorat SKW w Gdyni oddano w ręce kmdr. Daniela Pożarskiego, pozytywnie zweryfikowanego oficera WSI. Pożarski to postać doskonale znana badaczom polsko-rosyjskiego resetu z czasów pierwszych rządów Donalda Tuska. Jego nazwisko nierozerwalnie wiąże się ze zbliżeniem polskich i rosyjskich służb – a zwłaszcza symboliczną, suto zakrapianą alkoholem libacją oficerów SKW z przedstawicielami rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB), do której doszło w październiku 2012 roku w restauracji hotelu w Kadynach. Kmdr Pożarski pełnił wówczas funkcję naczelnika Wydziału Operacyjnego Inspektoratu SKW w Gdyni i odpowiadał za operacyjne zabezpieczenie polsko-rosyjskiego spotkania – a raczej haniebnej fraternizacji między SKW a FSB. Jak to zabezpieczenie wyglądało w praktyce? Było jednym wielkim kompromitującym blamażem. Zanim doszło do samej biesiady, w mniejszej sali deserowej Pożarski oraz inni funkcjonariusze w pośpiechu i ogromnym stresie instalowali pod stołem urządzenia specjalne, nie zdając sobie sprawy, że ich nerwowe ruchy bezlitośnie rejestrują kamery restauracyjnego monitoringu. Zorientowali się dopiero po kilku godzinach. O 19.14 Pożarski w towarzystwie kelnera podszedł prosto do obiektywu, po czym kelner zakleił kamerę. Zaślepka została zdjęta dopiero o godzinie 2.40 w nocy, gdy sala była już posprzątana po kolacji z Rosjanami. Szczegółową rolę kmdr. Pożarskiego w tym skandalu oraz drobiazgowy, kadr po kadrze, opis biesiady SKW z FSB w Kadynach czytelnicy znajdą w najnowszej książce „Reset" autorstwa Sławomira Cenckiewicza, Michała Rachonia i Grzegorza Wierzchołowskiego.

Jako niezwykle wymowną ciekawostkę warto wspomnieć, że kmdr Daniel Pożarski ma na swoim koncie także ambicje naukowe. W 2023 roku bronił on w Sali Senatu Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni rozprawy doktorskiej pod tytułem „Wojskowe służby specjalne w kształtowaniu bezpieczeństwa wewnętrznego państwa". Recenzentem tej pracy (opinia była dla Pożarskiego pozytywna) był prof. dr hab. Bogusław Pacek, który w latach 80. służył w komunistycznej Wojskowej Służbie Wewnętrznej (WSW), gdzie przełożeni chwalili jego „skrystalizowany światopogląd materialistyczny" oraz aktywność w PZPR. Pacek był też jednym z głównych wykonawców resetu z Rosją na odcinku wojskowym, proponował m.in., by na ówczesnej Akademii Obrony Narodowej okazjonalnie wykładały dla polskich studentów „osoby zajmujące kierownicze stanowiska w Rosji", czyli Władimir Putin i Dmitrij Miedwiediew.

Dlaczego gen. Stróżyk powierzył newralgiczne inspektoraty SKW – osłaniające polskie porty oraz wschodnią granicę – ludziom budzącym spore kontrowersje i z rodowodem w WSI?

Ważny port i wschodnia tarcza

Dlaczego decyzje kadrowe gen. Jarosława Stróżyka budzą aż tak wielkie przerażenie? Aby to w pełni zrozumieć, trzeba uświadomić sobie, jak strategiczną rolę w ostatnich latach odgrywały inspektoraty SKW w Gdyni i Białymstoku.

Gdyński inspektorat w latach 2023–2026 stał się niezwykle istotny, ponieważ Gdynia i polskie wybrzeże stanowiły „okno na świat" dla modernizacji naszej armii. Port Gdynia to ważny hub dostaw uzbrojenia. To tędy od przełomu 2022 i 2023 roku masowo docierał sprzęt wojskowy z Korei Południowej – czołgi K2 Black Panther, armatohaubice K9, wyrzutnie rakietowe Homar-K/Chunmoo oraz lekkie samoloty bojowe FA-50, a także tony uzbrojenia ze Stanów Zjednoczonych. Te nieprzerwane transporty były oczywistym celem działań operacyjnych rosyjskiego wywiadu wojskowego (GRU). SKW w Gdyni musiała zapewnić ścisłą osłonę kontrwywiadowczą rozładunków, magazynowania i transportu w głąb kraju. Ponadto inspektorat, którym kieruje biesiadnik z Kadyn, odpowiadał za osłonę programu Miecznik (wielomiliardowej budowy nowoczesnych fregat rakietowych) oraz ochronę krytycznej infrastruktury na Bałtyku – w tym m.in. gazociągu Baltic Pipe czy terminali portowych – przed rosyjską dywersją podwodną.

Z kolei Białystok – oddany pod nadzór internetowego hejtera z PZPR-owską przeszłością (od końca 2023 do czerwca 2025 roku) – to tak zwana ściana wschodnia. Obszar ten bezpośrednio graniczy z Białorusią i osłania kluczowy dla struktur NATO przesmyk suwalski. Rola tamtejszego inspektoratu była absolutnie krytyczna z trzech powodów. Po pierwsze: osłona formowania potężnej 1. Dywizji Piechoty Legionów, wyposażanej m.in. w czołgi K2 i Abrams. SKW musiała chronić plany operacyjne i harmonogramy przed infiltracją obcych służb. Po drugie: wojna hybrydowa na granicy. Po powołaniu Wojskowego Zgrupowania Zadaniowego (WZZ) Podlasie tysiące żołnierzy wspierały Straż Graniczną w odpieraniu sterowanej z Moskwy i Mińska presji migracyjnej. SKW odpowiadała za ich bezpieczeństwo operacyjne i ochronę przed prowokacjami białoruskiego KGB czy OSAM. Po trzecie: zagrożenie szpiegowskie i dywersyjne. W 2023 roku rozbito dużą rosyjską siatkę, a polskie służby – ABW i właśnie podlaski inspektorat SKW – znalazły się na pierwszej linii frontu walki z wrogim rozpoznaniem, osłaniając m.in. przygotowania do programu Tarcza Wschód. **GP**

niezależna.pl



Twój portal informacyjny na każdy dzień!
Wejdź na **niezalezna.pl** i bądź na bieżąco!

niezależna.pl
Informacje, którym możesz zaufać

www.Niezalezna.pl
www.facebook.com/NiezaleznaPL
www.x.com/niezaleznapl
www.instagram.com/niezaleznapl



KOALICJA 13 GRUDNIA POMOGŁA IUSTITII PRZEJĄĆ KRS

WYBRALI WBREW ORZECZENIU TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO

Posłowie rządzącej koalicji wysłali do Krajowej Rady Sądownictwa 13 sędziów, których rekomendowała Iustitia – wyselekcjonowanych w procedurze nieznanej w polskim prawie. Według ustawy, którą sami nazywali niekonstytucyjną. Zagłosowali, choć Trybunał Konstytucyjny nakazał wstrzymanie procedury. Tak powstała neo-KRS.

Grzegorz **Broński**
albicla.com/GrzegorzBronski

Narracja, którą słyszeliśmy przez osiem lat, runęła. Nie chodziło o żadne prawo, nie chodziło o żaden ustrój. Chodziło o to, że wtedy była inna sytuacja polityczna. Słyszeliśmy, że możliwość wybierania przez Sejm sędziowskiej części Krajowej Rady Sądownictwa jest niekonstytucyjna. Te przepisy się nie zmieniły ani o przecinek. Na ich podstawie obecna większość rządząca wybrała członków KRS i uważa, że jest okej. Przepisy są albo konstytucyjne, albo niekonstytucyjne. A nie tak, że są konstytucyjne, jak rządzą Platforma i przystawki, a niekonstytucyjne, jak rządzi PiS – ocenił dr Oskar Kida, konstytucjonalista.

Rządzący wzięli większość

Krajowa Rada Sądownictwa jest organem konstytucyjnym, którego główny cel to stanie na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziów. W jej skład wchodzi m.in. 15 sędziów – wybieranych na czteroletnią kadencję. Ostatnia właśnie się zakończyła i konieczne było wybranie nowych członków KRS.

Zgłosiło się 60 kandydatów, ale największe poparcie społeczne uzyskali sędziowie wspierani przez Kluby „Gazety Polskiej". Jak się jednak okazało, politycy koalicji 13 grudnia opowiedzieli się za osobami rekomendowanymi m.in. przez Iustitię i Themis. Zdominowały one nową KRS, bo zajęły aż 13 miejsc.

Wśród nich jest chociażby Wojciech Buchajczuk, który jako wiceprezes Iustitii składał zawiadomienie do prokuratury przeciwko sędziom biorącym udział w pracach KRS poprzedniej kadencji. Według tej samej ustawy, na której podstawie teraz wybrano… Buchajczuka.

FOT. ARCH.

„Będę patrzeć na ręce”

Wśród nowych członków KRS są tylko dwaj sędziowie rekomendowani przez opozycyjne kluby poselskie: Łukasz Piebiak, sędzia z Warszawy, były wiceminister sprawiedliwości, prezes stowarzyszenia Prawnicy dla Polski, oraz Łukasz Zawadzki, sędzia z Opola, rzecznik PdP. – Naszą rolą jest patrzenie na ręce temu gremium, co ono robi i w jaki sposób – stwierdził sędzia Piebiak, który zadeklarował: – Będę opinię publiczną, także za pomocą portalu Niezależna.pl, „Gazety Polskiej”, Telewizji Republika, informował o tym, co się dzieje w Krajowej Radzie Sądownictwa.

Z kolei sędzia Zawadzki ma nadzieję na merytoryczną współpracę. – Pomimo sympatii i antypatii, bo jako funkcjonariusz publiczny chcę realizować interes państwa. Natomiast jeśli dojdzie do prób łamania prawa, będziemy twardo protestować – zapewnia.

Sejm zignorował orzeczenie TK

Sejm przegłosował listę 15 sędziów, ale czy nie złamano przy tym prawa? Chodzi o zabezpieczenie wydane przez Trybunał Konstytucyjny, który wezwał posłów do wstrzymania procedury wyboru nowych członków Rady. Orzeczenie było znane już podczas obrad Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, ale przewodniczący Paweł Śliz (Polska 2050) je zignorował. To samo miało miejsce podczas posiedzenia plenarnego Sejmu. Dlatego w głosowaniu nie wzięli udziału politycy opozycji. „To może nieść za sobą daleko idące konsekwencje, także natury karnej” – przestrzegał poseł PiS Michał Wójcik.

Pomimo to Sejm dokonał wyboru. Czy wskutek tego KRS będzie działała legalnie? – Na pewno będzie mogła być kwestionowana, będą podnoszone argumenty, że cała procedura była wadliwa, a co za tym idzie, skład tej Rady też będzie wadliwy – wyjaśnia dr Kida. – Tym bardziej że wcześniej w sądach odbyło się tzw. opiniowanie kandydatów do KRS, a ustawa nie przewiduje takiej możliwości. Tu także pojawiły się konstytucyjne wątpliwości.

– Chodziło o to, czy kompetencja Sejmu może być sprowadzona do tego, że tylko przyklepuje wybory dokonane gdzieś indziej. Bo to były wybory, a nie żadne opiniowanie – podkreśla konstytucjonalista.

Nie tak szybko

Dotychczasowa, czteroletnia kadencja sędziowskiej części KRS minęła w połowie maja, a jej przewodnicząca, sędzia Dagmara Pawełczyk-Woicka nawet publicznie się pożegnała. Pomimo to nie wiadomo, kiedy Rada z 15 nowymi członkami rozpocznie pracę. Na pewno nie będą to najbliższe dni, a może nawet tygodnie. – Zgodnie z ustawą pierwsze posiedzenie Krajowej Rady Sądownictwa zwołuje pierwszy prezes Sądu Najwyższego. Wtedy zostanie wybrane nowe prezydium i nowy przewodniczący – wyjaśnia sędzia Łukasz Zawadzki. – Jesteśmy więc niejako uzależnieni od decyzji prezydenta odnośnie do wskazania nowego prezesa SN.

Politycy koalicji 13 grudnia opowiedzieli się za osobami rekomendowanymi m.in. przez Iustitię i Themis. Zdominowały one nową KRS, bo zajęły aż 13 miejsc.

Skąd ta wątpliwość? Powód prozaiczny – 26 maja kończy się z kolei kadencja obecnej prezes SN, sędzi Małgorzaty Manowskiej i trudno się spodziewać, aby na kilka dni przed końcem pracy chciała się angażować w kolejny spór. Gdy zamykaliśmy ten numer „Gazety Polskiej”, nie było jeszcze decyzji prezydenta Karola Nawrockiego o nominacji dla następcy sędzi Manowskiej, choć nazwiska pięciu kandydatów są znane od niemal dwóch miesięcy. Stąd nie wiadomo, kiedy po raz pierwszy zbierze się nowa KRS. – Posługując się więc sportową metaforą: piłka jest po stronie prezydenta. Czekamy z niecierpliwością na to, co zrobi – podkreślił sędzia Zawadzki.

– Na obecną chwilę nie wiemy również, czy prezydent będzie aprobował nową Krajową Radę Sądownictwa, która niewątpliwie została wybrana wbrew procedurze przewidzianej w ustawie, czy uzna, że uchybienia były tak daleko idące, że dotychczasowa Rada będzie kontynuować swoją kadencję – stwierdził nowo wybrany członek KRS.

Pierwsze decyzje?

Jakich działań nowej KRS – zdominowanej przez osoby z rekomendacją Iustitii i Themis – należy się spodziewać w pierwszej kolejności? Według sędziego Piebiaka najpierw czegoś w formie odezwy, w której ogłoszą – znowu! – „przywracanie praworządności”. – Zapewne również masowego uchylania uchwał nominacyjnych wydanych przez Rady dwóch minionych kadencji. W przypadku tych „skonsumowanych” będzie to pusty gest pozbawiony znaczenia prawnego, bo prezydent już skorzystał z prerogatywy i powołał sędziów na pierwsze lub wyższe stanowisko – ocenił.

Znacznie poważniejszy problem może być z tymi, które trafiły do tzw. prezydenckiej zamrażarki. – Bo w ustawie o KRS istnieje instytucja wznowienia postępowania, a uchylenie takich uchwał wywoła spore zamieszanie. Oczywiście prezydent w każdej chwili może podjąć decyzję: powołać sędziego lub odmówić nominacji, a wtedy nowa KRS nie będzie miała faktycznie nic do powiedzenia. Na razie jednak ci sędziowie są w stanie niepewności – tłumaczy sędzia Piebiak, który spodziewa się także hurtowych obwieszczeń o wolnych stanowiskach sędziowskich. – Pewnie w resorcie Waldemara Żurka pracują pełną parą, szykując listy jedynie słusznych kandydatów, a być może one są już gotowe. Stąd ich determinacja w szybkim powołaniu Rady, aby uruchomić maszynkę z nominacjami; prezydent zostanie wtedy poddany ogromnej presji, aby je podpisać. Wykorzystają argument o wakatach i konieczności przyspieszenia postępowań – podkreśla były wiceminister sprawiedliwości. – Bo w rzekomym sporze o praworządność de facto chodziło o stanowiska i apanaże. Nie dostali, czego chcieli, i zrobili awanturę na całą Europę. Teraz będą próbowali dopiąć swego. Szykuje się ciekawy czas. **GP**

OKNO NA ŚWIAT ZAMKNIĘTE NA KŁÓDKĘ. JAK TUSK ZMARNOWAŁ ZBOŻOWE TERMINALE



Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

WYREMONTOWANY I... PUSTY

Sprawa terminala zbożowego w Gdyni była głośna w 2023 roku. To właśnie wtedy poinformowano, że w przetargu ogłoszonym przez Zarząd Morskiego Portu Gdynia SA zwyciężyło konsorcjum w składzie: Szczecin Bulk Terminal oraz spółki Tapini i Ribera. Na decyzji nie pozostawiano suchej nitki, bo konsorcjum jest związane z holenderską Grupą Vittera, która jest jednym z większych operatorów portów w Europie.

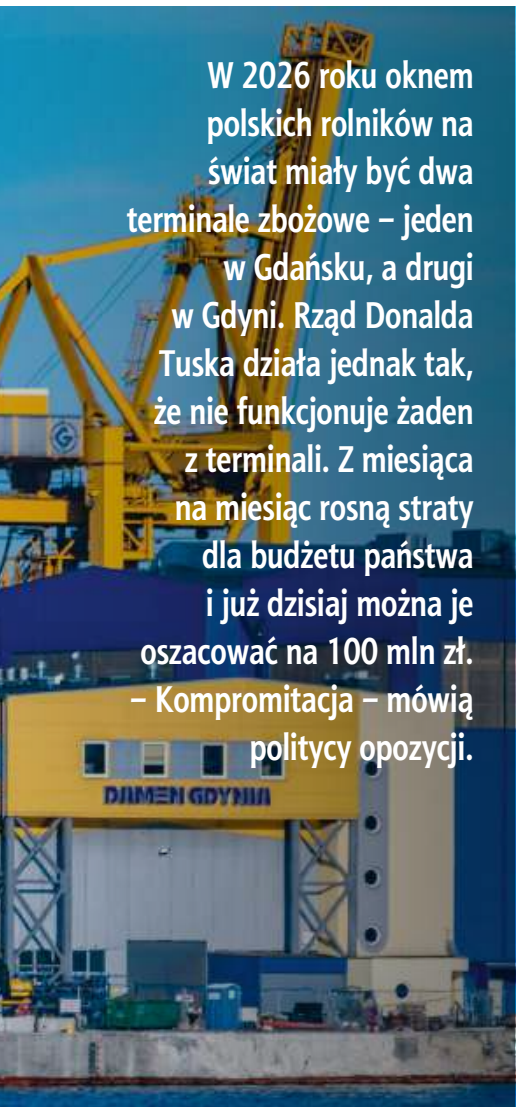
Wtedy atakowali, teraz milczą

Najgłośniej w tej sprawie krzyczał idący wtedy do ław poselskich Michał Kołodziejczak. „Na naszych oczach rząd PiS oddaje w obce ręce terminal zbożowy w Gdyni, wyremontowany, przygotowany do tego, by obsługiwały go duże statki, żeby Polska miała okno na świat, dzięki któremu możemy sprzedawać zboże za granicę" – mówił na jednej z konferencji. Dodawał również, że międzynarodowa korporacja będzie spekulować zbożem kosztem polskich rolników. Jak w bęben w PiS bił również Arkadiusz Marchewka. „Opowiadają, że stoją w obronie rolników, że to jest interes państwa polskiego, a nie robią zupełnie nic, aby do tego doprowadzić. Prawda jest taka, że mamy do czynienia z pasmem decyzji, które są kompletnie nieskuteczne" – mówił Marchewka na tej samej konferencji. Oburzał się też Jacek Karnowski. „Polsce uciekają pieniądze. Miastu Gdańsk, miastu Gdynia uciekają pieniądze, dlatego że rząd nie jest przygotowany na transport zboża przez polskie porty. Z jednej strony zaniechanie w Gdańsku na budowie terminala zbożowego, z drugiej strony kolejne, powtarzające się przetargi o bardzo niejasnych kryteriach w Gdyni pokazują, że Polska nie jest przygotowana do tego, żeby czerpać środki finansowe z tego, z czego słynny był port w Gdańsku: z transportu zboża z całej Rzeczypospolitej" – mówił Karnowski. Sam Donald Tusk zapewniał, że sprawa zostanie wyjaśniona przez służby.

Kompromitacja

Rzeczywiście w 2024 roku rząd postawił sobie za punkt honoru, aby unieważnić

FOT. ROBSON90 - STOCK.ADOBE.COM



W 2026 roku oknem polskich rolników na świat miały być dwa terminale zbożowe – jeden w Gdańsku, a drugi w Gdyni. Rząd Donalda Tuska działa jednak tak, że nie funkcjonuje żaden z terminali. Z miesiąca na miesiąc rosną straty dla budżetu państwa i już dzisiaj można je oszacować na 100 mln zł. – Kompromitacja – mówią politycy opozycji.

wspomniany przetarg. W mediach chwalono się wręcz tym ręcznym sterowaniem. Jeszcze w lipcu 2024 rząd ustami Michała Kołodziejczaka mówił o wielkim sukcesie, czyli o zablokowaniu przetargu na dzierżawę nadbrzeża. „Pod wpływem resortu rolnictwa nastąpiło chociażby unieważnienie tego konkursu na terminal zbożowy w Gdyni. Firma, która miała zarządzać terminalem w Gdyni, już dzisiaj obsługuje ok. 60 proc. eksportu drogą morską zbóż z Polski. Gdyby przejęła ten terminal w Gdyni, który dzisiaj ma możliwości eksportowe 2 mln ton zbóż, a docelowo może to być nawet 4 mln ton zbóż na rok, przy eksporcie całościowym drogą morską zbóż z Polski w roku poprzednim na poziomie 9 mln ton... Łatwo sobie przeliczyć, że terminal w Gdyni może eksportować 30 proc. zbóż z Polski. I tutaj jeżeli faktycznie Krajowa Grupa Spożywcza miałaby w obsłudze ten terminal, moglibyśmy rozwijać zdolności magazynowe, handel, eksport. Tutaj jest ten stabilny wpływ na rynek. Sytuacja po tych wieloletnich zaniedbaniach jest trudna, bo ten wpływ Elewarru, KGS-u na rynek zbóż jest mały, ale patrzymy z nadzieją na to, co będzie się działo" – mówił w Sejmie Kołodziejczak. Rząd wykorzystał do unieważnienia przetargu furtkę związaną z bezpieczeństwem państwa. Tajne służby sporządziły opinie, w których stwierdzono, że rozwiązanie jest fatalne z punktu widzenia bezpieczeństwa. Problem jest jednak taki, że w powtórnym przetargu znowu wygrało to samo konsorcjum firm. Sytuacja się więc całkowicie odwróciła. Nowa władza zrobiła dokładnie to samo, co zarzucała swoim poprzednikom.

Zmiana stron

Teraz to Prawo i Sprawiedliwość mówi o nieudacznictwie obecnych władz. Trudno nie zauważyć, że skompromitowane zostały polskie służby, które przygotowały stosowne opinie, a ostatecznie nie wzięto ich pod uwagę. Kompromitację dopełnia fakt, że zdaniem polityków opozycji doprowadziło to do ogromnych strat. Zdecydowali się oni złożyć zawiadomienie do prokuratury. „Kluczowe jest to, że przez okres od 8 listopada 2023 r. do 1 lipca 2025 r., w wyniku zablokowania realizacji zawartej już umowy, Skarb Państwa nie uzyskał należnych wpływów z tytułu czynszu dzierżawnego i opłat eksploatacyjnych. Analiza kalkulacyjna na podstawie dwóch złożonych ofert (w pierwszym i drugim przetargu) oraz warunków zawartych umów wskazuje, że realna, wymierna strata wyniosła co najmniej 60 milionów złotych w utraconych korzyściach dla Skarbu Państwa. W szczególności zwracam uwagę na to, że: »W obu przetargach uczestniczył ten sam podmiot, który został dwukrotnie wskazany jako najkorzystniejszy oferent«. Odmowa zawarcia umowy została uzasadniona względami bezpieczeństwa, które – jak się okazuje – nie stanowiły przeszkody w roku kolejnym, skoro planowane jest przekazanie nabrzeży dokładnie temu samemu podmiotowi. Przez niemal 20 miesięcy Port Gdynia nie uzyskiwał wpływów z tytułu czynszu dzierżawnego, mimo że mógł je uzyskiwać od zwycięskiego konsorcjum – co naraziło Skarb Państwa na realną, policzalną i znaczną stratę majątkową" – napisali zawiadamiający. Jak się okazuje, od lipca 2025 roku nic się nie zmieniło. Straty rosną z tygodnia na tydzień.

Wina Komisji Europejskiej?

Wszystko dlatego, że w sprawie terminalu toczy się postępowanie Komisji Europejskiej. I tutaj pojawiają się dwie odpowiedzi na pytanie, dlaczego sprawa nie została sfinalizowana. Urzędnicy Komisji Europejskiej przekonują, że strona polska nie przekazała jej wszystkich niezbędnych dokumentów, by zamknąć temat. Polski rząd przekonuje, że dopełnił wszelkich formalności i to Komisja Europejska wstrzymuje całą procedurę. – Od dwóch lat port stoi nieużywany, a z informacji KE wynika wprost, że nic się nie dzieje. To przeczy wszystkim informacjom, które dostawaliśmy od rządu. Wiąże się to ze stratami finansowymi. W sumie mówimy już o blisko 100 mln zł – mówi nam Marek Gróbaczyk. Jak wskazuje, bieżący operator terminala, który miał realizować przeładunki tymczasowo, w 2025 roku zbankrutował i nie wypłacił rolnikom zaległych pieniędzy. Według byłego ministra gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej sytuacja szybko nie zmieni się na lepsze. Teren bowiem wymaga inwestycji, a te z pewnością rozciągną się w czasie. Port, który miał być oknem na świat, dziś w zasadzie nie spełnia swojej funkcji. Dodajmy, że w 2024 roku Donald Tusk obiecał również drugi port zbożowy. „Do 2026 roku będziemy gotowi z inwestycją terminalu zbożowego w Gdańsku" – mówił premier Tusk. Jest już rok 2026, a nadal pod tym względem niewiele się dzieje. Częściej mówi się o 2029 roku. Oba okna są zatrzaśnięte. **GP**

POKOLENIE KREDYTÓW TRACI PRACĘ



BEZROBOCIE W CIENIU ZIELONEGO ŁADU

Choć 30- i 40-latkowie powinni być filarem rozwoju państwa, to dziś głównie oni mają problemy z zatrudnieniem. Postępująca drożyzna, która dotyczy m.in. kosztów energii, nieuchronnie uderza w rynek pracy. – To osoby z dużym potencjałem, mające już spore doświadczenie zawodowe. Ich aktywność to mocna wartość dodana. Rośnie ryzyko utraty tych kompetentnych pracowników, którzy będą się zastanawiali, czy nie wyjechać z kraju za pracą – mówi „Gazecie Polskiej" prof. Zbigniew Krysiak, ekonomista i przewodniczący rady programowej Instytutu Myśli Schumana. Problem jest szerszy, niż pokazują oficjalne rejestry.

W ostatnich latach koszty życia wyraźnie wzrosły. Ceny niezbędnych produktów oraz koszty energii bardzo mocno uderzyły w gospodarstwa domowe osób w wieku 30–45 lat, czyli tych, które mają najwyższe zobowiązania finansowe. Doszło do silnego wzrostu cen i kosztów utrzymania mieszkań, co znacząco obniżyło realne dochody gospodarstw domowych. Pogorszenie sytuacji dotyczy w dużej mierze branż energochłonnych. Tam widoczny jest radykalny wzrost zwolnień grupowych.

Tysiące Marcinów

Polskie bezrobocie coraz częściej przybiera twarz 38-letniego Marcina. Kilkanaście lat pracował jako brygadzista w firmie produkującej meble, a także karnisze drewniane. W 2020 roku wziął kredyt hipoteczny, gdy rata była, jak mówi, „do udźwignięcia", ale później wzrosła. Do tego problematyczne jest ogrzewanie domu, które drożeje po skokach cen energii i węgla. Ma dwójkę dzieci, żona pracuje w handlu. W 2024 roku jego zakład zaczął ograniczać produkcję. Najpierw zniknęły nadgodziny, potem premie, aż w końcu przyszły zwolnienia grupowe. Marcin stracił pracę. Szuka nowej, ale w okolicy firmy zatrudniają zdecydowanie mniej niż kiedyś, a pojawiające się oferty są słabo płatne. Przeprowadzka byłaby ostatecznością ze względu na kredyt i dzieci w szkole. Nie może też pozwolić sobie na dłuższe przekwalifikowanie, bo potrzebuje dochodu „tu i teraz". Każdy miesiąc bez pracy oznacza realne ryzyko utraty płynności finansowej. Marcin udał się więc do urzędu pracy. Rodzina musiała zacząć ograniczać zakupy, zrezygnować z zajęć dodatkowych dla dzieci, weekendowych atrakcji, wyjazdów wakacyjnych i innych. Sprzedali wygodny i duży samochód, kupili mniejszy, który spala mniej paliwa. Cały ciężar finansowy spadł na żonę Marcina.

Bezrobocie rośnie za Tuska

„GP" zebrała ze wszystkich 16 wojewódzkich urzędów pracy dane o bezrobociu w latach 2023–2025. We wszystkich województwach widać wzrost liczby osób zarejestrowanych jako bezrobotne. W wo-



BEZ OPTYMIZMU

W ostatnich latach nastąpił radykalny wzrost zwolnień grupowych. W 2023 roku objęły one 17,2 tys. osób, a w 2025 roku już 29,5 tys. W ujęciu dwuletnim oznacza to wzrost o 71,5 proc., co jest bardzo silnym sygnałem realnego pogorszenia sytuacji na rynku pracy.

Hubert **Kowalski**
albicla.com/HubertKowalski

jewództwie lubelskim ich liczba na koniec 2025 względem 2024 roku wzrosła z blisko 56 tys. do ponad 61 tys. Jeszcze radykalniej wzrosła w województwie śląskim: z ponad 62 tys. w latach 2023–2024 do ponad 77 tys. w roku 2025. Z kolei w województwie kujawsko-pomorskim liczba zarejestrowanych bezrobotnych zwiększyła się z 54 tys. na koniec 2023 roku do 59 tys. na koniec 2025 roku. W województwie łódzkim nastąpił wzrost z ponad 52 tys. w grudniu 2023 roku do prawie 62 tys. w grudniu 2025 roku, a w wielkopolskim o około 10 tys. – z 46 tys. w 2023 roku do 56 tys. w 2025 roku. Co istotne, we wszystkich województwach najliczniejszą grupą wiekową wśród zarejestrowanych bezrobotnych stanowią osoby w wieku 35–44 lata, a ich liczba na przestrzeni lat rośnie. W części województw wysokie bezrobocie widać również wśród młodszych. Jak przekonuje WUP w Łodzi, jedną z głównych przyczyn wzrostu bezrobocia rejestrowanego w 2025 roku miały być zmiany w ustawie o rynku pracy i służbach zatrudnienia, a szczególnie umożliwienie rolnikom rejestracji w urzędach pracy oraz umożliwienie bezrobotnym rejestracji

Istotnie spadła liczba wolnych miejsc pracy. W 2025 roku względem roku 2023 liczba wakatów zmniejszyła się o 11,6 proc.

w urzędzie pracy właściwym ze względu na miejsce zamieszkania, a nie tylko zameldowania. To jednak miało wpływ wyłącznie na statystyki urzędów pracy.

Aby realnie ocenić bezrobocie, należy wziąć pod uwagę także inne wskaźniki. Istotny jest BAEL, czyli Badanie Aktywności Ekonomicznej Ludności prowadzone przez GUS. To badanie ankietowe, które sprawdza, czy obywatele pracują, aktywnie szukają pracy i czy są gotowi ją podjąć. Wynika z niego, że w porównaniu z rokiem 2023 bezrobocie w 2025 wzrosło o 3,7 proc. Co szczególnie istotne, w ostatnich latach nastąpił radykalny wzrost zwolnień grupowych, które pokazują, ilu pracowników objęły formalne procedury redukcji zatrudnienia w firmach. W 2023 roku zwolnienia grupowe objęły 17,2 tys. osób, a w 2025 roku już 29,5 tys. W ujęciu dwuletnim oznacza to wzrost o 71,5 proc., co jest bardzo silnym sygnałem realnego pogorszenia sytuacji na rynku pracy. Co więcej, istotnie spadła liczba wolnych miejsc pracy. W 2025 roku względem roku 2023 liczba wakatów zmniejszyła się o 11,6 proc.

Rujnujące ceny energii

Profesor Zbigniew Krysiak, ekonomista i przewodniczący rady programowej Instytutu Myśli Schumana, zwraca uwagę w rozmowie z nami na problem zwolnień grupowych i nie tylko. – Dużym problemem są tutaj ceny energii i istotnie wpływający na nie system ETS, który trzeba usunąć, by realnie myśleć o poprawie. Obecna sytuacja tworzy bardzo negatywną perspektywę dla przemysłu, wielu przedsiębiorstw. Wiele wycofuje się z naszego rynku, zrywane są całe łańcuchy współpracy licznych firm. Upadek jednej powoduje upadek lub duże kłopoty drugiej – mówi prof. Krysiak. Zwraca uwagę, że rosnące bezrobocie prowadzi do poważnych problemów dla ZUS. – Wpływy będą coraz mniejsze z powodu mniejszej liczby zatrudnionych, więc z budżetu państwa będą musiały być przekazywane większe kwoty na wsparcie ZUS. To oznacza mniej pieniędzy na inne wydatki, na przykład na służbę zdrowia i wiele innych zadań państwa – podkreśla ekonomista. Przyznaje, że rosnące bezrobocie wśród 30- i 40-latków przyniesie poważne konsekwencje dla całej gospodarki. – To osoby z dużym potencjałem, mające już spore doświadczenie zawodowe. Ich aktywność to mocna wartość dodana – mówi. Ekonomista dodaje, że osoby właśnie w tym wieku często mają kredyty. – Będzie problem ze spłacaniem, a także z zaciąganiem nowych kredytów. Osoby w tym wieku często tych kredytów potrzebują, bo zakładają rodziny, kupują mieszkania. Rośnie ryzyko utraty tych kompetentnych pracowników, którzy będą się zastanawiali, czy nie wyjechać z kraju za pracą – przewiduje prof. Zbigniew Krysiak. **GP**

FOT. YULIIA - STOCK.ADOBE.COM

BIAŁORUŚ JUŻ TU JEST

Policyjne państwo pod rządami Tuska i Kierwińskiego wchodzi na kolejny poziom. Tym razem policja bezpardonowo wtargnęła do mieszkania prezesa Telewizji Republika Tomasza Sakiewicza i już na samym wejściu skuła kajdankami jego asystentkę, która otworzyła im drzwi. Funkcjonariusze odmówili wylegitymowania się, nie mieli też żadnego nakazu. Cała akcja pachnie grubym skandalem, a internautom szybko przypomniało się, że podobne obrazki oglądaliśmy w czasach „schyłkowego Tuska", kiedy funkcjonariusze szarpali dziennikarza Sylwestra Latkowskiego, próbując wyrwać mu laptopa z wrażliwymi informacjami stanowiącymi tajemnicę zawodową. Czy dzisiejsze białoruskie standardy stosowane wobec dziennikarzy to oznaka, że grunt pali się władzy pod nogami?







ZŁOTE myśli

#Państwo Policyjne



Tobiasz Bocheński @TABochenski

Policja bez nakazu i bez wylegitymowania się wchodzi do domu prezesa największej niezależnej TV w kraju. Przeszukanie i aresztowanie asystentki. Tusk robi z Polski Białoruś!



Jakub Szymczuk @jakub_szymczuk

Wbicie na chatę przez policję prezesowi największej w Polsce telewizji opozycyjnej… chyba powinno być opatrzone konkretną komunikacją ze strony rządu, w cywilizowanym kraju… prawda? Wiecie… żeby nikt nie pomyślał, że to jednak wygląda jak represje, bo nie są to represje, prawda?



John Bingham @MrJohnBingham

Chętnie dowiem się, jak @MKierwinski i @PolskaPolicja uzasadnią – w świetle ustawy o środkach przymusu bezpośredniego i broni palnej – fakt zastosowania kajdanek wobec niestwarzającej zagrożenia dla siebie i funkcjonariuszy kobiety podejrzewanej o popełnienie wykroczenia.



Jarosław Kaczyński @OficjalnyJK

Najbardziej boją się prawdy. Systematycznie uderzają w filary demokracji: wolność i niezależność. Dzisiaj na celowniku znalazły się media demaskujące obłudę i kłamstwa ich rządu. Chcą zastraszyć. Chcą zniszczyć. Odpowiedzią musi być jedność opozycji.

SAMOZAORANIE

Śpieszmy się słuchać ministrów zdrowia – tak szybko się zmieniają. Tak chciałoby się sparafrazować klasyka, kiedy słyszy się brednie wygadywane przez aktualną szefową resortu Jolantę Sobierańską-Grendę. Pani minister na pytanie o stan służby zdrowia była łaskawa wypalić, że jeździ po kraju i „widzi, jak ludzie się cieszą”. Nie wiemy, po jakim kraju jeździ pani minister, ale chyba nie była to Polska…

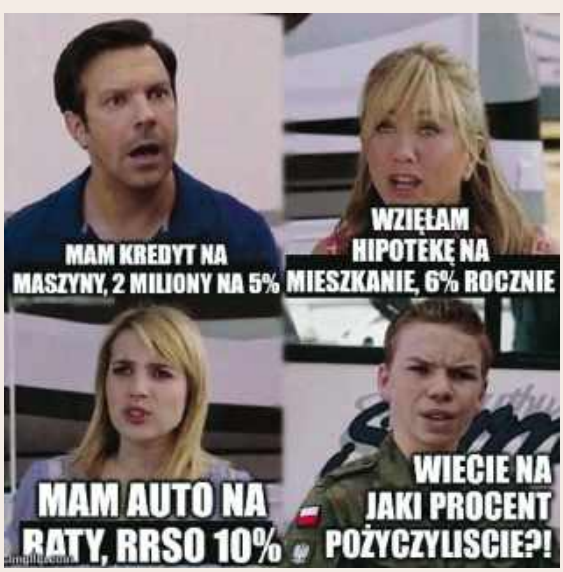




KOT W WORKU

W internecie wciąż nie milkną echa po podpisaniu umowy pożyczkowej SAFE, mającej w teorii poprawić nasze bezpieczeństwo militarne. Czy w istocie się ono poprawi? Tego nie wiadomo, ale to, co wiadomo na pewno – poprawi się sytuacja finansowa beneficjentów, u których wydamy te pieniądze. I coś nam podpowiada, że szczęśliwe będą bardziej zagraniczne zbrojeniówki niż nasze rodzime. A kto za to ostatecznie zapłaci? Pan, pani, my wszyscy! A na jaki procent? O to już niedobrze pytać…







Piotr
Grochmalski

SAFE – kasa na wybory



Z politycznego punktu widzenia SAFE może odgrywać podwójną rolę. Oficjalnie ma być programem bezpieczeństwa i modernizacji armii. Nieoficjalnie może jednak stać się gigantycznym systemem redystrybucji środków publicznych, który pozwoli związać z obozem władzy tysiące osób, firm i instytucji korzystających z państwowych kontraktów. W perspektywie wyborów parlamentarnych w 2027 roku oznaczałoby to stworzenie rozbudowanej sieci ekonomicznych zależności, w której stabilność finansowa wielu środowisk byłaby bezpośrednio powiązana z utrzymaniem obecnego układu politycznego.

PUBLICYSTYKA

Kredyt SAFE był dociskany kolanem przez ekipę Tuska w atmosferze skandalu i naruszenia konstytucji. Opinia publiczna i opozycja nieustannie miały blokowany dostęp do kluczowych informacji. A gdy w końcu ujawniona została supertajna lista polskich firm, które mają uczestniczyć w programie, okazało się, że wiele z nich to dziś „martwe dusze". Nikt z nimi się nie kontaktował w sprawie udziału w SAFE. Nie otrzymały też żadnych zaliczek. Ekipa 13 grudnia wprowadziła naszą zbrojeniówkę na pole minowe.

Nieprzejrzysty system finansowy

Cały program jest przez koalicję 13 grudnia przedstawiany jako historyczna szansa dla Rzeczypospolitej. Premier Donald Tusk twierdzi, że „Polska będzie zdecydowanie największym beneficjentem programu SAFE", ponieważ może uzyskać nawet 43,7 mld euro z unijnego mechanizmu o wartości 150 mld euro. A minister obrony Władysław Kosiniak-Kamysz przekonuje, że środki mają finansować zakup dla armii: Borsuków, Krabów, Piorunów i wielu innych projektów wojskowych (MON zgłosił podobno 139 projektów do finansowania). Ale mogą mówić, co chcą, bo wszystko, co dotyczy SAFE, jest tajemnicą. Łącznie z wysokością odsetek od tego kredytu. Oni tego po prostu nie wiedzą. Nie znają ceny tego kredytu.

Równocześnie trwa propagandowa kanonada niemieckich gadzinówek w Polsce i rządowej machiny dezinformacyjnej. Szaleństwo przekroczyło punkt krytyczny, gdy Tusk przedstawił spór o SAFE wręcz jako polityczny test europejskości Polski, mówiąc, że „najbliższe wybory zdecydują o tym, czy Polska pozostanie w Europie". Być może powiedział o jedno zdanie za dużo. Bo rzeczywiście ten zaciągnięty dług, który będzie spłacany do 2071 roku (!), ma być przede wszystkim ukrytym mechanizmem pozwalającym Koalicji Obywatelskiej na pozyskanie ogromnych środków na wybory parlamentarne w 2027 roku. Będzie to możliwe, bo SAFE to w rzeczywistości wielki, nieprzejrzysty system finansowy, żyjący własnym życiem i konsumujący znaczną część środków, jeszcze zanim trafią one do realnej gospodarki. Sama jego koncepcja prawno-finansowa jest skonstruowana tak, aby rozproszyć odpowiedzialność za przepalanie i znikanie po drodze ogromnych sum, poprzez stworzenie gąszczu instytucji, które będą pobierać haracz za koszty pośrednie. Świadomie stworzono wielopoziomowy system zarządzania pieniędzmi: Komisja Europejska, BGK, fundusze celowe, Agencja Uzbrojenia, holdingi państwowe, audytorzy i podwykonawcy. To tworzy strukturę bardziej skomplikowaną niż klasyczne finansowanie wydatków budżetowych przez Skarb Państwa. Doświadczenia pokazują, że fundusze pozabudżetowe utrudniają społeczną kontrolę nad finansami publicznymi, a NIK wielokrotnie krytykowała rozmywanie odpowiedzialności między instytucjami.

Znikające pieniądze

Nie jest prawdą, iż Polska otrzyma owe 183 mld zł pożyczki czy też 43,7 mld euro. Już na samym początku zostaniemy obciążeni przez Komisję Europejską kosztami emisji obligacji. Słono zapłacimy za prowizje dealerów, zorganizowanie syndykatu, który dokona tej operacji, i jego obsługę prawną, przygotowanie odpowiedniej dokumentacji, a następnie złożoną operację otrzymania płynności emisji całej operacji. Pochłonie to około 0,2 proc. pożyczki. Pójdzie na to od ćwierć do pół miliarda złotych, ale co to dla Tuska?



FOT. ADAM CHELSTOWSKI / FORUM

Wielkie obciążenie będą stanowiły koszty hedgingu euro/złoty (hedging to strategia zarządzania ryzykiem mająca na celu zminimalizowanie potencjalnych strat finansowych). Pożyczka SAFE jest w euro, natomiast Polska będzie wydawała pieniądze w złotych, dlatego ekipa Tuska bierze na siebie ryzyko kursu między euro a polską walutą. Aby je ograniczyć, trzeba zastosować hedging. W przypadku długu o krótkim terminie hedging to około 2 proc. rocznie. Ale w sytuacji, gdy obejmuje on aż 45 lat, nie da się obliczyć jego kosztu, choć może on pochłonąć każdego roku nawet 5 proc. lub więcej z sumy SAFE, co powoduje, iż kredyt staje się bardzo drogi, dużo droższy od zaciągniętego bezpośrednio przez Polskę. Jeśli Tusk zrezygnuje z hedgingu, może doprowadzić Polskę do gigantycznej katastrofy finansowej, bo istnieje ogromne ryzyko mocnego wzrostu kursu euro w stosunku do naszej waluty. A wówczas wpadlibyśmy w pułapkę zadłużenia. W sumie z owych 183 mld zł zaciągniętego długu pozostanie – po tym, jak Komisja Europejska weźmie swoją „prowizję" i zapłacimy za hedging – nie więcej niż 175,5 mld zł.

Jednak to zaledwie początek złożonej operacji finansowej. Owe pieniądze mają trafiać do Banku Gospodarstwa Krajowego, aby „ukryć" dług poza budżetem. Ale taka operacja jest znacznie droższa od operowania zwykłymi obligacjami. Bo BGK nie pożycza tak tanio jak Skarb Państwa, inwestorzy oczekują wyższej premii, struktury funduszowe są bardziej złożone, a bank żąda zapłaty za dodatkowe koszty operacyjne i gwarancyjne. Jeśli policzy się prowizje BGK, koszty organizacji finansowania, marżę pośredników, koszty zarządzania funduszami i refinansowania, a także narzut kosztów po drodze, znów znikają z pożyczki kolejne 2,5–3 mld zł, a całość sumy kurczy się do 172,5 mld zł.

Dodatkowo taki ukryty mechanizm pozabudżetowego zadłużania państwa utrudnia ocenę pełnego zadłużania państwa, a także osłabia kontrolę parlamentarną i sprzyja procesom korupcyjnym, co może spowodować, iż „wyparują" kolejne 3 mld zł i realnie z pożyczki zostanie 169,5 mld zł.

Na tym etapie pieniądze trafią w obieg biurokratycznej machiny powołanej na podstawie Rozporządzenia Rady UE 2025/1106 z 27 maja 2025 roku, ustanawiającego „działanie na rzecz bezpieczeństwa Europy (SAFE) poprzez instrument wzmocnienia europejskiego przemysłu obronnego". Do obsługi przez Polskę pożyczki i produkcji tysięcy sprawozdań dotyczących SAFE powstaną nowe instytucje. Rozdęta zostanie też Agencja Uzbrojenia, narastać będą batalie urzędnicze, rozwodniona zostanie odpowiedzialność finansowa za kolejne decyzje. Pochłonie to kolejne miliardy. Z uwagi na szokującą zdolność ekipy Tuska do frymarczenia publicznymi środkami, trudno ocenić skalę owej łapczywości, z jaką wykorzystywana będzie pożyczka do rozbudowy administracji. Przyjmijmy, iż owe „koszty" wyniosą ponad 5 mld zł, choć mogą być znacznie wyższe. Kredyt wynosi już ledwie 164,5 mld zł. Będziemy słyszeć każdego dnia od rządu, że przecież każdy duży program finansowany przez UE generuje systematyczne raportowanie, audyty, kontrolę zgodności wydatków, złożone procedury zakupowe, drogi nadzór prawny i finansowy oraz konieczność wydatkowania dużych środków na stałą koordynację między polską biurokracją a instytucjami UE. A przecież w przypadku projektu obronnego dochodzą jeszcze compliance eksportowy, czyli przestrzeganie wyśrubowanych przepisów dotyczących eksportu broni, podwyższony poziom bezpieczeństwa informacji czy monitoring wykonania kontraktów. A to

wszystko przecież kosztuje. Tym bardziej że środki SAFE dla Polski nie są jednym wielkim kredytem, lecz są tak skonstruowane, że „każda transza jest osobną pożyczką", co oznacza oddzielne rozliczenia, harmonogramy i procedury dla kolejnych części finansowania. A to pociąga za sobą lawinowy wzrost kosztów, bo system jest znacznie bardziej skomplikowany niż klasyczny jednolity program budżetowy. A fakt, iż rząd tworzy specjalny instrument finansowy FIZB do zarządzania pieniędzmi z SAFE, obsługiwany przez BGK, sugeruje, że skala administracyjna projektu będzie ogromna. Nie podano jednak oficjalnie liczby nowych etatów.

Dodatkowy problem polega na tym, że taki rozdęty aparat administracyjny bardzo trudno później „wyłączyć". Jeżeli po 2030 roku nie pojawią się kolejne duże programy finansowania, część tych struktur stanie się kosztowna i politycznie trudna do likwidacji. Wtedy państwo stanie przed klasycznym problemem: albo utrzymuje system kolejnymi wydatkami publicznymi, albo godzi się na redukcję zatrudnienia i kryzys w sektorze, który wcześniej samo rozbudowało.

SAFE takim samym szantażem jak KPO?

Już w 2012 roku Ulrich Beck w książce „Niemiecka Europa" odsłonił zasadniczy mechanizm, jaki współcześnie wykorzystuje Berlin do podporządkowywania sobie innych narodów. Jak stwierdził wówczas: „Nowa niemiecka władza w Europie nie opiera się więc jak w niegdysiejszych czasach na przemocy, ale na ultima ratio. Nie potrzebuje broni, by innym państwom narzucić swoją wolę. Dlatego też absurdem jest mówienie o »IV Rzeszy«. (…) Potencjał wymuszenia, którym dysponuje, nie pochodzi z logiki wojennej, ale z logiki ryzyka, a dokładniej – grożącego gospodarczego załamania. Strategia odmowy (…) nie udostępniać kredytów i pieniędzy – to dające się wielokrotnie zastosować »nie« – jest główną dźwignią gospodarczą siły Niemiec w Europie". KPO jest wzorcowym wykorzystaniem tej metody wobec Polski, aby wymusić zmianę rządu. Sukces tego manewru spowodował, iż tym razem, aby utrzymać ekipę 13 grudnia u władzy, Berlin przygotował nową wersję narzucenia Polakom woli Niemiec. Przekaz zasadniczy jest oczywisty – jeśli w wyborach 2027 roku Polacy odsuną Tuska od władzy, to powtórzy się historia z KPO. Berlin jest przekonany, że i tym razem mechanizm zadziała. Przy okazji SAFE ma głęboko wniknąć w instytucjonalną tkankę państwa. Jest tak skonstruowany, aby ułatwić jego finansową nieprzejrzystość. Ma zostać wchłonięty przez te instytucje państwa i środowiska, które będą stanowić główne wyborcze zaplecze ekipy 13 grudnia w wyborach w 2027 roku. Jak widać z przybliżonych kalkulacji, z owych 183 mld zł już na wstępnych etapach „wyparuje" ogromna suma 18,5 mld zł. Jednak nie będzie tak, iż owe pozostałe 164,5 mld zł zostanie bezpośrednio wykorzystane do produkcji uzbrojenia. Dla Polskiej Grupy Zbrojeniowej to wyjątkowa okazja, aby narzucić wysoką marżę, która trafi do centrali holdingu i zostanie wykorzystana na wsparcie słabszych spółek grupy, obsługę całej struktury, a także na zwiększenie wynagrodzenia dla zarządów i koordynację innych projektów. Przy tak wielkich projektach marża może sięgnąć nawet 6 proc. sumy, a więc niemal 10 mld zł. Realnie pozostaje więc nie więcej niż 154,5 mld zł.

Szaleństwo ekipy Tuska

Ale to nie koniec owego procesu „przepalania" gigantycznych pieniędzy. Niemniej dramatyczna jest ostatnia faza tego szaleństwa ekipy 13 grudnia. Wszyscy eksperci doskonale wiedzą, że polska zbrojeniówka nie jest w stanie zaabsorbować nawet tych 154 mld zł w tak wariackim tempie (cztery lata), jakie narzucił SAFE. To najważniejsza i najgroźniejsza pułapka całego projektu. Całość zamówień ma być bowiem skończona do 2030 roku. Ograniczone moce produkcyjne, braki kadrowe, uzależnienie od zagranicznych komponentów i wieloletnie terminy realizacji powodują, że miażdżąca większość tych środków będzie musiała zostać wydana poza Polską – na licencje, elektronikę, silniki, technologie i importowane podzespoły. Patrząc chłodno na liczby, harmonogramy i obecne zdolności produkcyjne, najbardziej realistyczna odpowiedź brzmi: polska zbrojeniówka prawdopodobnie nie jest w stanie efektywnie zaabsorbować pełnych 180 mld zł nowych zamówień i fizycznie zrealizować ich do 2030 roku bez ogromnego wzrostu importu, przesuwania terminów lub gwałtownego zwiększenia mocy produkcyjnych. Problem nie leży wyłącznie w samych fabrykach, lecz w całym łańcuchu dostaw: podwykonawcach, elektronice, silnikach, optyce, amunicji, certyfikacjach, testach i kadrach.

Najlepszym przykładem jest program Borsuk. Sama umowa ramowa zakłada około 1400 pojazdów różnych wersji. Tymczasem pierwsza umowa wykonawcza obejmuje jedynie 111 pojazdów za około 6,5 mld zł z dostawami rozłożonymi na lata 2025–2029. To pokazuje skalę problemu: po wielu latach przygotowań seryjna produkcja dopiero się rozpędza. Według analiz branżowych celem produkcyjnym jest dojście do około 100–120 Borsuków rocznie, ale obecnie moce są znacznie niższe. Jednocześnie program obejmuje około 250 podwykonawców. Oznacza to niezwykle skomplikowaną sieć zależności produkcyjnych, w której opóźnienie jednego komponentu może zatrzymać cały łańcuch. Produkcji zbrojeniowej nie da się „włączyć przełącznikiem". Budowa nowych linii, szkolenie pracowników, certyfikacja technologii, rozbudowa zakładów i zabezpieczenie dostaw komponentów zajmują lata. Nawet jeśli PGZ zwiększy moce, duża część wartości kontraktów i tak będzie musiała zostać wydana za granicą – na silniki, elektronikę, sensory, komponenty rakietowe, licencje i technologie. W praktyce oznacza to, że tylko część pieniędzy pozostanie w polskim przemyśle jako realna wartość dodana. Z tym wiąże się ryzyko „marży pośpiechu": im większa presja czasowa i polityczna, tym większe prawdopodobieństwo przepłaconych kontraktów, przepalanych pieniędzy, łapówek i zakupów realizowanych w trybie nadzwyczajnym.

Nie jest też możliwe sensowne zakontraktowanie całości projektów do końca maja 2026 roku. Sama PGZ przyznaje, że prowadzi intensywne negocjacje i liczy

na podpisanie kolejnych umów właśnie przed tym terminem. Jednak przy skali programu pojawia się ryzyko kontraktowania „na szybko” – podpisywania umów ramowych, listów intencyjnych i deklaracji produkcyjnych bez pełnego dopracowania harmonogramów, zdolności podwykonawców czy rzeczywistych kosztów. Im większa presja czasu politycznego, tym większe ryzyko błędów, przepłaconych kontraktów i problemów z realizacją po 2027–2028 roku.

Nie tylko projekt obronny

Szokująca jest też logika programu. W oczywisty sposób wynika z niej, iż pieniądze te mają pozwolić Tuskowi zbudować sieć zależności i interesów, które pozwolą mu wygrać wybory w 2027 roku. Historycznie wielkie fundusze infrastrukturalne i inwestycyjne często tworzyły sieci zależności między państwem, biznesem i administracją. Ogromny system kontraktów ma budować środowiska ekonomicznie zainteresowane utrzymaniem obecnego układu politycznego. Ma to stworzyć nowe kanały niejasnych, prokorupcyjnych powiązań między ekipą Tuska a beneficjentami funduszy. Zbudowane zostaną też całe struktury administracyjne do obsługi funduszy i nadzoru ich spłaty. Z uwagi na to, iż cała operacja była ukryta przed opinią publiczną i mediami, a także że nie są znane mechanizmy i kryteria, jakimi kierowano się w dokonywaniu wyborów, trudno nie odnieść wrażenia, iż możemy mieć do czynienia z zaplanowanym mechanizmem korupcji wyborczej. Z uwagi na to, że rząd w nieprawdopodobnym tempie zadłuża Polskę, a równocześnie wszędzie zaczyna brakować pieniędzy, rośnie przekonanie o przepalaniu gigantycznych sum. Procesy te mogą wskazywać na odradzanie się mechanizmów korupcyjnych – także w relacjach między Komisją Europejską a ekipą 13 grudnia. Nie istnieje możliwość twardej weryfikacji, czy finansowy system SAFE w przypadku Polski został świadomie skonstruowany tak, by finansowo uzależnić tysiące ludzi i środowisk od Koalicji Obywatelskiej oraz wspierać ją w wyborach parlamentarnych. Rozbudowany system funduszy publicznych tworzy podatny grunt pod polityczne zależności i klientelizm.

Przypomina to zjawiska charakterystyczne dla pierwszych rządów Tuska. Co prawda SAFE nie jest piramidą finansową, ale z pewnością jest przykładem silnie złożonego i potencjalnie nieprzejrzystego mechanizmu długu publicznego oraz kreowania funduszy pozabudżetowych, a więc tworzy korzystne warunki do ogromnych nadużyć. Jest rajem dla budowania środowiska prokorupcyjnego – w mętnej wodzie, przy sparaliżowanych służbach państwowych, znikać będą dziesiątki miliardów złotych. A stworzone mechanizmy będą uniemożliwiały wskazanie winnych owego przepalania publicznych pieniędzy.

Ograniczone moce produkcyjne, braki kadrowe, uzależnienie od zagranicznych komponentów i wieloletnie terminy realizacji powodują, że miażdżąca większość środków z SAFE będzie musiała zostać wydana poza Polską.

Sama konstrukcja SAFE ma zatem cechy charakterystyczne dla mechanizmów piramidalnych: utrzymanie systemu wymaga stałego dopływu nowych transz finansowania, kolejne fundusze obsługują wcześniejsze zobowiązania, a pełny obraz zadłużenia staje się rozproszony i trudny do społecznej kontroli. Im bardziej rozbudowany system pośredników, tym łatwiej ukrywać rzeczywiste koszty obsługi długu, marże organizacyjne i przepływy finansowe między instytucjami. SAFE ma dodatkowo opierać się na dziesiątkach osobnych transz finansowych, z których każda może funkcjonować według własnych harmonogramów i procedur. W praktyce oznacza to system, którego przeciętny obywatel nie będzie w stanie śledzić ani zrozumieć.

Najbardziej kontrowersyjny jest jednak polityczny wymiar całej konstrukcji. Według przeciwników programu SAFE nie jest wyłącznie projektem obronnym, lecz także narzędziem budowy długoterminowego zaplecza politycznego przed wyborami parlamentarnymi w 2027 roku. Mechanizm miałby działać poprzez uzależnianie od przepływu publicznych pieniędzy tysięcy osób i środowisk: urzędników, spółek konsultingowych, kancelarii prawnych, agencji audytowych, ekspertów, zarządów państwowych holdingów, samorządów i firm podwykonawczych. Im większa liczba instytucji żyjących z obsługi SAFE, tym większa grupa ekonomicznie zainteresowana utrzymaniem obecnego systemu politycznego. W tej interpretacji SAFE staje się nieformalnym mechanizmem politycznej korupcji systemowej – nie w klasycznej formie łapówek, lecz poprzez budowę ekonomicznej zależności całych środowisk od decyzji administracyjnych i przepływu funduszy publicznych. To właśnie dlatego przeciwnicy programu podkreślają znaczenie funduszy pozabudżetowych i rozproszenia odpowiedzialności. Gdy pieniądze przepływają przez wielostopniowy łańcuch, praktycznie niemożliwe staje się jednoznaczne ustalenie odpowiedzialności za straty, opóźnienia czy nieefektywność. Każda instytucja może twierdzić, że jedynie „obsługuje proces”. Bo przecież tak naprawdę chodzi o ukryte przed opinią publiczną finansowe wsparcie KO w wyborach w 2027 roku. **GP**



Dawid
Wildstein

PRZYZWOITOŚĆ nakazuje być po stronie Ziobry



Ziobro nie ma być sądzony za nieprawidłowości, błędy czy nawet za korupcję. W propagandzie uśmiechniętej Polski okazuje się on rodzajem największego ze złoczyńców, którego ukaranie jest konieczne, aby można było uzdrowić rzeczywistość i ostatecznie „pokonać zło". Tego typu propaganda nie ma nic wspólnego z demokracją i prawem, jest najbardziej plemiennym, prymitywnym populizmem, opartym na najgorszych ludzkich emocjach. W tej sytuacji przyzwoity człowiek, nawet najbardziej krytycznie oceniający efekty działań Ziobry, musi stanąć po stronie byłego ministra sprawiedliwości.

PUBLICYSTYKA

Jedno jest pewne. Niezależnie od tego, co sądzimy o Zbigniewie Ziobrze, nie ma on obecnie szans na uczciwy proces. Ktoś mógłby powiedzieć, że tak ostre postawienie sprawy jest przesadą, nawet w uśmiechniętej Polsce zdarzają się wyroki nie po myśli uśmiechniętej władzy. Najlepszym przykładem jest sędzia Łubowski, który odmówił wystawienia europejskiego nakazu aresztowania w sprawie Romanowskiego. W końcu nawet Gawłowski został skazany już za urzędowania Żurka.

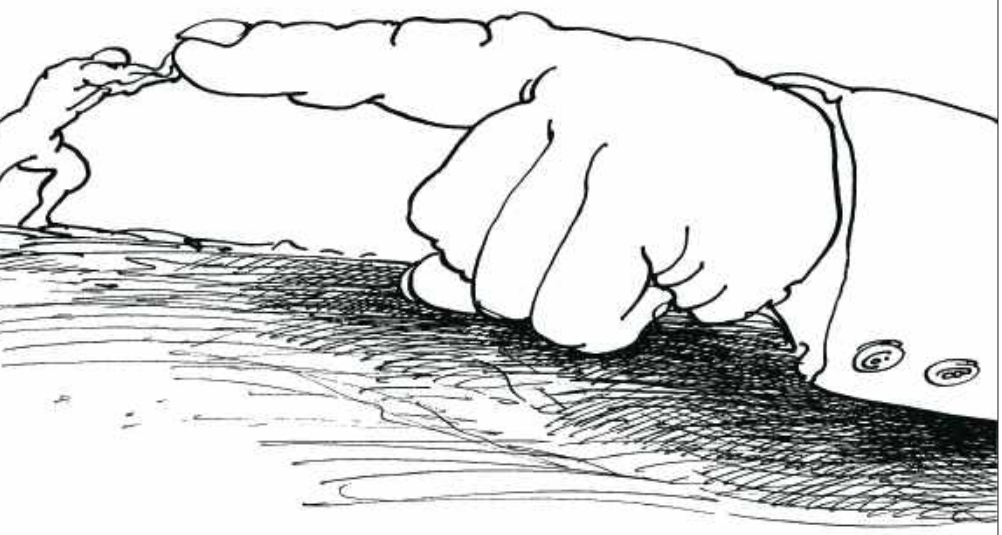
To nie będzie uczciwy proces

To prawda, z tym że ta władza uczy się na swoich błędach. Wszystko wskazuje na to, że doszłoby w sprawie Ziobry do tego samego, z czym mamy do czynienia w wypadku ks. Olszewskiego i dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości, i to jeszcze w sposób zintensyfikowany, zważywszy na to, jak ważny jest dla rządzących casus Ziobry. Władza zrobiłaby wszystko, żeby w każdym momencie tej politycznej sprawy odpowiednio – mówiąc językiem ministra sprawiedliwości – „zaufani" ludzie pilnowali jej przebiegu, z właściwym sędzią na czele. Zauważmy zresztą, że jedyne, do czego doprowadziły „reformy" Żurka, to właśnie do maksymalizacji możliwości wpływu na proces sądowy przez polityków. Także poprzez sterroryzowanie samych sędziów, pokazanie im, co się stanie, gdy któryś z nich wyda wyrok nie po myśli władzy. Dziś każdy z nich wie, z czym się to wiąże, ma bowiem w pamięci to, co spotkało chociażby wspomnianego już sędziego Łubowskiego po odmowie wystawienia ENA dla Romanowskiego. Ma świadomość, że przeciwstawienie się bezprawiu uśmiechniętej Polski kończy się szykanami i złamaniem kariery.

Nawet więc uznając, że jakimś cudem ta władza nie zdołałaby „przypilnować" tego, by jej człowiek sądził Ziobrę, nietrudno domyślić się, co działoby się w trakcie samego procesu. Presja, której zostaliby poddani ludzie, od których zależałby los byłego ministra sprawiedliwości, byłaby wręcz niewyobrażalna. Władza już pokazała, że zaangażuje w to wszystkie środki, jakimi dysponuje, w tym szantaż czy groźby. Dziwne operacje czy nawet prowokacje służb – to dla niej normalka. Ewentualna zorganizowana kampania, zarówno mediów sprzedanych Tuskowi, jak i gigantycznych farm trolli, mająca zastraszyć sędziego, zaatakować nie tylko jego, lecz także jego rodzinę? Proszę bardzo, przecież właściwie już się to dzieje. Tydzień temu Giertych w programie arcykapłanki propagandy Doroty Wysockiej-Schnepf publicznie dziwił się, dlaczego sędziowie nie są dość „aktywni" w ściganiu Ziobry. Trudno to interpretować inaczej niż jako formę groźby, żeby zaczęli się „przykładać do roboty", tak jak chce tego prawa ręka Tuska.

Ziobro może nie przeżyć

Już na podstawie wyżej wymienionych okoliczności widać wyraźnie, że przyjazd do Polski wiązałby się dla Zbigniewa Ziobry z gigantycznym ryzykiem i nie miałby nic wspólnego z „oddaniem się w ręce sprawiedliwości". Zamiast tego mielibyśmy do czynienia z populistycznymi igrzyskami, kampaniami nienawiści i bardzo dużym prawdopodobieństwem ustawionego procesu. A to ostatnie i tak przy „optymistycznym" założeniu, że Ziobro dotarłby na salę sądową. Patrząc bowiem na „standardy" uśmiechniętej Polski, dużo bardziej prawdopodobne jest, że władza, chcąc do maksimum „wycisnąć" propagandowy aspekt tej sprawy, zdecydowałaby się na wielomiesięczny areszt dla Ziobry, a wymiar czasu byłby arbitralną decyzją rządzących.



RYS. ANTONI CHODOROWSKI

Ci już pokazali, że w takich kwestiach nie mają zamiaru, przywołując słynne słowa jednej z najważniejszych postaci obecnego wymiaru sprawiedliwości, prokurator Wrzosek, „liczyć się z literą prawa”.

W tym kontekście fundamentalny dla oceny tego, co dzieje się wokół Ziobry, jest stan zdrowia byłego ministra sprawiedliwości. Sprawa jest oczywista – ma on pełne prawo obawiać się, że może nie dożyć procesu. I nie jest to żadna publicystyczna przesada czy histeria, tylko konieczny wniosek wypływający z obserwacji tego, co ta władza urządziła w sprawie innych oskarżonych, odgrywających rolę ich politycznych kozłów ofiarnych. Wszyscy widzieliśmy, w jakim stanie wyszedł z aresztu ks. Olszewski, a przecież, w przeciwieństwie do Ziobry, kiedy został zamknięty, był zdrowym, w pełni sił mężczyzną. Nawet związany z obecną władzą rzecznik praw obywatelskich potwierdził, że w wypadku zarówno tego kapłana, jak i dwóch byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości doszło do złamania prawa, w tym do „nieludzkiego traktowania”. Przypomnijmy też casus Dominika B., oskarżonego w sprawie RARS. Funkcjonariusz Bodnara, prokurator Karol Zok, dysponował pełną dokumentacją medyczną podejrzanego, z której jednoznacznie wynikało, że potrzebuje on codziennie przyjmować specjalistyczne leki, inaczej istnieje ryzyko całkowitej utraty wzroku. Tymczasem prokuratura tygodniami uniemożliwiała mu, trzymając go w pełnej izolacji, właściwe leczenie. Nietrudno się domyślić dlaczego – była to forma tortur, mających skłonić go do właściwych zeznań. Zauważmy, że mówimy tu o człowieku chorym na oczy (co już samo w sobie jest koszmarne), a nie na raka.

Spalić i torturować czarownicę

Nawet jednak pomijając wszystko to, co zostało opisane powyżej, nadal jest oczywiste, że Ziobro nie ma być sądzony za nieprawidłowości, błędy czy nawet za korupcję. Cała uśmiechnięta Polska, tak jej media, politycy, jak i odbiorcy, świadomie uczestniczy w tym kłamstwie. Wie, że te „zarzuty” to czysty pretekst, spektakl prawny pełniący, z ich perspektywy, funkcję dekoracyjną. Po pierwsze, brednie o zorganizowanej grupie przestępczej „przekupującej wyborców” opisują mechanizm dokładnie tak stary jak demokracja, czyli starania o utrzymanie i poszerzenie własnego elektoratu poprzez podwyższanie ludziom statusu życia, bezpieczeństwa etc. To mechanizm, o którym można dyskutować, niemniej nie jest on ex definitione patologiczny czy przestępczy, obecna władza robi to samo, bez porównania zresztą bardziej ostentacyjnie. Po drugie, kolejne kryzysy, takie jak chociażby pożar w Puszczy Solskiej, pokazały, jak ważne są te „mafijne” zakupy wozów strażackich. Po trzecie, nawet uznając Ziobrę za winnego zarzucanych mu czynów, nadal nie stał on nawet obok takich person jak Giertych i Nowak, którym Bodnar i Żurek skręcili śledztwa w prawdziwych aferach. Tak naprawdę Ziobro ma zostać ukarany jako symbol. Ma być nauczką dla tych, którzy ośmielają się podskoczyć Tuskowi i Brukseli. Jest on podręcznikowym przykładem kozła ofiarnego.

Narracja, za pomocą której opisuje go uśmiechnięta Polska, jest sekciarska, skrajnie histeryczna, infantylna i na swój sposób „magiczna”. Ziobro okazuje się rodzajem demona, największego ze złoczyńców, którego ukaranie jest konieczne, aby można było uzdrowić rzeczywistość i ostatecznie „pokonać zło”. Tego typu propaganda nie ma nic wspólnego z demokracją i prawem, jest najbardziej plemiennym, prymitywnym populizmem, opartym na najgorszych ludzkich emocjach. Zresztą widzimy to po tym, co prezentują w sprawie Ziobry wyznawcy uśmiechniętej sekty, jak wprost życzą mu śmierci, cieszą się z jego choroby, oczekują od władzy jak największej brutalności. Ziobro to czarownica, którą trzeba spalić na stosie, a najlepiej wcześniej jeszcze publicznie ją torturować. Oto poziom, do którego udało się Tuskowi i jego mediom sprowadzić część polskiego społeczeństwa. To wszystko pokazuje też, jak zniszczona została przez uśmiechniętego premiera i jego ośrodki propagandowe debata publiczna. W normalnym państwie poważna, pogłębiona, dopuszczająca krytyczne głosy rozmowa o reformach i działalności Ziobry byłaby konieczna. Tymczasem jest to u nas niemożliwe. Jedyne, co w tej sytuacji pozostaje przyzwoitemu człowiekowi, nawet najbardziej krytycznie oceniającemu efekty działań Ziobry, to stanąć po stronie byłego ministra sprawiedliwości. **GP**



Krzysztof
Wołodźko

CHŁOPCY Z FERAJNY

Jak partia Tuska szkodzi Polsce Wschodniej



Kilka mediów obudziło się poniewczasie i ze sporym opóźnieniem podaje do wiadomości to, co jako pierwszy przekazał portal Niezależna.pl: rząd Donalda Tuska nie zamierza starać się o kolejne środki na Program Operacyjny Rozwój Polski Wschodniej (obecnie Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej), który powstał w 2007 roku jeszcze staraniem Prawa i Sprawiedliwości. To potężna strata nie tylko dla Podkarpacia – obecna władza wkrótce wygasi program. Polityka antyspołeczna znów idzie w parze z zemstą na elektoracie prawicowych partii politycznych.

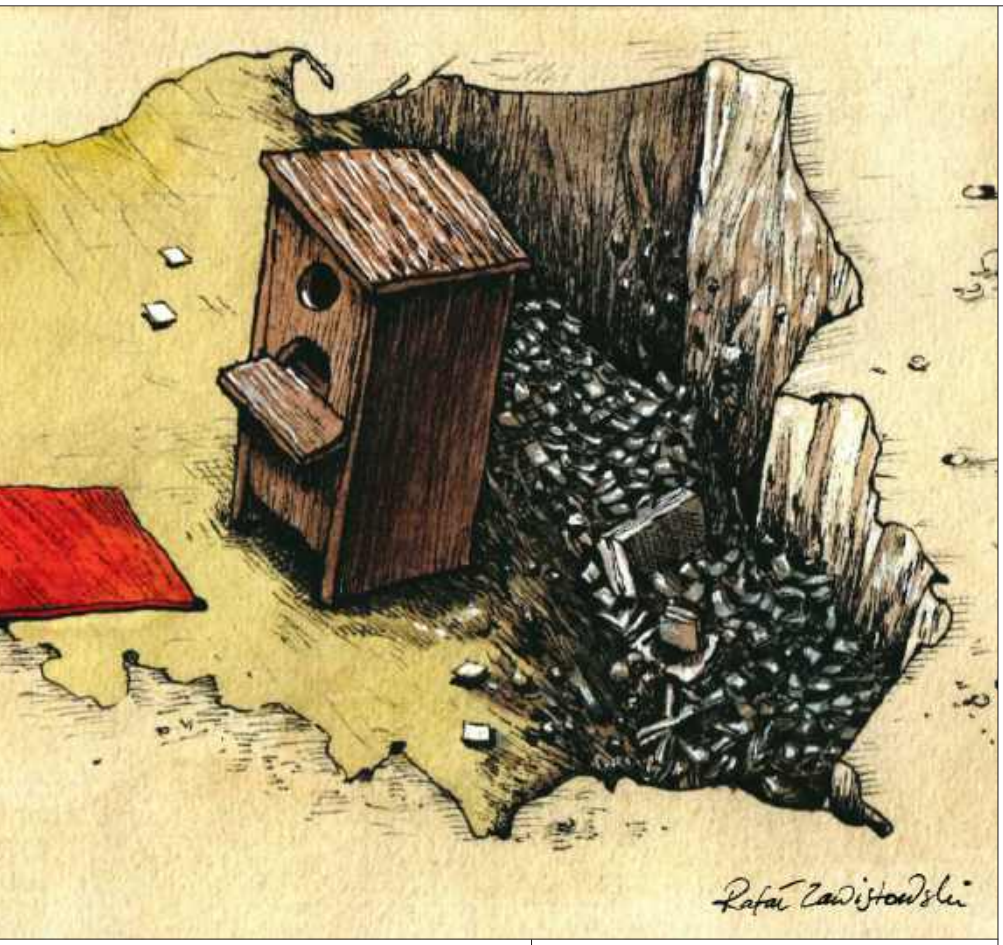
PUBLICYSTYKA

W pierwszej połowie maja prezydent Chełma poinformował, że trzynastogrudniowy rząd cichcem zamyka Program Operacyjny Rozwój Polski Wschodniej (PO RPW). W trakcie kolejnej konferencji z cyklu „Myśląc Polska – Alternatywa 2.0" Jakub Banaszek mówił: „Kilka dni temu dostałem informację, że, niestety, ale tak bardzo ważny dla Chełma, województw podkarpackiego, lubelskiego, podlaskiego czy świętokrzyskiego i warmińsko-mazurskiego program Polski Wschodniej zostanie zlikwidowany. Że jego nie będzie! Ta góra środków, która była potrzebna, nie będzie już do nas płynęła. Ale obecna minister funduszy zajęta jest walką o polityczne stołki, choć powinna używać swoich kompetencji po to, żeby walczyć. Nie robi tego".

Program Polski Wschodniej to osiągnięcie PiS

Informację błyskawicznie podał portal Niezależna.pl, ale w większości mediów zapadła głucha cisza. Dobry tydzień później sprawą zainteresowała się biznesowa redakcja Wprost.pl, przyznając, że unijny program, zapewniający finansowe wsparcie dla ściany wschodniej, nie będzie kontynuowany. Co znamienne, dalej czytamy: „Program Polski Wschodniej to osiągnięcie PiS. Mieszkańcy wschodniej części Polski dobrze o tym wiedzą i odwdzięczają się przy urnach wyborczych. We wschodniej Polsce PiS wygrywa wszystkie wybory bez wysiłku". Dobrze sprofilowany program, który pomógł wielu regionom naszego kraju choć częściowo poradzić sobie z transformacyjnym szokiem, obejmował województwa: lubelskie, podlaskie, podkarpackie, świętokrzyskie, warmińsko-mazurskie, w latach 2021–2027 korzystały z niego również mazowieckie samorządy, ale z wyłączeniem Warszawy. Dzięki staraniom partii Jarosława Kaczyńskiego w latach 2007–2013 wschodnia Polska otrzymała z tego programu blisko 2,4 mld euro (Unia oferowała początkowo o ponad połowę mniejsze pieniądze). W latach 2014–2020 budżet PO RPW wyniósł ponad 2 mld euro. I wreszcie budżet programu Fundusze Europejskie dla Polski Wschodniej (FEPW), czyli kontynuacja PO RPW, na lata 2021–2027 to ponad 2,6 mld euro.

Trudno się dziwić, że mainstreamowe media wolą milczeć na ten temat: potencjalnie to kolejny, duży wizerunkowy pożar do gaszenia dla ekipy Donalda Tuska i wspierających go ośrodków opinii. Ale wschodnia Polska już wie, co się szykuje, rośnie niepokój i samorządowców, i mieszkańców. Marszałek województwa podkarpackiego Władysław Ortyl (sekretarz stanu w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego za pierwszych rządów PiS) mówi bez ogródek: „Istnieje wielkie zagrożenie, że program operacyjny Polska Wschodnia nie będzie miał kontynuacji. To paradoks, że bardziej za tym programem dzisiaj opowiada się Bruksela i Komisja Europejska niż ministerstwo czy rząd w Warszawie". I dodaje: „Poprzednio było odwrotnie, Bruksela była bardzo sceptyczna do tego



RYS. RAFAŁ ZAWISTOWSKI

programu, przynajmniej w tej drugiej edycji" (cytuję za portalem Nowiny24.pl). Mamy do czynienia ze skandaliczną wręcz sytuacją: unijne ośrodki, które przecież nigdy nie były specjalnie zainteresowane „pompowaniem" pieniędzy do Polski, szczególnie za rządów Zjednoczonej Prawicy, dziś widzą większy pożytek w kontynuacji programu niźli liberalno-postkomunistyczny polityczny układ skupiony wokół Donalda Tuska.

Łukacijewska wepchnięta na minę

Na marginesie: nastroje jak zwykle próbuje tonować europosłanka Koalicji Obywatelskiej Elżbieta Łukacijewska: „Walczymy o specjalne, dodatkowe pieniądze dla regionów przyfrontowych, graniczących z Ukrainą, Białorusią i Rosją. Takie działania wymagają ciszy dyplomatycznej. Trzeba wykazać się ciężką pracą i dyplomacją, żeby nam się udało dodatkowo coś osiągnąć". Pani europosłanka musi jednak doskonale zdawać sobie sprawę, że znów ktoś ją wpakował na minę. To ona w 2025 roku, po porażce wyborczej Rafała Trzaskowskiego, udzieliła „GW" głośnego wywiadu, w którym mówiła, że politycy Platformy Obywatelskiej/Koalicji Obywatelskiej kompletnie odpuścili sobie Podkarpacie czy wręcz je lekceważą.

Łukacijewska mówiła wówczas: „Samorządowcy mówią mi: byli ministrowie z PiS-u niewiele nam pomogli, ale zawsze mieli dla nas czas. Jak zadzwoniliśmy, to w trzy minuty było umówione spotkanie. Minister wychodził po nas na korytarz. Czuliśmy, że ktoś nas szanuje. A wy nie macie dla nas w ogóle czasu. Oczywiście minister nie jest od tego, ale żyjemy w trudnych czasach i w kraju, w którym ludzie mają swoje potrzeby emocjonalno-wartościujące". Zostawmy na boku kwestię, czy „ministrowie z PiS niewiele pomogli" podkarpackim samorządowcom – historia programu rozwojowego Polska Wschodnia wskazuje na coś diametralnie innego. Wiele wskazuje na to, że problemy polityczne Koalicji Obywatelskiej we wschodnich województwach Polski jeszcze się pogłębią. A Elżbieta Łukacijewska desperacko robi dobrą minę do coraz gorszej gry.

Niegdyś linia Curzona, dziś linia Tuska

Problem jest szerszy. Koalicja Obywatelska w sprawach społeczno-gospodarczych niewiele potrafi, ale jedno trzeba jej przyznać: z wielką determinacją i niemałym talentem łączy ekonomiczne nieudacznictwo, które szczególnie uderza w Polskę B, z ostentacyjną wręcz polityczną wendetą. W „Chłopcach z ferajny" Martina Scorsese znajdziemy wątek, w którym „dobre chłopaki" przejmują sklep nieszczęśnika, który nie tylko nie cieszył się ich zbytnią sympatią, lecz dodatkowo uwikłał się w krzywe interesy z nimi. Ferajna szybko doprowadziła biznes jego życia do ruiny. Ta metafora nie jest doskonała, bo Podkarpacie wolałoby pewnie nie robić żadnych biznesów politycznych z partią Tuska, ale mechanizm zemsty jest podobny: partia Tuska przejęła Polskę i najbardziej niszczy i szkodzi tym regionom kraju, które uznaje za nieprzychylne sobie. To jest logika lumpenliberalnych elit III RP, których interesy żyruje Koalicja Obywatelska. Ten mechanizm nie dotyczy wyłącznie Polski Wschodniej, uderza z całą mocą w Polskę B od Odry do Bugu, od Bałtyku aż po Tatry. W większych i mniejszych miejscowościach masowo upadają lokalne zakłady pracy, zamykają się rodzime firmy i filie zachodnich biznesów, publiczna ochrona zdrowia zależy od minister Jolanty Sobierańskiej-Grendy, która bez mrugnięcia okiem potrafi ściemniać w telewizji, że pacjenci są bardzo zadowoleni z zapaści systemu, wreszcie – z twardych danych wynika, że polski przemysł wpadł w recesję. A chłopcy z ferajny? Najpewniej wynoszą sprzęt ze zrujnowanego sklepu.

Na koniec zostawię Państwa z myślą tak straszną, że aż prawdopodobną w przypadku trzynastogrudniowej ekipy. Być może kalkuluje ona, że i tak zostawi Polskę Wschodnią na pastwę Rosjan i wyznaczy „linię obrony", czyli de facto podziału III RP, na „linii Tuska". I już w tę część Polski, której szczerze nie znosi, nie opłaca się jej inwestować. **GP**

GAZETA POLSKA



Witold **Gadowski**

Krakowski oddech NA PARTYJNYCH PLECACH

Powodzenie krakowskiego ruchu referendalnego będzie znakomitym przykładem dla innych dużych miast, w których również trwa okupacja lokalnych decyzji i budżetów przez partyjnych nominatów, i to przeważnie z pokrewnych prezydentowi Miszalskiemu kręgów Platformy Obywatelskiej.

W ubiegłą niedzielę na Moście Piłsudskiego w Krakowie i na murze okalającym Wawel wyrosły wielkie banery z napisami informującymi, że referendum 24 maja jest głosem wolnych Krakowian. Miejsca były trudno dostępne, więc urzędnicy przegrywającego prezydenta Aleksandra Miszalskiego musieli mocno się nabiedzić, aby cenzuralnie zedrzeć napisy umieszczone tam przez Krakowian. Ruch referendalny pod Wawelem nie podlega żadnej kontroli partii politycznych, właściwie to jest tajemnicą jego dotychczasowego sukcesu. Działają sami mieszkańcy, lokalne stowarzyszenia i grupy, nie ma podziałów politycznych serwowanych z mediów i z Warszawy. W studiach telewizyjnych mądrzą się partyjni dziennikarze i „analitycy", ale żaden z nich nie ma pojęcia o tym, jak rzeczywiście rozgrzewa się referendalny żywioł. Prawdziwi liderzy tego ruchu nie mają partyjnych afiliacji i nie brylują w mediach, oni są na ulicach: uświadamiają, pokazują nowe kierunki, przekonują. Tak rośnie w Krakowie nowa elita, która nie słucha partyjnych przekazów dnia. Obserwuję to na co dzień i codziennie też rozmawiam z ludźmi prawdziwie zaangażowanymi w dążenie do zmian. Wszyscy podkreślają, że wreszcie pojawiła się szansa na wydarcie samorządowych spraw z łap partyjniaków. To rodzi w mieście entuzjazm.

Oczywiście miejskie władze i środki zostały zaangażowane do tego, aby mieszkańcom referendum obrzydzić i skłonić ich do pozostania w domu. „Demokraci", którzy na wszystkie sposoby szarpią deklinacją słowa „konstytucja" i „demokracja", właśnie teraz występują przeciwko najczystszemu przejawowi demokracji bezpośredniej – referendum nad odwołaniem nieudolnego prezydenta i nadmiernie rozpolitykowanej rady miasta. Pojawiają się zastraszenia wobec przedsiębiorców wspierających akcję mieszkańców. W powietrzu unosi się zapach strachu partyjnych nieudaczników, którzy mogą stracić lukratywne posadki. W mieście głośno mówi się też o układzie zawartym przez ministra Kosiniaka-Kamysza z premierem Tuskiem – w wypadku gdy referendum uzyska odpowiednią frekwencję i obecny prezydent zostanie odwołany, jego macierzysta partia położy na nim krzyżyk i poparcie zyska brat byłego sekretarza kardynała Stanisława Dziwisza – Ireneusz Raś, który po zwiedzeniu PiS i PO ostatecznie wylądował w sferach bliskich PSL-owi Kosiniaków. Raś ma być poparty w staraniu się o fotel prezydenta miasta, a ksiądz Dariusz Raś rozpatrywany jest do ponownego objęcia probostwa w najbogatszej parafii w Polsce – parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny – czyli Kościoła Mariackiego na krakowskim Rynku.

Jest duża szansa, aby te wszystkie plany słodko pokrzyżować i doprowadzić do wyboru prawdziwie obywatelskiego kandydata na prezydenta, który w drugiej turze jesiennych wyborów jest w stanie pokonać partyjnego nominata. Wszystko jednak zależy od tego, czy w majowym referendum uda się uzyskać frekwencję przekraczającą ponad 160 tys. uczestników. To będzie największy test przed wyborami parlamentarnymi, zapowiedzianymi na przyszły rok. Jego wynik może zdeterminować przemiany w polskiej polityce, które mogą nadać kształt temu, co wydarzy się w całej Polsce. Powodzenie krakowskiego ruchu referendalnego będzie także znakomitym przykładem dla innych dużych miast, w których również trwa okupacja lokalnych decyzji i budżetów przez partyjnych nominatów, i to przeważnie z pokrewnych prezydentowi Miszalskiemu kręgów Platformy Obywatelskiej. To w istocie może być najbardziej dotkliwy cios zadany umowom okrągłego stołu, które ciągle odciskają swoje piętno na wydarzeniach w naszym kraju. **GP**

Ruch referendalny pod Wawelem nie podlega żadnej kontroli partii politycznych, właściwie to jest tajemnicą jego dotychczasowego sukcesu. Działają sami mieszkańcy, lokalne stowarzyszenia i grupy, nie ma podziałów politycznych serwowanych z mediów i z Warszawy.

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

GEN. ANDERS I JARUZELSKI



Tadeusz **Płużański**

Maj 1944, Monte Cassino – to jedno z największych zwycięstw w historii polskiego oręża. Żołnierze 2 Korpusu gen. Władysława Andersa zdobyli klasztor, będący w niemieckich rękach twierdzą, która miała być nie do zdobycia. Wcześniej bili się tam Brytyjczycy, Amerykanie, Francuzi – doborowe alianckie jednostki nie były w stanie sforsować niemieckich umocnień. Udało się to dopiero naszym rodakom. Biało-czerwony sztandar załopotał na gruzach. Stało się tak zarówno dzięki doskonałemu wyszkoleniu polskich żołnierzy, jak i z powodu tego, że – jak pisał poeta – „po makach szedł żołnierz i ginął, lecz silniejszy od śmierci był gniew". Zaiste polscy patrioci musieli odczuwać gniew – Polska poddana krwawej okupacji przez hitlerowskie Niemcy i sowiecką Rosję. Rozłąka z rodzinami. Wcześniej wywózka na Wschód, graniczące z cudem uniknięcie katyńskiej zbrodni, potem wędrówka przez Bliski Wschód do Włoch. Po zwycięskiej bitwie musieli przełknąć kolejną gorzką pigułkę. Dowiedzieli się, że ich krew, cierpienie, poświęcenie zostały przehandlowane – że zostaliśmy jako kraj i naród sprzedani w sowieckie łapy przez tych, o których wolność też walczyliśmy. Większość polskich bohaterów musiała pozostać na obczyźnie. Nawet maskotka oddziału – oswojony niedźwiedź Wojtek – swoich dni dożywała w klatce w ogrodzie zoologicznym. Polscy żołnierze trafili na zmywak, sprzątali ulice. Tak Wielka Brytania dziękowała naszym żołnierzom, oficerom. Na emigracji pozostał też autor poruszającej pieśni „Czerwone maki" Feliks Konarski. Tak samo popularni przedwojenni aktorzy – Szczepcio i Tońcio. W końcu gen. Władysław Anders czy gen. Stanisław Maczek. Ten ostatni oficerowi, który wracał do okupowanej przez Stalina Polski, twierdzącemu, że tylko krowa nie zmienia poglądów, odparował: „Krowa nigdy, świnia zawsze". I warto pamiętać, że w czasie, gdy nasi bohaterowie tułali się po świecie, młody Wojciech Jaruzelski i Czesław Kiszczak w okupowanym państwie za wypłacane przez wroga srebrniki pięli się w górę po czerwonej drabinie wpływów. I dziś wciąż mają stopnie generalskie... **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

AKADEMICY WALCZĄ! IDZIE NOWE?



Józef **Wieczorek**

Konformistyczni na ogół akademicy ogłosili, że idą w bój. Słyszymy: czas grzecznych petycji się skończył! Nie będziemy więcej głodowali, nam należy się 3 proc. z budżetu państwa! Mają protestować 27 maja przed Sejmem. Oburzenie wobec projektu budżetu przewidującego około 1 proc. PKB na naukę jest uzasadnione, ale coś więcej niż tylko żądania płacowe należałoby społeczeństwu przedstawić. Oligarchowie akademiccy dziś nie mają głodowych zarobków, bo za kilkadziesiąt (40–60) tysięcy miesięcznie da się jednak przeżyć, chyba że rektorzy są zupełnymi nieudacznikami życiowymi i z takim uposażeniem nie są w stanie związać końca z końcem. Fakt, że często dorabiają, bo wysokie zarobki głodu (pieniędzy) jednak nie zmniejszają, a powiązania wysokości zarobków z osiągnięciami uczelni nie widać. Nieudacznicy bonzami? Głodowe pensje mają natomiast młodzi. Dla początkujących akademików, rekrutowanych na bazie rzeczywistych, a nie ustawianych konkursów, płace winny być bliskie średniej, a nie najniższej krajowej. Ale dla rektorów kominy płacowe winny być obniżone, aby „nie zanieczyszczały" środowiska akademickiego. Jest pytanie do petycji: czy 3 proc. z budżetu dla nauki w 100 proc. będzie przeznaczone dla Polski? Można w to wątpić. Obecnie tak nie jest i mamy duże marnotrawstwo pieniędzy księgowanych po stronie wydatków na naukę. Celem nauki w Polsce są tytuły (często bez znaczenia poza Polską) i jak najliczniejsze publikacje, często mierne, a petycja nie przewiduje nawet monitoringu plag akademickich degradujących naukę i wydatków na nią. Z naszej składki do UE finansujemy badania naukowcom zagranicznym, a mało odzyskujemy dla nauki w Polsce. Akademicy wysokość swoich pensji odnoszą do przeciętnego wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw, a nie do wyników własnej pracy. Ale chcą być autonomiczni i kontrolę społeczną tego, co robią, odrzucają, a przecież trzeba zyskać zaufanie obywateli dla swoich żądań płacowych. Samo przekonanie środowiska akademickiego o własnej wyjątkowości już nie wystarcza. **GP**

UWAGA: Nowa książka autora „Z akademickiej otchłani" do nabycia w sklepie „Gazety Polskiej".



Jakub
Maciejewski

KULTURY U TUSKA NIE BĘDZIE



Coroczne ogłoszenie wyniku naborów na programy finansowane przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zawsze wywołuje spory. Tym razem wiele jest zarzutów o preferowanie lewicowo-liberalnych projektów, a pomijanie strony konserwatywnej. Widać też, że w biurokratycznej machinie potrafią przetrwać modne i huczne przedsięwzięcia, a dziedzictwo prawdziwie szlachetne ginie pod ostrzałem sformalizowanej punktacji. Rodzi się pytanie o sens podejmowania takich decyzji w ministerstwie.

PUBLICYSTYKA

To jest historia do szpiku kości arcypolska. W nocy z 20 na 21 września 1939 roku ponownie doszło do starcia niemieckiego z 4. Pułkiem Strzelców Podhalańskich, ale tym razem zniszczono samochód dowództwa. Udało się ocalić rzecz dla polskiego żołnierza świętą – wojskowy sztandar. Opiekujący się nim kpt. Władysław Kronhold wraz z kpt. Szczepanem Orłowskim umieścili sztandar w tornistrze i zakopali nieopodal leśniczówki Figlarnia w okolicach Tomaszowa Lubelskiego. „Obaj oficerowie, niebawem po wyjściu z lasu, zostali wzięci do niemieckiej niewoli. Przez cały okres jej trwania nie zdradzili nikomu miejsca ukrycia sztandaru. Przeżyli wojnę" – pisze Krzysztof Neścior w cieszyńskim biuletynie informacyjnym. Żołnierze w swoich wspomnieniach opisali miejsce, w którym zakopali sztandar, ale dopiero Maciej Podgórski w 2025 roku dokładnie sprawdził ten punkt i odnalazł pułkową świętość.

Ministerstwo mówi „nie"

„Stan zachowania sztandaru jest zdumiewająco dobry, co niewątpliwie zawdzięczał on zarówno wysokiej jakości materiałom użytym do jego wyszycia, jak i starannemu zapakowaniu w pokrowiec" – opisuje Neścior. Sam orzeł został wykonany z czystego srebra – misternej roboty podjęły się 102 lata temu siostry felicjanki z klasztoru w Czechowicach. Muzealnicy natychmiast przekazali więc skarb do pracowni konserwatorskiej, a do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego złożyli wniosek o środki na jego odnowienie.

Suma zaangażowania społeczeństwa, wykonawców, żołnierzy i poszukiwaczy polskich pamiątek pokazała nam historię sztandaru, który przetrwał dwa totalitaryzmy i powraca w polskie ręce. I ta opowieść niesie na razie i ten smutny aspekt naszych narodowych dziejów, bo na tę chwilę ministerstwo odmówiło przyznania środków na renowację sztandaru. „Oznacza to, iż ponad rok od odnalezienia nie ma środków finansowych na zabezpieczenie prac konserwatorsko-ratunkowych tych Skarbów Narodowych" – czytamy na stronie Muzeum 4. Pułku Strzelców Podhalańskich w Cieszynie. W poczuciu bezradności padł także pomysł, by środki na ratowanie sztandaru znaleźć wśród osób dobrej woli. „Czy historia sztandaru i proporca, tak dumnie zapisanego na kartach Oręża Wojska Polskiego, pułku odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari, ma się zakończyć wstydliwym epilogiem szukania finansowania w zbiórkach społecznych?" – piszą pracownicy muzeum. Pytamy Neściora, czy naprawdę zamierzają utworzyć zbiórkę na swoją misję. – Nie chodzi o pieniądze, chodzi o zasady – mówi „Gazecie Polskiej" muzealnik. – Jako rodzina żołnierza pułku i jako mieszkaniec Cieszyna uważam, że skoro pod tym sztandarem za państwo polskie zginęło 400 osób, to należy o pamięć o tym pułku dbać – stwierdza stanowczo. Na taki argument można zareagować tylko milczącą aprobatą.

Gdzie idą pieniądze?

Ministerstwo Kultury ma jednak swoje priorytety. W przyznawaniu środków na czasopisma szczególną troską otoczono te polityczne redakcje, które współgrają z narracją władzy. „Krytyka Polityczna" i „Kultura Liberalna" otrzymały ogromne sumy (po 480 tys. zł na trzy lata) na czasopisma jedynie w wersji cyfrowej, gdy periodyki konserwatywne, takie jak „Pressje" czy „Polityka Narodowa", wydawane nie tylko w wersji internetowej, lecz także na papierze, zostały pominięte. Środki finansowe dostały także miesięcznik „Śląsk", Stowarzyszenie Romów w Polsce i Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie. Nie



FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

odmawiając tym środowiskom ważnej roli dla podtrzymania regionalnej kultury, trudno uniknąć wrażenia, że wszelkie rodzaje mniejszości z zasady są traktowane w sposób uprzywilejowany. I właśnie nie rzecz w tym, by piętnować lub odejmować zasługi tym, którzy środki dostali, jednak pół miliona złotych na sprzęt multimedialny dla jednej kopalni będącej częścią muzeum nie jest aż tak pilne, jak wyjęty z ziemi sztandar wykopany z wojennej niepamięci. Programów, w ramach których można otrzymać pieniądze, jest kilkadziesiąt – na muzea, infrastrukturę kulturalną, film, czasopisma i wiele innych. Każdy program obsługują specjalne komisje przyznające punkty, więc odpowiedzialność za dziwne decyzje rozkłada się na twórców punktacji, komisje, wreszcie samo ministerstwo, które może interweniować i przyznawać środki ze specjalnej puli. Tu właśnie dochodzimy do tej wrażliwości szefowej resortu wobec wyzwań narodowej tożsamości. Od pierwszej decyzji komisji można się odwołać – posiadacze pułkowego sztandaru próbowali to zrobić, ale bez pozytywnej odpowiedzi. Minister Cienkowska o odnowienie Orła Białego wyszywanego srebrem też się nie upomniała. Ma za to inne priorytety.

Ministerstwo fajnokultury

W czwartek 14 maja po południu MKiDN odwołało dyrektora Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie. O Pawle Jaskanisie, szefie placówki, stało się głośno, gdy w pierwszej połowie maja zorganizowano w wilanowskim muzeum huczną i spektakularną imprezę techno z udziałem celebrytów. Zniszczono dziedziniec pałacu, zaś sama impreza, otrzymawszy zresztą oficjalny patronat miasta stołecznego Warszawy, nijak się ma do dziedzictwa króla Sobieskiego. Według ustaleń Marty Szczepańskiej z warszawskiej rady miejskiej organizatorzy koncertu zarobili ogromne pieniądze (loże VIP kosztowały tam blisko 150 tys. zł), zaś samo muzeum otrzymało zaledwie 116 tys. zł za całe przedsięwzięcie. Dodatkowo okazało się, że jedynym poważnym darczyńcą muzeum była Omena Art Foundation, która stała za organizacją komercyjnej imprezy na dziedzińcu pałacu w Wilanowie. W ten oto sposób jedno z najważniejszych muzeów w Polsce pozwala zarabiać celebrytom gigantyczne pieniądze na zabytkowych miejscach, które są naszym dziedzictwem narodowym. Owszem, Jaskanis został odwołany z funkcji dyrektora, ale dopiero po medialnym rozgłosie, który nabierał tempa po spustoszeniu, jakie wywołała impreza.

Jasno z tego wynika, że pracujący daleko od Warszawy spadkobiercy polskich żołnierzy muszą prosić państwo polskie o środki na odnowienie wojskowego sztandaru, a w tym samym czasie na zabytkowej posesji należącej do społeczeństwa w sposób dewastujący bawią się beneficjenci obecnej władzy.

Spadek wydatków na kulturę

Nawet według oficjalnych rządowych danych budżet polskiej kultury się zmniejsza i jest o ponad 2 proc. mniejszy niż w ubiegłym roku – wynosi w sumie 8,24 mld zł. W szczegółach widać jednak jeszcze większe cięcia – resort zwiększa na przykład środki na funkcjonowanie instytucji bieżących, a zmniejsza (o 20 proc.) na inwestycje. Kończone właśnie projekty budowy Muzeum Historii Polski czy tworzenia Europejskiego Centrum Filmowego CAMERIMAGE były zapoczątkowane za poprzedniej władzy, a nowych przedsięwzięć tej skali próżno teraz szukać. Rząd Tuska nie podejmuje też takich projektów, do których w czasach PiS przymierzano się od dawna, a jedynie czekały na swoją kolej – jak na przykład Muzeum Historii Naturalnej. To doprawdy dziwne, ale Polska jako jedyny kraj w Europie nie ma swojej placówki, która pokazywałaby dzieje świata za pomocą zbiorów przyrodniczych – obiektów geologicznych, zoologicznych czy botanicznych. Nawet Mołdawia, najbiedniejszy kraj naszego kontynentu, próbuje opowiedzieć o trwaniu Ziemi przez ekspozycję stałą i nieliczne, lecz dobrze opracowane eksponaty. Rząd nie przewiduje też dodatkowych pieniędzy na ratowanie zabytków, które ucierpiały w czasie powodzi, lecz po prostu przeznacza na to środki z ogólnej puli, które i tak miały iść na renowację zabytków w różnych częściach kraju. Propagandowo brzmi to nieźle – 100 mln zł przeznaczone na dziedzictwo kultury zniszczone przez żywioł, ale przecież jest to 100 mln zł, które miały ratować dziedzictwo niszczone także z innych powodów. Przesuwanie kwot w tabelkach, promowanie swoich ulubieńców czy wygaszanie inwestycji rozpoczętych wcześniej to dyskretne narzędzia hamowania rozwoju polskiej kultury. Kultury, która w czasie rządów Tuska zawsze była obszarem drugorzędnym. **GP**



Wojciech
Mucha

(Fajny) Budapeszt W (FAJNEJ) WARSZAWIE



Tekst, który Państwo czytają, powstaje jeszcze przed wizytą w Polsce nowego premiera Węgier, więc siłą rzeczy mogę jedynie domyślać się, w jakiej atmosferze upłynie jego tournée po Polsce, którą jeszcze przed wyborami wybrał na cel swojej ewentualnej pierwszej wizyty. Mogę jednak z pewnością zakładać, w jakim stylu przebiegnie wizyta, a także co na pewno się podczas niej nie wydarzy.

PUBLICYSTYKA

Co się nie wydarzy? Oprócz wagonów lukru i zapewnień o „nowym otwarciu" w relacjach pomiędzy naszymi krajami na pewno nie przeczytają Państwo nagłówków prasowych mówiących o tym, że koalicji 13 grudnia udało się dzięki Péterowi Magyarowi dopaść polskich polityków – Zbigniewa Ziobrę i Marcina Romanowskiego, którzy przez wiele miesięcy korzystali z przyznanego przez poprzednie władze Węgier azylu politycznego w tym kraju.

Triumfalizm, który powodował u co bardziej krewkich polityków i sympatyków obozu „uśmiechniętej władzy" przekonanie, jakoby następca Viktora Orbána miał przywieźć ich Tuskowi w darze, pękł jak bańka mydlana.

Polscy fani smutni

A pękł dlatego, że jak wiadomo, Zbigniew Ziobro nie niepokojony przez nikogo opuścił naddunajską gościnę i udał się do USA. Marcin Romanowski? Tuż przed oddaniem do druku tego tekstu pojawiła się wypowiedź samego Pétera Magyara, który w dość rozczarowujących dla Donalda Tuska i Waldemara Żurka słowach powiedział, że nie ma informacji na ten temat. „Oczywiście będziemy przyglądać się tej sprawie. Jeżeli będę coś wiedział, to wam powiem" – powiedział w rozmowie z TVP Info w likwidacji. Euforii u swoich „polskich fanów" tym zapewne nie wywołał (w serwisie X istnieje przecież konto „polskich fanów" węgierskiego premiera). To o tyle interesujące, że takich informacji domagał się od Węgrów także polski MSZ.

Skoro sam mający dostęp do służb specjalnych nowy premier Węgier nic nie wie (lub wie i mimo to nic nie mówi), to trudno, bym i ja się na ten temat wymądrzał. Wiele wskazuje na to, że Magyar raczej nie chce mieć z tą sprawą za wiele wspólnego. I nie ma się co dziwić – fakt przyjęcia byłego ministra sprawiedliwości za milczącą zgodą Donalda Trumpa i zniknięcie Romanowskiego zapewne dały do myślenia niechcącej zamykać sobie relacji z USA nowej węgierskiej administracji.

Zostawmy to, bo choć zapewne sprawa ta powoduje, że Donald Tusk w trakcie wizyty Pétera Magyara będzie uśmiechać się mniej „szczerze" niż po wygranej TISZ-y w wyborach parlamentarnych, to jak widać, Magyarowi kwestia ta nie spędza snu z powiek. Ma zresztą na Węgrzech więcej wyzwań, które nie sprowadzają się wcale do akcji „sprzątanie po Orbánie".

Dekrety niepotrzebne

Relacjonując na łamach „Gazety Polskiej" kampanię i powyborczą atmosferę na Węgrzech, pisałem, że Magyar zachowuje się niejednoznacznie, nie potępiając w czambuł całości polityki rządzącego przez 16 lat Fideszu i wysyłając sygnały, że w wielu obszarach ma zamiar ją kontynuować. I tak pierwsze ruchy nowego premiera mają w sobie więcej z zamieszania czynionego przez kogoś, kto bardzo chce udowodnić, że mocno sprząta, niż zamierza zrobić potężną rewolucję.

Największą zmianą, którą wprowadzono, jest niewątpliwie rezygnacja z wdrożonego przez Orbána jeszcze w trakcie pandemii i przedłużonego z momentem pełnoskalowej rosyjskiej agresji na Ukrainę „stanu zagrożenia", który pozwalał na rządzenie za pomocą dekretów, z pominięciem procedowania ustaw przez parlament. Powodowało to niebezpieczne dla demokracji sytuacje, w których na przykład nowelizacje konstytucji odbywały się niemal błyskawicznie.



RYS. FACEBOOK

Rezygnacja z tego narzędzia to bez wątpienia potężna zmiana, jednak trudno sobie wyobrazić, by przekonujący przez lata o „viktaturze” Magyar miał postąpić inaczej. Zresztą – posiada tak przytłaczającą większość, że owe zapisy nie wydają się mu do czegokolwiek potrzebne. Jeśli będzie chciał, może w białych rękawiczkach zmienić dowolną ustawę lub wprowadzić nową. Tak ma być m.in. w przypadku urzędującego i wybranego przez Zgromadzenie Narodowe prezydenta Węgier, co uznawany za „bardzo fajnego” nowy premier zapowiedział w mediach społecznościowych: „Daj lajka, jeśli uważasz, że prezydent i marionetka Orbána – Tamás Súlyok – powinien niezwłocznie odejść z urzędu!” – napisał Magyar. I zapowiedział, że jeśli prezydent nie ustąpi – przegłosuje zapisy pozwalające usunąć go ze stanowiska.

Poza tym Magyar skupia się na budowaniu wizerunku, który nad Wisłą znamy pod nazwą „uśmiechniętej władzy” rodem z Sejmflixa. Co ciekawe, osiąga to właśnie nad Dunajem rozmiary gargantuiczne i zdaje się potwierdzać tezę, że to „Polska, tylko bardziej”.

Kurs na fajność

Sposób, w jaki Magyar i jego nowi eksperci od społecznych nastrojów budują wizerunek „fajnego” premiera, jest jednak przemyślany i dobrze wpisuje się w nastroje, mówiące, że większość Węgrów była bardzo zmęczona zarówno antywojenną, jak i antyunijną propagandą Orbána. Spotkani przez nas w trakcie wieczoru wyborczego sympatycy TISZ-y powtarzali przecież jak jeden mąż, że chcą „przestać się wstydzić” i pragną „powrócić do Europy”. Jednocześnie, jak pokazują sondaże, aż 2/3 z nich chce rozliczeń poprzedniej władzy i ujawnienia korupcyjnych praktyk ekipy Orbána.

Péter Magyar wpisuje się w te oczekiwania. Zaprzysiężeniu rządu oprócz podniosłej uroczystości, w trakcie której parlamentarzyści przysięgali na Koronę św. Stefana, towarzyszyła potężna impreza przed budynkiem parlamentu, na której za konsolą DJ-a pojawił się sam Magyar, a złożony zapewne w większości z mieszkańców stolicy tłum do późnych godzin nocnych świętował m.in. przy piosence zespołu Queen „We Are the Champions”. Magyar pojawił się w pewnym momencie w jednym z okien parlamentu, siedząc na parapecie z kieliszkiem wina i będąc oświetlanym w taki sposób, że było widać jedynie jego sylwetkę, co wiwatujący tłum przyjął niemal z ekstazą.

Podobnie zresztą przyjmowane są, co właściwe dla „miesiąca miodowego”, inne wizerunkowe posunięcia. I tak Magyar zapowiedział, że ma zamiar ograniczyć swoje uposażenie, że nie chce się przeprowadzać ze swojego mieszkania w Budzie, wreszcie, że nie zamierza rezygnować ze Skody Superb na rzecz rządowej limuzyny. Ponadto biuro premiera oraz siedziba rządu zostaną przeniesione ze Wzgórza Zamkowego w pobliże parlamentu, oczywiście „bliżej ludzi”.

Wszystko ma pokazywać kontrast z poprzednią władzą i budować wizerunek polityka. Jak jednak wiemy, podobne posunięcia bywają dość prędko weryfikowane przez rzeczywistość. Przekonał się o tym choćby śp. papież Franciszek, gdy okazało się, że jego przenosiny z Pałacu Apostolskiego do Domu św. Marty – gościnnego domu w Watykanie – wygenerowały dodatkowe, nieprzewidziane koszty i wiele problemów, podobnie jak decyzja o poruszaniu się cywilnym samochodem w miejsce opancerzonego papamobile.

Jednocześnie Magyar z lubością przechadza się w otoczeniu kamer po miejscach takich jak zlokalizowane na Wzgórzu Zamkowym dotychczasowe siedziby ministerstw i dowodzi, że przeprowadzane tam remonty są dowodem na oderwanie poprzednich władz od rzeczywistości. Dochodzi przy tym do kuriozalnych sytuacji, gdy znajdującą się w sekretariacie gabinetu premiera zwyczajną niszczarkę do dokumentów przedstawiono niemal jako piec służący niszczeniu dowodów zbrodni. O samych rozliczeniach wypowiada się jednak już mniej stanowczo. „To nie jest moje zadanie, lecz sędziów” – oznajmił w rozmowie z włoskim dziennikiem „La Reppublica”, pytany o to, czy wyśle Viktora Orbána i jego oligarchów do więzienia.

Zaczyna się

To wszystko jednak, nawet jakoś zrozumiałe w obliczu tak potężnego zwycięstwa i oczekiwań wyborców, jest charakterystyczne dla pierwszych dni nowej władzy.

Dla TISZ-y prędko jednak przyjdzie moment zderzenia z rzeczywistością.

Już zresztą nadszedł. W ubiegłą środę, w momencie gdy trwało pierwsze, wyjazdowe posiedzenie nowego węgierskiego rządu, rosyjska armia dokonała zmasowanego ataku na ukraińskie Zakarpacie, gdzie, jak wiadomo, żyje ponadstutysięczna mniejszość węgierska. Rzecz jest o tyle ważna, że przez lata rządów Orbána rejon ten był w porównaniu do pozostałych części Ukrainy oszczędzany przez rosyjskich agresorów, co sprawia, że raczej nie może być mowy o przypadku.

W odpowiedzi na atak nowa węgierska minister spraw zagranicznych Anita Orbán (nie jest spokrewniona z byłym premierem – przyp. red.) wezwała do siebie rosyjskiego ambasadora i przekazała mu, iż Budapeszt zdecydowanie potępia atak i że Węgry domagają się natychmiastowego zaprzestania uderzeń zbrojnych w cele i ludność cywilną, a atak na region, w którym żyją Węgrzy, uważa za absolutnie niedopuszczalny. Co ważne, pomimo że uderzenia w Zakarpacie zdarzały się od momentu wybuchu pełnoskalowej wojny, poprzednik Anity Orbán, Péter Szijjártó, nigdy poza pierwszymi dniami wojny nie posunął się do wezwania ambasadora. Miał, jak wiemy, inne kanały komunikacji z Moskwą…

Jest o czym rozmawiać i co robić

Podczas swojej wizyty w Polsce Péter Magyar miał odwiedzić Kraków, Warszawę i Gdańsk. Jak mogę się domyślać, skończyło się na „festiwalu fajności” i nieustannym pokazie autopromocji także polskich „uśmiechniętych” polityków, chcących dowieść nowego otwarcia „Warszawy w Budapeszcie” i temu podobnych haseł.

Czy jednak pójdą za tym konkrety, których za czasów rządów Orbána mimo wszystko brakowało? Czy Węgry zaangażują się bardziej w Inicjatywę Trójmorza? Czy są gotowe na tak potrzebne projekty infrastrukturalne? Czy ten uzależniony niemal w 90 proc. od rosyjskiej ropy kraj będzie chciał dywersyfikować swoje zasoby dzięki współpracy z Polską? Co ze wspólną polityką obronną flanki NATO? Czy w spotkaniu z prezydentem Karolem Nawrockim, do którego Magyar odnosił się raczej konfrontacyjnie, zobaczyliśmy wolę współpracy pomimo wilczych oczu Tuska?

„Czas pokaże”, „A idő majd megmutatja” – by powiedzieć w języku bratanków. GP

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

BIAŁORUŚ JUŻ TU JEST



Dawid **Wildstein**

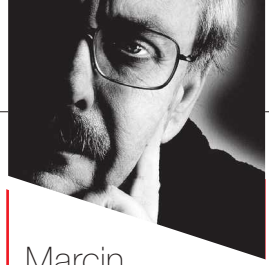
Jest oczywiste, że wkroczenie funkcjonariuszy policji do mieszkania Tomasza Sakiewicza, prezesa największej polskiej stacji informacyjnej, TV Republika, oraz skucie jego asystentki to żaden przypadek czy błąd. W wymiarze najbardziej bezpośrednim jest to zapewne próba przykrycia blamażu ze Zbigniewem Ziobrą. W końcu władza obiecywała być twarda, bezwzględna, skuteczna, tymczasem jej największy wróg spokojnie wciąż się jej wymyka. W jaki sposób wytłumaczyć to betonowemu elektoratowi, nakręconemu do maksimum nienawiścią i czekającemu na przemoc? Nie da się, więc w zamian władza zdecydowała się chociaż udowodnić swoją „skuteczność”. Zaspokoić najbardziej prymitywne emocje swoich wyznawców, a także pokazać sojusznikom, że potrafi uderzyć we własnych przeciwników. Patrząc na reakcje Silnych Razem i tym podobnej patologii internetowej,

Władza obiecywała być twarda, bezwzględna, skuteczna, tymczasem jej największy wróg spokojnie wciąż się jej wymyka. Jak wytłumaczyć to czekającemu na przemoc betonowemu elektoratowi?

udało jej się. Należy też to wydarzenie umieścić w szerszym kontekście trwającej od grudnia 2023 roku nagonki na Republikę. Bojkot reklamowy, wysyłanie pod redakcję patologii od Giertycha, żeby organizowała prowokacje, regularne seanse nienawiści ze strony rzecznika rządu Szłapki – wszystko to jest konsekwentną i zaplanowaną strategią niszczenia wolności słowa. Jednak wtargnięcie do prywatnego domu funkcjonariuszy policji i skucie kobiety? Nawet jak na Tuska to nowość. I jest to forma testowania – tak nas, jak i swoich. Uśmiechnięty premier obserwuje bowiem własne media, swoich wyznawców, patrzy, czy wolno mu, używając kolokwializmu, aż tak jechać po bandzie. Co się okazuje? Że może. I pod tym względem Tusk zamienił Polskę w Białoruś. Nie w sensie systemu politycznego czy możliwości represji i kontroli (tu na szczęście Tuskowi jeszcze nie udało się dopiąć swego), lecz w stopniu sprzedania związanych z władzą środowisk medialno-ćwierćintelektualnych, zdegenerowania służb oraz szaleństwa wyznawców „uśmiechu”. GP

FELIETON

{ WRZUTKA }



Marcin
Wolski
albicla.com/MarcinWolski

TO NIE JEST KRAJ DLA STARYCH LUDZI

Już niebawem bycie seniorem w Polsce może oznaczać dożywotni areszt domowy. Nasza ukochana władza, idąc na smyczy UE, chce nam odbierać prawo jazdy po ukończeniu 75. roku życia. Cóż! Wiadomo, że lepiej być młodym, bogatym i zdrowym niż starym, biednym i chorym. Oczywiście władza argumentuje zabieranie praw jazdy seniorom troską o życie i zdrowie zainteresowanych. Nie wiem, jak wyglądają statystyki w tej kwestii, ale czuję, że dużo niebezpieczniejszy na drodze jest 20-letni młodzian ze świeżo odebranym prawem jazdy niż 80-letnia staruszka jadąca 20 kilometrów na godzinę do kościółka, lekarza czy apteki. Nikt nie zauważa, że dla ludzi mieszkających poza miastem, zwłaszcza tam, gdzie autobus pojawia się raz na dobę albo w ogóle, jest to jawnym wykluczeniem komunikacyjnym, łagodną formą aresztu domowego. Znam mnóstwo dobrych kierowców po osiemdziesiątce, którzy doskonale rozumieją własne ograniczenia, ale rekompensują je z naddatkiem ostrożnością, wieloletnim doświadczeniem. Swoją drogą represje z uwagi na wiek są powszechne w epoce triumfującej młodości. Być może ktoś odczuwa satysfakcję, gdy babcia i dziadek nie są w stanie odbierać porad online, płacić w automatycznej kasie czy wypełniać przez internet skomplikowanych formularzy. Znałem ludzi o wielkim umyśle (humanistycznym), którzy nigdy nie nauczyli się korzystać z komputera, a nawet z maszyny do pisania, i musieli prosić o pomoc redakcyjne sekretarki. Być może czekają nas kolejne „ułatwienia" dla seniorów – na przykład pozbawianie paszportów po osiągnięciu limitu wieku, zakaz podróżowania bez opiekunów, a może nawet wychodzenia z domu. W tym kontekście zastanawiam się też, czy w ramach badań lekarskich, związanych z ewentualnym przedłużaniem prawa jazdy, nie wprowadzi się również testów z politycznej poprawności, odsuwając ciemniaków, konserwatystów i zacofańców od możliwości głosowania. Jedna z licznych anegdot o Jasiu Himilsbachu, którego miałem zaszczyt poznać osobiście, opowiada, że obudziwszy się raz na kacu, wyruszył w miasto w poszukiwaniu punktów sprzedaży piwa. Po pięciu nieudanych podejściach natrafił na budowaną Trasę Łazienkowską i westchnął do swego druha Maklaka: „Drogi, kurde, budują, a nie ma dokąd iść!". Dziś można by westchnąć: i dokąd pojechać! GP

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }



Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

NALEŻĘ DO OBSZARU KULTURY EUROPEJSKIEJ...

Idzie sobie rynkiem w Krakowie znany artysta Andrzej Mleczko. Idzie i nagrywa filmik na Facebooka. Idzie i rzuca mięchem. Znaczy klnie. Zbulwersowany jest, że mu, k…, postawili w Krakowie jakiś „łeb", jakiegoś znanego rzeźbiarza, co to ileś lat mieszkał we Włoszech i miał czelność ofiarować Krakowowi swoją rzeźbę, pod warunkiem by ta stała na Rynku. Stanęła. To leżąca na boku wielka głowa zatytułowana „Eros bendato" („Spętany Eros"). Jedni uważają, że genialna, innym się nie podoba. Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, że artysta Andrzej Mleczko idzie, nagrywa protest i klnie jak szewc. Wiedzą Państwo, w obronie, k…, kultury, k… mać. I różnie można sobie patrzeć na meritum, można się spierać, a nawet ostro wyrażać opinie. Ale dlaczego mięcho? Po co takie jatki? Jak my, k…, mamy wymagać, chcieć czegokolwiek od młodego pokolenia, jeśli do tego pokolenia mówią artyści i „autorytety", używając mięcha zamiast przecinków? A to do swych późnych wnuków zwróci się z bluzgami aktor Andrzej Seweryn, a to Andrzej Mleczko. W proteście! Ratując wysoką, k…, kulturę! Publicznie! Medialnie. I nikt się nawet nie zająknie, nie zwróci uwagi, bo ten tego, wiadomo, artysta. Artyście wolno. Artysta czuje. Artysta wyraża oburz ludowy. Dodać trzeba: w elitkach tych artystycznych wszystko jest i będzie dozwolone, jeśli wymierzone w prawicę. Wtedy każdy bluzg będzie pochwalony. Osiem gwiazdek. J…ć wszystkich i wszystko, co przeciw nam. Wedle najlepszych, bolszewickich, de facto antykulturowych, wzorców. Najzabawniejsze w kwestii Mleczki jest to, że gdy oglądałem, jak idzie z naburmuszoną miną przez Rynek i klnie, to przypomniał mi się jego stary, dobry rysunek: idzie sobie facet przez PRL-owską szarość błotną, otula się płaszczem, który wiatr mu rozwiewa, i mówi do siebie: „Należę do obszaru kultury europejskiej, należę do obszaru kultury europejskiej, należę do obszaru…". Wystarczy zamiast przecinka wrzucić k… i wyjdzie autoportret artysty Anno Domini 2026. GP

Artysta Andrzej Mleczko idzie, nagrywa protest i klnie jak szewc. Wiadomo, artyście wolno. Artysta czuje. Artysta wyraża oburz ludowy.



Mateusz
Matyszkowicz

NOWA POLITYKA w erze sztucznej inteligencji



We Francji przedbiegi do kampanii prezydenckiej coraz bardziej odbywają się w cieniu sztucznej inteligencji. Wszyscy już wiedzą, że zmieni ona politykę, ale jeszcze nie wszyscy wiedzą jak.

PUBLICYSTYKA

Oficjalnie państwa europejskie boją się zewnętrznej ingerencji w wybory. Emmanuel Macron, coraz bardziej skonfliktowany z Donaldem Trumpem, zdaje sobie sprawę, że nie ma wielkich korporacji technologicznych po swojej stronie, a jego obywatele korzystają przede wszystkim z amerykańskich, a nie francuskich aplikacji. Widzi również, że sztuczna inteligencja w coraz większym stopniu angażuje zarówno polityków, jak i wyborców. To przenikanie, a nawet wzajemne wiązanie się sfery technologicznej i politycznej widoczne jest w kilku wymiarach.

AI jako suma strachów

Choć ze sztucznej inteligencji korzysta już niemal każdy obywatel, to jednocześnie coraz bardziej się jej obawia. Pokazują to badania sondażowe, częste w okresie przedwyborczym, które definiują podstawowe lęki społeczne. W tym roku AI znalazła się w czołówce głównych obaw.

Te lęki z natury rzeczy przenikają do dyskusji politycznych. Czego więc obawiają się wyborcy i co przechwytują politycy? Przede wszystkim utraty pracy. Coś, co kiedyś było lękiem kreowanym przez literaturę fantastycznonaukową i popularnonaukowe rubryki w czasopismach, dziś coraz częściej dotyka zwykłych ludzi.

Zaczęło się od bardzo prostych zawodów i sami tego doświadczamy, gdy na infolinii nie odzywa się już do nas pani ze słuchawkami, lecz wirtualny doradca. Ale fala idzie dalej i dotyka coraz bardziej specjalistycznych zawodów. AI jeszcze nie zastępuje całkowicie pracowników, od których wymaga się wiedzy i odpowiedzialności, ale już używanie nowych narzędzi pozwala optymalizować zatrudnienie, bo logistyka, prace inżynierskie czy projektowanie stają się o wiele szybsze, gdy można redukować zespoły ludzkie dzięki temu, że wykonują swoją pracę szybciej ze wsparciem sztucznej inteligencji.

Prawnicy i lekarze wciąż pracują i ostatecznie to do nich chodzimy, ale podstawowych porad udziela już popularny chat. Media zwalniają pracowników, bo szybciej i taniej teksty są generowane przez aplikacje. Nic, że spada jakość. Koszty są znacznie niższe.

Lęk przed zastąpieniem przez maszynę staje się strachem coraz bardziej powszechnym i nie pomoże obietnica, że wraz z AI powstają także nowe zawody, niezbędne do jej obsługi, skoro intuicyjnie wyczuwamy, że tych krzeseł, na których można usiąść, jest coraz mniej. Szacuje się, że we Francji w związku z rewolucją AI zniknie około 5 mln miejsc pracy.

Do tego dochodzą lęki propagowane przez psychologów oraz zwykłych rodziców obserwujących coraz większą społeczną alienację młodego pokolenia, falę depresji i zanik wielu społecznych zachowań, skoro nawet partnerka AI jest łatwiejsza w rozmowie.

Na te lęki politycy jeszcze nie mają recepty, ale oczekiwanie wobec nich będzie coraz większe i kto wie, czy w bardzo niedalekiej przyszłości odpowiedź na technologiczne wyzwania nie stanie się jednym z głównych wektorów politycznych decyzji wyborców.

Rośnie także świadomość samych polityków, że Francja, podobnie jak inne kraje europejskie, staje się coraz mniej suwerenna technologicznie. O problemach z suwerennością w kontekście AI pisałem ostatnio na przykładzie polskim, ale mimo znacznie większych nakładów na naukę i technologię to samo odczuwa dziś Francja. Próby tworzenia coraz nowszych regulacji dla operujących w Europie gigantów technologicznych są często jedynie nerwową próbą reakcji na sytuację, w której państwa europejskie coraz wyraźniej uświadamiają sobie własną zależność w tym obszarze.

Kampania nowymi narzędziami

Możemy bać się sztucznej inteligencji, ale jednocześnie z niej korzystamy. Skoro robią to zwykli obywatele, tym bardziej robią to politycy, którzy dobrze rozumieją stawkę współczesnej kampanii wyborczej. Obecny wyścig polityczny nie polega więc wyłącznie na wzajemnym przekrzykiwaniu się o to, co przyniesie AI, lecz także, a może przede



FOT. ADOBE STOCK

wszystkim, na jej praktycznym używaniu. Pewnym reliktem przeszłości wydaje się dziś trik Mélenchona, który kilka lat temu występował jednocześnie w wielu miejscach jako hologram. Dziś to już co najwyżej ciekawostka z minionej epoki, jak niebieski krawat Kwaśniewskiego. Technologia wniknęła znacznie głębiej, i to nie tylko do retoryki, lecz przede wszystkim do samego silnika kampanii.

AI, zdolna do błyskawicznego przetwarzania informacji, pomaga dziś politykom precyzyjnie targetować przekaz. Jeżdżąc po kraju, mogą w każdym miejscu, w każdej dzielnicy, a nawet na każdej ulicy odnosić się do problemów konkretnej społeczności i przejmować jej język. Mogą stać się doskonałym Zeligiem, który każdemu mówi dokładnie to, co ten chce usłyszeć.

Podobnie jak popularne chatboty, które w rozmowie z użytkownikiem personalizują odpowiedzi, schlebiają jego emocjom i dostosowują treść do jego oczekiwań, tak samo politycy dzięki tym samym narzędziom mogą coraz skuteczniej wtapiać się w społeczne tło.

Mogą wreszcie tworzyć tysiące materiałów, które sztuczna inteligencja generuje łatwo i bez kosztów grafika, ekipy filmowej czy druku. I nie tylko je generuje, lecz także rozprowadza poprzez tworzone sztuczne konta w mediach społecznościowych, wzmacniając przekaz, coraz lepiej go targetując i stymulując ruch, a tym samym wpływając również na same algorytmy. To boty zastąpiły dziś znaną z przeszłości funkcję człowieka z ulotką czy uczestnika demonstracji z transparentem. Taniej i, niestety, piekielnie skutecznie.

To również pole do tworzenia niezliczonych fake newsów, których usuwanie jest niezwykle trudne ze względu na tempo i rozproszenie dystrybucji. I choć możemy dostawać od tego zawrotu głowy oraz pisać kolejne ostrzeżenia, politycy i tak będą z tych narzędzi korzystać, bo inaczej przegrają. Ścigają się bowiem między sobą, a ten, kto zostanie w tyle, po prostu przegra.

Czy polityka dzięki temu stanie się lepsza? Dwie dekady temu rozmawialiśmy o postpolityce i o tym, jakie szkody wyrządziło podporządkowanie polityki marketingowi. Że doprowadziło to do erozji polityki wartości i twardych przekonań, a na salony władzy wprowadziło polityków przypominających proszki do prania: doskonale wytargetowanych, ale nieumiejących stawać wobec realnych wyzwań wymagających przekonań, wiedzy i decyzji. Wydawało się przez chwilę, że mamy to już za sobą, ale wraz z narzędziami AI będziemy oglądać nową falę postpolityczności, tym razem jeszcze groźniejszą.

Dawna postpolityka pozbawiała polityka tożsamości, rozmywając go w papce uśrednionego przekazu i estetycznie opakowanych sloganów, niszcząc choćby wcześniejsze napięcie między prawicą a lewicą.

AI natomiast umożliwi politykom wcielanie się nawet w najbardziej skrajne postawy i tożsamości, zgodnie z oczekiwaniami odbiorcy. Ponieważ jednak przekaz będzie całkowicie spersonalizowany, ta twarda tożsamość nie będzie należała do samego polityka ani do jego realnych działań, lecz do konkretnego odbiorcy. Odbiorcy, który może nawet nie zdawać sobie sprawy, że ten sam polityk czy ugrupowanie w zupełnie inny sposób rozmawia i przedstawia swoją tożsamość komuś innemu.

Politycy przestaną być już proszkami do prania, które mają podobać się każdej gospodyni. Staną się raczej intymnym rozmówcą każdego z osobna. Czyli w rzeczywistości – nikim.

Wybieranie z chatem

Ale zmieniają się nie tylko politycy, lecz także sami wyborcy. Zmieniają się również sposoby, w jakie pozyskują i przetwarzają informacje. Dawniej czerpali je albo z wieców, albo z mediów – najpierw drukowanych, potem audiowizualnych, a wreszcie z internetu. Dziś jednak nawet internet staje się narzędziem przeszłości.

Wiele prognoz wskazuje na stopniowy zanik tradycyjnej komunikacji sieciowej opartej na domenach i stronach internetowych. To, co nazywamy dziś stroną, także stroną medium, coraz bardziej będzie reliktem, ponieważ podstawowym oknem kontaktu ze światem stają się chat AI oraz media społecznościowe, przede wszystkim oparte na krótkim wideo, jak TikTok, które same coraz częściej są jedynie nakładkami na narzędzia sztucznej inteligencji.

A to oznacza już erozję społecznej komunikacji w postaci, jaką znaliśmy wcześniej. Następuje jej fragmentaryzacja, podporządkowanie narzędziu i algorytmowi, któremu ufamy i którego radzimy się nawet w kwestiach własnych preferencji politycznych.

Prekampania prezydencka, jaka toczy się obecnie we Francji, może być dla nas arcyciekawym poligonem i polem obserwacyjnym śmierci polityki, jaką znaliśmy wcześniej. Jedno jest pewne – ta zmiana dokonuje się na nasze życzenie, mimo również naszych własnych obaw. **GP**

PUBLICYSTYKA



Maciej
Kożuszek
SZEF DZIAŁU ŚWIAT
albicla.com/MaciejKozuszek

OSTROŻNY zimny pokój

CHINY I USA W POSZUKIWANIU KOEGZYSTENCJI



TAJWAN

Trump nie poszedł na żadne kompromisy w sprawie Tajwanu, stosując znaną metodę wcześniejszych administracji – unikając tematu. Sekretarz Stanu Marco Rubio, który też brał udział w wizycie, stwierdził, że chińska próba zajęcia wyspy siłą byłaby „katastrofalnym błędem”.

FOT. EVAN VUCCI / REUTERS / FORUM

Sporo wzajemnych pochwał i komplementów, brak wielkiego przełomu i konkretów. Szczyt USA–Chiny w Pekinie pokazał jednak, że obydwie strony potrzebują oddechu i choć nie są skłonne do zakończenia rywalizacji, to uznały, że wyznaczenie jej granic jest w interesie obu mocarstw.

Osiągnięcie wielkiego odrodzenia chińskiego narodu i uczynienie Ameryki znowu wielką mogą iść ręka w rękę” – powiedział Xi Jinping podczas czwartkowej uroczystej kolacji. To powrót do starej opowieści Pekinu o tym, że wzrost znaczenia Chin nie musi być zagrożeniem. Trump odwdzięczył się komplementami pod adresem chińskiego przywódcy, stwierdzając w wywiadzie z Seanem Hannity, że Xi jest wysoki i ma „aurę” najlepszych aktorów z Hollywood. Amerykanie zabrali do Pekinu szeroką delegację, składającą się także z czołowych przedstawicieli biznesu – od Elona Muska, przez szefa Nvidii Jensena Huanga, po Tima Cooka z Apple’a. Xi podniósł rangę wydarzenia, goszcząc Trumpa na terenie Zhongnanhai, pilnie strzeżonego kompleksu władz chińskich, co jest zaszczytem, który spotkał niewielu przywódców zagranicznych. Jednocześnie spotkanie nie przyniosło wielkiego przełomu. Pokazało jednak dwie strony, które są gotowe do odprężenia, ale też są przekonane, że będą w stanie odwilży budować swoje przewagi w rywalizacji.

Od konfrontacji do odwilży

Relacje Pekin–Waszyngton w drugiej kadencji Trumpa rozpoczęły się od strzałów z grubych kalibrów. USA nałożyły na Chiny cła, czasem przekraczające 100 proc., Pekin odpowiedział ograniczeniami eksportu metali ziem rzadkich. Podczas spotkania w Korei Płd., w październiku 2025 roku, udało się uniknąć pełnoskalowej wojny handlowej. Ubiegłotygodniowy szczyt był dopełnieniem atmosfery odprężenia, choć nie przyniósł przełomowych ustaleń. Trump mówił o ekscytujących porozumieniach handlowych, ale Pekin nie złożył żadnych wiążących deklaracji ws. zakupu amerykańskiej ropy czy soi. Padła deklaracja zamówienia 200 samolotów Boeing, ale przed wizytą mówiono nawet o 500 sztukach, więc trudno uznać to za przełom.

Także w kluczowych sprawach strategicznych trudno mówić o radykalnych zmianach. Trump w wypowiedziach podkreślał, że on i Xi „podobnie patrzą na kwestię Iranu” i Chiny też uznają, że blokada i militaryzacja cieśniny Ormuz jest niedopuszczalna, a Teheran nie powinien mieć możliwości pozyskania broni nuklearnej. Niektórzy w USA oczekiwali, że z racji uzależnienia reżimu ajatollahów od sprzedaży ropy do Państwa Środka Pekin będzie mógł wywrzeć presję na Iran. Podobnie jednak jak w wypadku wojny Rosji na Ukrainie, Xi nie zamierza wypuszczać z rąk atutu, jakim jest możliwość nakładania cudzymi rękami kosztów na Zachód z USA na czele. Jeszcze w czasie szczytu w Pekinie chińskie MSZ wydało oświadczenie ws. wojny w Iranie, które zaprzeczało zaprezentowanej przez Trumpa wersji o wspólnej wizji. „Nie ma żadnego sensu w kontynuacji tego konfliktu, który w ogóle nie powinien się rozpocząć” – Pekin podkreślił też, że jest przeciwny dalszej eskalacji.

Potrzeba szczytu

Ale sam fakt, że szczyt się odbył w skrupulatnie wyreżyserowanej przez dwie strony atmosferze, też o czymś świadczy. Większość komentatorów zwraca uwagę na to, że wobec przedłużającej się wojny w Iranie, słabnących ocen sytuacji gospodarczej wśród elektoratu i zbliżających się wyborów śródterminowych Trump potrzebował szczytu i dlatego przywiązywał do niego taką wagę. Ale to samo można powiedzieć o stronie chińskiej. Xi Jinping ewidentnie nie uznał, że rację mają prochińscy komentatorzy na Zachodzie. Niektórzy z nich już deklarowali, że zaangażowanie USA na Bliskim Wschodzie tworzy idealne okienko możliwości do chińskiej próby eskalacji wokół Tajwanu

albo nawet zajęcia wyspy. Ale Chiny mierzą się ciągle z własnymi problemami, kryzysem finansowym, związanym z sektorem nieruchomości, rosnącymi cenami energii i ciągle słabym popytem wewnętrznym. Rozpoczęcie wojny na Pacyfiku oznaczałoby dla Pekinu zerwanie zewnętrznych łańcuchów dostaw, ograniczenie eksportu i jeszcze głębszy kryzys. Do tego dochodzi też jeden czynnik. Choć dużo się mówi o braku realizacji celów strategicznych w Iranie, to siły zbrojne USA pokazały niezwykłą sprawność i koordynację w uderzeniach. A armia chińska nie tylko pozostaje niesprawdzona, lecz także Xi dokonał w niej niedawno głębokich czystek wśród najwyższych rangą generałów. To był pewnie dodatkowy argument za tym, by lepiej nie kusić obecnie losu.

Tajwan i Tukidydes

Jak pokazuje historia zimnej wojny, okresy odprężenia mają to do siebie, że nie zmieniają głównych zasad konfrontacji, ta toczy się dalej, ale próbuje się ustalić jej warunki brzegowe. Pomimo słów Xi o pogodzeniu rozwoju USA i Chin oraz deklaracji Trumpa, którą miał wygłosić wobec swoich doradców, że dwie potęgi powinny tworzyć „G-2", zasady rywalizacji tak naprawdę nie ulegają zasadniczej zmianie. Podobnie jak w zimnej wojnie, odprężenie jest tymczasową pauzą strategiczną – choć obydwie strony są przekonane, że wygrają długofalową rywalizację, to uznają, że nie chcą doprowadzać jej do poziomu ostatecznej konfrontacji. Wojna z Chinami „byłaby najgorszą rzeczą, która może się wydarzyć" – stwierdził Trump podczas szczytu.

Po stronie chińskiej warto zauważyć dwa zabiegi narracyjne zastosowane podczas szczytu. Po pierwsze, Xi Jinping zdecydował się na użycie dość stanowczej narracji w sprawie Tajwanu. Złe podejście do sprawy może doprowadzić do „starć i konfliktów", podkreślił też, że niepodległość Tajwanu jest „niekompatybilna z pokojem w Cieśninie Tajwańskiej". Jak zwrócił uwagę Michael Pillsbury, używał ostrego języka, który w wielu zachodnich tłumaczeniach był łagodzony. Przestrzegając przed tym, by nie popsuć relacji amerykańsko-chińskich za sprawą Tajwanu, Xi użył sformułowania „g o huài" oznaczającego „spartolenie sprawy", w stosunku do USA stosował z kolei mające negatywne konotacje określenia „hegemon", które często było tłumaczone jako „lider". Na razie Trump jednak nie poszedł na żadne kompromisy w sprawie Tajwanu, stosując znaną metodę wcześniejszych administracji – unikając tematu. Sekretarz stanu Marco Rubio, który też brał udział w wizycie, stwierdził jednak, że chińska próba zajęcia wyspy siłą byłaby „katastrofalnym błędem".

Szczyt pokazał, że USA i Chiny są gotowe do odprężenia, ale też są przekonane, że będą w stanie odwilży budować swoje przewagi w rywalizacji.

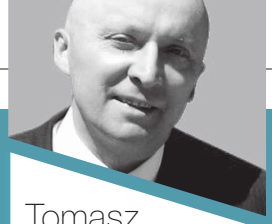
Drugi zabieg narracyjny dotyczył odwołania się do tzw. pułapki Tukidydesa. Teza porównująca relacje Chin i USA do Aten i Sparty podczas wojny peloponeskiej spopularyzowana została przez amerykańskiego analityka Grahama Allisona, który zresztą kilka razy zapraszany był przez chińskie władze. Ameryka ma być jak Sparta, potęgą w fazie schyłkowej, którą niepokoi wzrost znaczenia Aten. A ich dzisiejszym odpowiednikiem mają być Chiny. Xi deklarował, że „pułapki", czyli wojny między potęgami, można uniknąć, co wielu mogło odebrać jako gest rozładowujący napięcia. Ale samo ustawienie debaty w ten sposób stawia Chiny w korzystnej pozycji – jako rosnącą potęgę, która gotowa jest łaskawie uniknąć wojny z zaniepokojonym o swoje wpływy hegemonem. Kluczowe pytanie w tej sytuacji brzmi: czy sam Xi Jinping wierzy w ten obraz rzeczywistości i naprawdę uważa, że z biegiem czasu USA będą musiały pogodzić się z oddaniem Tajwanu, by uniknąć wojny, w której nie byłyby silniejszą stroną? Czy może jest to próba stworzenia wrażenia sukcesu i siły nie tylko na użytek wewnętrzny, ale też opowieści adresowanej także do społeczeństw Zachodu, w której porządek oparty na amerykańskiej dominacji militarnej jest coraz częściej kwestionowany?

Hard power

Trump wyraźnie uznał, że pauza strategiczna także jemu jest potrzebna, i był gotowy się zgodzić na całą symbolikę pokazującą równe znaczenie obydwu potęg. Jednocześnie sukcesywnie realizuje program powolnego minimalizowania chińskich przewag. Od Pax Silica, którego celem jest zmniejszenie zależności od chińskich metali ziem rzadkich, przez operację w Wenezueli, mającą też ograniczyć wpływy chińskie, po wzmacnianie amerykańskiej kontroli nad kluczowymi punktami dla światowego handlu. USA ciągle są w stanie nałożyć druzgocące koszty na Chiny w wypadku ewentualnej konfrontacji, a niełatwa geografia Państwa Środka wcale go nie faworyzuje.

Kluczowym wyzwaniem stojącym przed administracją jest wzmocnienie amerykańskiej wiarygodności wśród sojuszników, nie tylko tych w Azji, ale też w Europie. Trump pokazał, że amerykańska hard power jest ciągle bezkonkurencyjna, ale zaniedbania wizerunkowe zostawiły otwarte okno nie dla bezpośredniej propagandy prochińskiej, ale dla służących Pekinowi narracji o amerykańskiej słabości czy potrzebie budowy nowych architektur strategicznych. **GP**

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej



Tomasz Mysłek

Europa w skrócie

Zakaz reklam mięsa, samolotów i samochodów W Amsterdamie od 1 maja obowiązuje totalny zakaz reklamowania na ulicach i stacjach metra: samochodów, podróży lotniczych, produktów mięsnych i innych „związanych z emisją dwutlenku węgla". Ten eurokomunistyczny zakaz ma sprawić, że „nastąpi zmiana nawyków i preferencji konsumentów". Lewicowym władzom miasta chodzi też m.in. o nakłonienie mieszkańców i turystów do zmniejszenia spożycia mięsa o 50 proc. Mają to być „elementy wielopłaszczyznowej polityki klimatycznej".

Kłopoty firmy BioNTech Firma farmaceutyczna BioNTech z Moguncji, której popularność i ogromne zyski przyniosła produkcja szczepionki przeciwko koronawirusowi, w ostatnich kwartałach poniosła duże straty finansowe. Zamyka więc i sprzedaje zakłady produkcyjne w Marburgu, Idar-Oberstein, Tybindze i Singapurze, co może spowodować utratę łącznie około 1860 miejsc pracy. BioNTech oczekuje, że przyniesie to rocznie około 500 mln euro oszczędności. A produkcja ww. szczepionki zostanie w Niemczech wstrzymana.

Islamizacja Wiednia Dziennik „Die Presse" podał, że wśród 114 tys. uczniów państwowych szkół w Wiedniu aż ponad 42 proc. to muzułmanie. Uczniów katolików jest zaledwie 17 proc., prawosławnych – 14 proc., a niemal co czwarty deklaruje się jako bezwyznaniowiec. Udział muzułmanów w populacji Wiednia rośnie w tempie 0,8 proc. rocznie. A w tempie 0,5 proc. rocznie spada odsetek chrześcijan. Dawniej imigranci przybywali do Austrii głównie z Turcji, a od 2015 roku przede wszystkim z krajów arabskich. W 2025 roku administracja Wiednia, zarządzana przez socjalistów, wydała aż 1,2 mld euro na różne świadczenia socjalne. Dwie trzecie tych pieniędzy dała obcokrajowcom.

Infradźwięki z turbin wiatrowych szkodzą zdrowiu Naukowcy z Moguncji, prof. Christian-Friedrich Vahl i Oliver Dietz, wykazali znaczną szkodliwość farm wiatrowych dla ludzkich serc. Zbadali m.in. populacje dwóch gmin – podobnych pod względem liczebności, warunków klimatycznych i ekonomicznych. Jedna z gmin miała 224 turbiny wiatrowe, a druga tylko osiem. Rezultaty ich badań laboratoryjnych znalazły potwierdzenie w statystykach arytmii i niewydolności serca. Tytuł ich pracy: „Znacznie zwiększona częstość występowania niewydolności i arytmii serca w gminach o znacznej ekspansji energetyki wiatrowej". Ich tezy skomentował fizyk dr Peter Mayer: „Turbiny wiatrowe generują znaczne poziomy infradźwięków, które mocno rozprzestrzeniają się i znacznie przekraczają limity. Odkrycia z Moguncji dokładnie wyjaśniają, dlaczego ludzie mieszkający w pobliżu farm wiatrowych skarżą się na problemy z sercem, zmęczenie i inne dolegliwości. Politycy, którzy agresywnie rozwijają energetykę wiatrową, ignorują te zagrożenia". **GP**

BIEDA UE

Eurostat podał, iż w 2025 roku. aż 20,9 proc. ludności UE żyło „w stanie zagrożenia biedą lub społecznym wykluczeniem". Chodzi o osoby utrzymujące się za mniej niż 3240 zł miesięcznie – z dochodów i zasiłków.

FOT. ADOBE STOCK

Belgia znów stawia na elektrownie atomowe

Premier Belgii Bart De Wever ogłosił, że jego rząd chce mieć „bezpieczną, ekonomiczną i stabilną energię atomową", co pozwoli na zmniejszenie zależności kraju od importu surowców i paliw z zagranicy. Do 2022 roku władze Belgii planowały likwidację wszystkich siedmiu istniejących elektrowni atomowych. Obecnie funkcjonują jeszcze dwie takie elektrownie. Władze chcą je jednak utrzymać i budować kolejne reaktory.



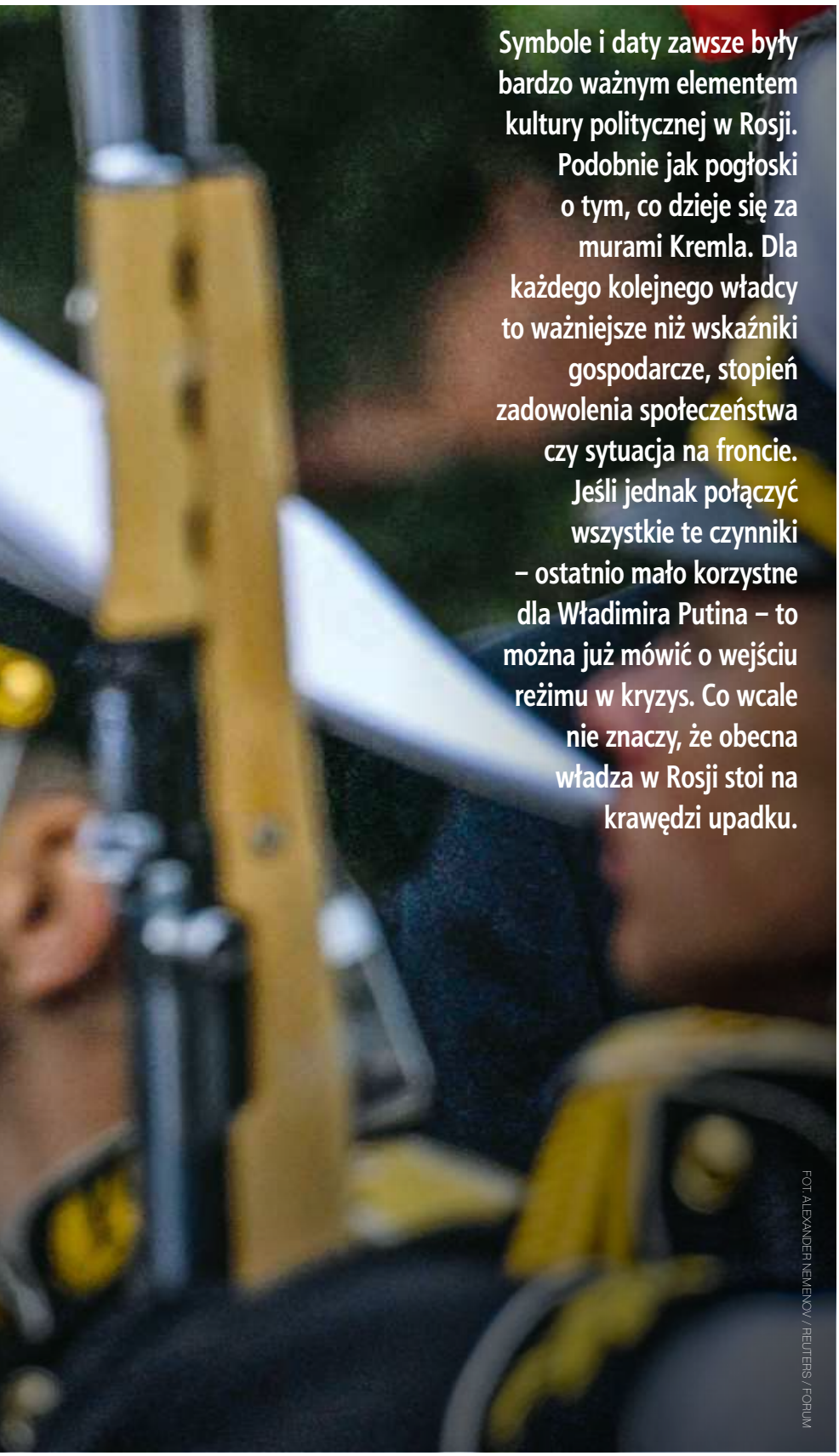


Z PUTINEM DO KOŃCA

Dla członków elity, nawet jeśli nie podoba się im każda decyzja Putina, bezpieczniej jest i bardziej opłacalnie mieć Putina u władzy, niż zmierzyć się z walką wszystkich przeciw-ko wszystkim o władzę i zasoby.

REŻIM PUTINA W OPAŁACH

ALE DO REWOLUCJI DALEKO



Symbole i daty zawsze były bardzo ważnym elementem kultury politycznej w Rosji. Podobnie jak pogłoski o tym, co dzieje się za murami Kremla. Dla każdego kolejnego władcy to ważniejsze niż wskaźniki gospodarcze, stopień zadowolenia społeczeństwa czy sytuacja na froncie. Jeśli jednak połączyć wszystkie te czynniki – ostatnio mało korzystne dla Władimira Putina – to można już mówić o wejściu reżimu w kryzys. Co wcale nie znaczy, że obecna władza w Rosji stoi na krawędzi upadku.

FOT. ALEXANDER NEMENOV / REUTERS / FORUM

Antoni **Rybczyński**

Od momentu dojścia do władzy ćwierć wieku temu prezydent Rosji Władimir Putin przekształcił coroczne obchody Dnia Zwycięstwa 9 maja w pokaz potęgi militarnej, dumy i patriotyzmu. Czołgi, wyrzutnie rakiet, pociski balistyczne i inny sprzęt wojskowy stanowiły namacalny dowód potęgi Rosji. Ich brak w tym roku oraz fakt, że sama parada trwała o połowę krócej niż poprzednie – to pokaz słabości wymuszonej przez wroga, który już cztery lata temu miał paść na kolana, a dziś swoimi dronami sięga w głąb Rosji. Jeśli Wołodymyr Zełenski zabójczo strollował Rosjan, wydając dekret prezydencki zezwalający na paradę pod Kremlem, to drugim ważnym elementem informacyjnej operacji wymierzonej w stabilność władzy Putina był rzekomy raport jakiegoś wywiadu kraju UE o paranoicznym strachu dyktatora, sporach w elicie władzy i groźbie przewrotu pałacowego w Moskwie. Większość rzeczy w tym nagłośnionym w zachodniej prasie raporcie – używając potocznego języka – po prostu się nie spina, przynajmniej w opinii ludzi znających realia putinizmu. Co nie zmienia faktu, że Rosja znalazła się obecnie w najtrudniejszym momencie od rozpoczęcia pełnoskalowej inwazji na Ukrainę: gospodarczo, politycznie, militarnie.

Car jest nagi

Wojskowa parada z okazji Dnia Zwycięstwa ma kluczowe znaczenie dla uzasadnienia wojny przeciwko Ukrainie. Pompatyczna demonstracja potęgi militarnej jest niezbędna do potwierdzenia tezy, że zwycięstwo jest z góry przesądzone – twierdzenia, które Putin powtórzył w swoim tradycyjnym przemówieniu wygłoszonym 9 maja. Znacznie okrojony format uroczystości, która trwała zaledwie 45 minut i obejmowała jedynie przemarsz kilku kolumn bez sprzętu wojskowego, oraz zakaz wszelkich publicznych uroczystości na świeżym powietrzu sprawiły jednak, że dyskurs o zwycięstwie zabrzmiał pusto. W większości dużych miast w Rosji wprowadzono podobne ograniczenia, a w blisko

30 stolicach regionów uroczystości zostały całkowicie odwołane. Trudno o mocniejszy dowód na to, że Putin „małą zwycięską wojnę" z Ukrainą przegrywa, nie wygrywa.

W kwietniu Rosja po raz pierwszy od inwazji na Ukrainę w obwodzie kurskim w 2024 roku odnotowała straty terytorialne, traci stale więcej żołnierzy, niż zyskuje, a ukraińskie drony w 90 proc. zakłócają logistykę frontową. Sondaże opinii publicznej wskazują na niezmiennie silne poparcie dla zakończenia wojny, a wśród Rosjan w wieku 18–39 lat poparcie dla rozmów pokojowych jest przytłaczające. Lista rosyjskich ofiar śmiertelnych obejmuje obecnie 352 tys. nazwisk, a kampania mająca na celu przyciągnięcie ochotników przynosi coraz mniejsze rezultaty. Żadna ilość patriotycznej propagandy nie jest w stanie ukryć wyczerpania zasobów mocy Rosji, a Putin jest w pełni świadomy upokorzenia, które pogłębiła drwina Zełenskiego. W przemówieniu Putina wygłoszonym podczas samej parady nie było nic szczególnego. Bardziej treściwa okazała się konferencja prasowa wieczorem 9 maja. Agencje zwróciły uwagę na zdanie Putina: „Myślę, że sprawa zmierza ku zakończeniu" w odniesieniu do wojny, ale z kontekstu nie wynika jasno, co dokładnie miał na myśli: całkiem możliwe, że nieuchronną porażkę Ukrainy.

Kilka dni przed nerwowym Dniem Zwycięstwa media opublikowały treść raportu wywiadu jednego z krajów UE, który wskazuje na rosnący strach Putina przed próbą obalenia. Najnowsze doniesienia wskazują na wyraźne zaostrzenie środków ochrony osobistej Władimira Putina oraz narastające tarcia wśród rosyjskich służb bezpieczeństwa. Sygnały te sugerują, że reżim nie znajduje się na skraju upadku, ale coraz bardziej skupia się na zagrożeniach wewnętrznych, odpowiednio dostosowując swoją strategię bezpieczeństwa. Niektóre z bardziej dramatycznych twierdzeń zawartych w rzekomym raporcie europejskiego wywiadu – na przykład to, że były minister obrony Siergiej Szojgu jest wpływową postacią, która mogłaby rzucić wyzwanie Putinowi – wydają się naciągane. Rozmowy o bezpośrednim zagrożeniu dla rządów Putina są przesadzone, to fikcja, którą należy traktować nie jako analizę, ale jako próbę wojny informacyjnej. Jednak rozmowy o zamachach stanu i spiskach nie biorą się znikąd. Nawet prowojenne kanały Telegramu w Rosji są pełne takich teorii i prognoz. W Rosji oddawanie się takim spiskowym teoriom jest często mniej ćwiczeniem z prognozowania politycznego, a bardziej wyrazem głębszych niepokojów, które trudno wyrazić w inny sposób.

Wyzwanie dla reżimu

Dlaczego notowania Putina spadają? Po pierwsze, ludzie są niezadowoleni z sytuacji gospodarczej. Aby sfinansować wydatki wojskowe, władze muszą podnosić podatki. Jednocześnie stopy procentowe pozostają wysokie, ponieważ Bank Centralny prowadzi restrykcyjną politykę pieniężną w celu zwalczania inflacji. W rezultacie znacznie spowolnił wzrost gospodarczy i wzrost dochodów gospodarstw domowych. Dzięki wydatkom wojennym PKB Rosji wzrósł o około 4 proc. zarówno w 2023, jak i 2024 roku. W zeszłym roku było to już jednak zaledwie 1 proc. Niedawno, podczas spotkania urzędników na Kremlu, Putin ujawnił, że PKB w 2026 roku skurczył się jak dotąd o prawie 2 proc., co oznaczałoby, że Rosja stoi w obliczu recesji. Po drugie, narasta zmęczenie wojną. Istniały nadzieje na zakończenie walk i powrót do normalnego życia po powrocie Trumpa do Białego Domu w 2025 roku – ale zostały one zniweczone. Wreszcie, ograniczenia w dostępie do internetu i jego blokady wywołały powszechne oburzenie. Nie ma jednak dowodów na to, że niezadowolenie zamieni się w aktywny opór wobec działań wojennych. Poparcie dla Putina może i spadło w ostatnich tygodniach, ale wciąż wynosi ponad 70 proc. Nie ma żadnych wyraźnych postaci, które mogłyby wykorzystać niezadowolenie społeczeństwa do celów politycznych. Putin nie zmieni nagle swojego stanowiska w sprawie wojny, jeśli stanie się ona niepopularna, choć może to ograniczyć jego możliwości w prowadzeniu konfliktu. Jeśli zdecyduje się w najbliższej przyszłości podjąć kroki w kierunku zakończenia wojny, będzie to wynikało z innych powodów niż niezadowolenie społeczne.

Fatalna sytuacja gospodarcza

Bez względu na to, jak i kiedy wojna się zakończy, Rosja prawie na pewno znajdzie się w gorszej sytuacji geopolitycznej. Wojna pogłębiła długotrwały kryzys demograficzny, gospodarka została zrestrukturyzowana w celu masowej produkcji nieproduktywnego sprzętu wojskowego, a Rosja nie inwestuje wystarczających środków w technologie, zwłaszcza sztuczną inteligencję, które będą stanowić podstawę potęgi narodowej w nadchodzących dziesięcioleciach. Z każdym dniem trwania wojny Rosja coraz bardziej pozostaje w tyle za Stanami Zjednoczonymi, Chinami, Indiami i Europą. Tymczasem Europa po raz pierwszy od dziesięcioleci poważnie rozwija swoje zdolności obronne z powodu agresji Rosji – oraz obawy przed zostawieniem przez Stany Zjednoczone. Finlandia i Szwecja porzuciły swoją tradycyjną neutralność, aby przystąpić do NATO. Dalsza konsolidacja europejska jest w dużej mierze napędzana przez nastroje antyrosyjskie. Tymczasem Rosja traci pozycję w przestrzeni byłego Związku Sowieckiego, ponieważ USA i Turcja kwestionują jej obecność na Kaukazie Południowym, Chiny wyprzedzają Rosję jako wiodąca potęga w Azji Środkowej, a Mołdawia przyspiesza swoje zbliżanie się do Europy. Rosja straciła też swojego partnera w Wenezueli, a jej pozycja na Bliskim Wschodzie uległa osłabieniu wraz z usunięciem Asada w Syrii oraz atakiem amerykańsko-izraelskim na Iran. Do tego dochodzą porażki w Libii i Mali.

Podczas debaty w Dumie Giennadij Ziuganow, szef Komunistycznej Partii Rosji – która jest partią opozycyjną tylko z nazwy – ostrzegł przed „nieuniknionym" załamaniem gospodarczym i zbliżającym się powtórzeniem 1917 roku, roku rewolucji bolszewickiej. Powiedział, że nadszedł czas, aby „podjąć długo oczekiwane decyzje". Jakie? Na pewno nie zmianę gospodarza Kremla, prędzej jeszcze większe zaostrzenie polityki represji i centralizację zarządzania gospodarką. Dla członków elity, nawet jeśli nie podoba się im każda decyzja Putina, bezpieczniej jest i bardziej opłacalnie mieć Putina u władzy, niż zmierzyć się z walką wszystkich przeciwko wszystkim o władzę i zasoby. Wojna wystawiła lojalność na próbę, ale jeszcze jej nie złamała. GP

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.



Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Dowcip miesiąca Kreml zareagował niekłamanym oburzeniem na drwinę ze strony Wołodymyra Zełenskiego, który po ustaleniach z Donaldem Trumpem na temat zawieszenia broni na rosyjski Dzień Zwycięstwa wydał prześmiewczy dekret… zezwalający na przeprowadzenie defilady w Moskwie. „Nie potrzebujemy niczyjego pozwolenia na czczenie naszego święta" – przekonywał rzecznik Władimira Putina Dmitrij Pieskow. Trzeba przyznać, że facet też ma poczucie humoru.

Defilada zastępcza Po ulicach Almietiewska w Tatarstanie 9 maja uroczyście (choć z pewnym trudem) przemaszerowała kolumna wojskowych inwalidów okaleczonych na froncie wojny z Ukrainą. Niektórzy poruszali się na wózkach, inni na protezach. A w Czycie uwagę widzów przyciągnęły defilujące w zwartym szyku… matki poległych i wdowy po nich. Tam żywych weteranów już nie znaleziono?

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Podwójne święto A portrety aż dwóch bohaterów niosła jedna z uczestniczek marszu „Nieśmiertelnego Pułku", zorganizowanego z tej okazji w Kemerowie. Na jednym był jej rodzony dziadek, poległy w czasie tzw. wielkiej wojny ojczyźnianej, a na drugim – jak wyjaśniła rozmawiającej z nią dziennikarce – syn zaginiony bez wieści podczas „specjalnej operacji wojskowej". „To znaczy, że ma pani dziś podwójne święto!" – ucieszyła się reporterka. Rzeczywiście, tylko pogratulować.

Chluba miasta „Jesteśmy dumni" – banery z takim tekstem pojawiły się ku czci Dnia Zwycięstwa na ulicach Siewierodniecka. Tylko zamiast umieścić na nich portrety żołnierzy Armii Radzieckiej, mających udział w pokonaniu III Rzeszy, urzędnicy dali tam… własne zdjęcia. No to skoro tak, teraz zapewne można oczekiwać, że sami zgłoszą się na front. Żeby na bitewnych polach „specjalnej operacji wojskowej" udowodnić, że miasto rzeczywiście może być z nich dumne.

DOWÓD WDZIĘCZNOŚCI

Król Malezji, który jako jeden z nielicznych zagranicznych gości przybył na defiladę do Moskwy, dostał tam w prezencie… rosyjską limuzynę Aurus, wartą milion dolarów. Jeśli była to forma nagrody, wybrano ją słusznie. Na order „Za Odwagę" mógłby się nie skusić.

Planeta małp Tymczasem zoo w Nowosybirsku postanowiło uczcić tegoroczne święto wielkim banerem przedstawiającym… orangutana składającego mieszkańcom miasta życzenia z okazji Dnia Zwycięstwa. Plakat wzbudził jednak takie kontrowersje, że sprawą zajęła się nawet prokuratura. Zdecydowano się go więc pospiesznie usunąć. Żeby nie obrażać małp? **GP**

Spóźnione zaproszenie?

W trakcie tegorocznych obchodów Putin nie wykluczał przeprowadzenia rozmów pokojowych z Zełenskim, twierdząc jednak, że byłoby najlepiej, aby prezydent Ukrainy przyjechał w tym celu do Moskwy. Niech lepiej uważa na to, co mówi, bo jeszcze trochę i Zełenski wjedzie na Kreml bez zaproszenia, ale za to z warunkami kapitulacji Federacji Rosyjskiej…



Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**



SYSTEM KAUCYJNY – widowiskowa katastrofa

KLAPA PO SIEDMIU MIESIĄCACH FUNKCJONOWANIA

Według danych Ministerstwa Klimatu i Środowiska od początku działania systemu kaucyjnego, tj. od października ubiegłego roku, wprowadzono do obrotu około 2,8 mld sztuk opakowań. Jednocześnie zebrano łącznie do początku maja około 1 mld opakowań, tj. zaledwie około 35,7 proc.



Maciej **Pawlak**
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA
albicla.com/MaciejPawlak

Zwrot opakowań kaucyjnych stanowi nieco ponad 1/3 tych objętych systemem. Co jednak istotne, nie wiadomo, jaka część z reszty, tj. 1,8 mld opakowań, faktycznie zostanie nim objęta przez kolejne miesiące, jeśli nie zasili śmietników, przydrożnych rowów, pól czy lasów. Warto przy okazji przypomnieć plany Ministerstwa Klimatu, które jeszcze przed wdrożeniem systemu zakładało, że „wysoki poziom selektywnej zbiórki opakowań" osiągnie poziom „co najmniej 77% już od 2025 roku". Zaś docelowy poziom zbiórki opakowań na poziomie 90 proc. do 2029 roku „pozostaje celem realnym, choć wymagającym konsekwentnego rozwoju infrastruktury i edukacji konsumentów".

Ponadto według MKiŚ dotychczasowy model selektywnej zbiórki, a więc jeszcze sprzed wprowadzenia systemu kaucyjnego, „poprzez wrzucanie opakowań do żółtych pojemników – pozwalał zebrać maksymalnie około 45 proc. wprowadzonych na rynek butelek PET. System kaucyjny ma podwoić tę skuteczność". Z danych Ministerstwa Klimatu wynika także, iż z systemów kaucyjnych korzysta 180 mln mieszkańców Europy, a zatem ponad 1/4 populacji naszego kontynentu.



FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK

Widzimy na ulicach miast ludzi wędrujących z ogromnymi workami pełnymi plastikowych butelek i innych zużytych opakowań po napojach. System kaucyjny „zrobił z Polaków śmieciarzy”.

Operatorzy systemu kaucyjnego – Remondis się wycofał

W celu zapewnienia funkcjonowania systemu MKiŚ wydał zezwolenia na jego prowadzenie siedmiu spółkom akcyjnym. Są nimi: Zwrotka, Polka, OK Operator Kaucyjny, Reselekt, Kaucja.PL – Krajowy System Kaucyjny, Polski System Kaucyjny oraz Ecokaucja Polska. Spółki te odpowiadają za organizację, logistykę i finanse systemu kaucyjnego. Zwłaszcza za zbiórkę opakowań objętych systemem, tj. butelek z tworzyw sztucznych o pojemności do 3 l, puszek po napojach do 1 l oraz szklanych butelek zwrotnych do 1,5 l (poza systemem pozostały kartonowe i szklane opakowania po mleku, produktach mlecznych i innych napojach oraz zwrotne butelki po piwie). Ponadto operatorzy systemu odpowiadają za transport do recyklingu oraz za rozliczanie kaucji z handlowcami i konsumentami, a także prowadzenie dokładnej ewidencji zbieranych opakowań i raportowanie wyników do MKiŚ.

Większość z operatorów w praktyce działa na rzecz konkretnych sieci handlowych, producentów napojów (m.in. izotonicznych czy piwa) bądź powiązana jest z firmami zajmującymi się wywozem i utylizacją śmieci i odpadów. Znamienne jest jednak, że jedna z największych w naszym kraju firm z tej branży, Remondis, działająca wcześniej w systemie kaucyjnym poprzez spółkę Eko-Operator, podjęła kilka tygodni temu decyzję o wycofaniu się z tego systemu.

Co prawda według Piotra Tokarskiego, rzecznika prasowego Grupy Remondis, „decyzja Eko-Operator wynika przede wszystkim z przyjęcia nowej strategii rozwoju, skoncentrowanej na obszarach najbliższych kompetencjom operacyjnym spółki. Firma zamierza rozwijać działalność w zakresie centrów zliczania opakowań”. Jednak „decyzja o rezygnacji (…) została podjęta również w kontekście aktualnych uwarunkowań rynkowych, w tym różnic w podejściu do kluczowych aspektów organizacyjnych systemu kaucyjnego pomiędzy innymi jego uczestnikami”.

Cele były szczytne…

Trudno polemizować z takimi celami, jakie MKiŚ założył dla nowego sposobu pozbywania się opakowań po napojach: „(…) system kaucyjny pomaga ograniczać zaśmiecanie przestrzeni publicznej i jednocześnie zwiększa skuteczność recyklingu. Opakowania zbierane w ramach systemu są znacznie mniej zanieczyszczone niż odpady trafiające do tradycyjnych pojemników, dzięki czemu łatwiej ponownie wykorzystać je do produkcji nowych opakowań, także tych przeznaczonych do kontaktu z żywnością”. Ponadto resort twierdzi, że „im więcej butelek i puszek wraca do obiegu, tym mniej odpadów trafia do środowiska, a cenne surowce mogą być ponownie wykorzystane. To ważny krok w kierunku gospodarki o obiegu zamkniętym, w której odpady stają się wartościowym zasobem, a recykling realnie wspiera ochronę środowiska”.

Co więcej, MKiŚ wyjaśniło, że system kaucyjny wprowadziło z trzech powodów: po pierwsze, oszczędność surowców – zużyjemy mniej plastiku, aluminium i szkła do produkcji nowych opakowań; po drugie, czystsze środowisko – mniej butelek i puszek porzuconych w parkach, lasach czy nad wodą; po trzecie, świadome podejście – opakowanie to nie odpad, lecz wartościowy materiał, który warto wprowadzić z powrotem do obiegu.

…praktyka zgoła inna

Niestety, praktyka działania systemu wygląda zgoła inaczej. Mimo że tzw. butelkomaty zostały ustawione w całym kraju, zwłaszcza w ramach popularnych sieci handlowych, urządzeń tych jest wciąż za mało. Brakuje ich zwłaszcza na terenach wiejskich i w małych miejscowościach. Co przy tym istotne, zwłaszcza mniejsze butelkomaty bardzo często się zacinają, bowiem bardzo szybko zostają zapełnione. A sprzedawcy, którzy przecież obsługują robiących zakupy klientów, zwłaszcza w mniejszych sieciach handlowych, nie są w stanie na bieżąco opróżniać tych urządzeń. Powo-

duje to zjawisko wycieczek klientów objuczonych workami ze zużytymi opakowaniami, którzy chcą się ich szybko pozbyć, ale nie jest to możliwe.

Prawdopodobieństwo pojawiania się kolejnych problemów związanych z obsługą systemu kaucyjnego sprawiło, że niektóre sieci handlowe, na przykład Leroy Merlin czy Rossmann, podjęły decyzję o zaprzestaniu sprzedaży w swoich sklepach napojów w opakowaniach objętych kaucją. – Ludzie przychodzą z pretensjami do tych sieci, chcąc się pozbyć zużytych opakowań po napojach – mówi „GP" Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców. – A przecież same te sieci nie zajmują się bezpośrednio tym problemem. Są za to nim obciążane. Przy tworzeniu tego systemu nikt ich nie chciał słuchać. A biznes ma tu nauczkę. Nie wiadomo przy tym, jak się to skończy. Może jakimś cudem uda się to naprawić, ale szczerze mówiąc – wątpię.

Cezary Kaźmierczak dodaje: – System kaucyjny to widowiskowa katastrofa. Moim zdaniem rząd powinien się z tego wycofać. Jest kilka rozwiązań, co zrobić z problemem zużytych opakowań po napojach. Najlepsze byłoby – prawdopodobnie dotowane przez rząd i/lub samorządy – zorganizowanie w całym kraju punktów skupu surowców wtórnych, które zbierałyby nie tylko plastiki, lecz także wszystkie zużyte opakowania. Bo to, co obserwujemy obecnie, to katastrofa. Rozmawiałem ostatnio z szefem jednej z dużych sieci handlowych, który stwierdził, że cały ten system zamiast się rozwijać – psuje się. (…) Negatywna ocena tego całego „wybryku" jest zgodna. Potwierdzają to nawet – nieoficjalnie – politycy rządzącej koalicji.

Hałdy zalegającego, nieprzetworzonego plastiku

Jak zaznaczył w wypowiedzi dla „GP" Bogdan Rzońca, europoseł EKR/PiS, najważniejsze w ocenie działania systemu kaucyjnego jest zestawienie kosztów zbierania zużytych butelek i innych opakowań z rezultatami jego funkcjonowania. – Bo przecież są określone koszty tego systemu. Zaś Polska płaci swój podatek od zużywanego plastiku do Unii Europejskiej. I z tego wynika dla nas problem. Mamy przecież hałdy zalegającego, nieprzetworzonego plastiku, za który musimy płacić. Zatem każde normalne działanie, które powoduje zmniejszanie tych płatności, jest dobre. Ale cały ten system został źle przygotowany i źle działa. A rząd chwali się tym i sam sobie bije brawa. Poczekajmy zatem na ostateczną ocenę. (…) Uważam, że obecne Ministerstwo Klimatu i Środowiska jest najsłabszym i najgorszym takim resortem w naszej historii. Wobec tego chwalenie się przez ten resort systemem kaucyjnym nie przynosi MKiŚ chwały. (…) Nie widzę w tej chwili żadnych powodów, by to ministerstwo można było za cokolwiek chwalić. Tym bardziej że system kaucyjny w praktyce nie istnieje na wsi czy w mniejszych miejscowościach. A butelki czy puszki walają się byle gdzie – po polach czy w przydrożnych rowach i lasach.

Jedna z największych kompromitacji obecnego rządu

Z kolei Janusz Szewczak, główny ekonomista SKOK, były członek zarządu Orlenu, podkreślił w wypowiedzi dla „GP", że system kaucyjny to jedna z największych kompromitacji obecnego rządu. – Niektórzy, moim zdaniem bardzo trafnie, mówią, że ten system „zrobił z Polaków śmieciarzy". Widzimy przecież na ulicach miast ludzi wędrujących z ogromnymi workami pełnymi plastikowych butelek i innych zużytych opakowań po napojach. W dodatku ministerstwo pani Hennig-Kloski nie jest w stanie doliczyć się efektów finansowych tego systemu, który nie tylko nie działa, lecz także umożliwia różnego rodzaju oszustwa. To tak jak w obecnym rządzie – na przykładzie funkcjonowania systemu kaucyjnego wychodzi niekompetencja połączona przede wszystkim z brakiem skuteczności. (…) Wprowadzanie systemu kaucyjnego powinno stanowić jedną z głównych przyczyn dymisji p. Hennig-Kloski, która – można powiedzieć – właściwie z niczym sobie nie radzi lub radzi sobie bardzo słabo. **GP**



MASOWY PROTEST PRZEDSIĘBIORCÓW

Warsaw Enterprise Institute w pełni popiera postulaty przedsiębiorców, którzy 13 maja zgromadzili się na największym od dekady proteście w samym sercu Warszawy. Handlowcy oraz producenci ubrań protestują wobec rozszerzenia unijnego programu SENT na odzież i obuwie. System nakłada wymóg raportowania każdego większego transportu towaru, a za niedopełnienie obowiązków przewidziane są kary do 20 tys. zł, które w łatwy sposób mogą doprowadzić niejeden legalny biznes do upadku. Zamiast zapowiadanej deregulacji objęto więc dodatkowymi regulacjami kolejną branżę.



SŁABSZY POPYT OBNIŻA NASTROJE PRZEDSIĘBIORCÓW

Maj przyniósł spadek nastrojów wśród przedsiębiorców. Miesięczny Indeks Koniunktury (MIK) Polskiego Instytutu Ekonomicznego spadł m/m o 9,1 pkt do poziomu 94,5 pkt. Po kwietniowym wzroście wskaźnik ponownie jest poniżej poziomu neutralnego (100 pkt), podobnie jak w lutym i marcu br., a jego wartość w maju jest najniższa od początku 2026 roku. Spośród siedmiu komponentów tworzących MIK tylko dwa – wynagrodzenia oraz płynność finansowa – pozostają powyżej poziomu neutralnego, co oznacza przewagę ocen pozytywnych nad negatywnymi w tych obszarach.

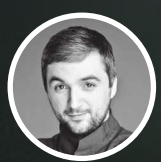
FOT. JAKUB PORZYCKI / FORUM, PIXABAY

www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA

DROGA, KTÓRA NAŁADUJE AUTO

Na 1,5-kilometrowym odcinku autostrady nieopodal Paryża francuscy inżynierowie wbudowali w jezdnię setki cewek zasilanych z sieci elektroenergetycznej, które wytwarzają pole elektromagnetyczne. Technologia ta pozwala pojazdom wyposażonym w specjalne odbiorniki na ładowanie indukcyjnie bez zatrzymywania się.



Jan **Przemyłski**
albicla.com/JanPrzemylski

FOT. FB

TECHNOLOGIA, KTÓRA MA POMÓC W ROZWOJU ELEKTROMOBILNOŚCI

Z danych Eurostatu wynika, że pod koniec 2023 roku po drogach Unii Europejskiej poruszało się blisko 4,5 mln samochodów całkowicie elektrycznych. Dziś ta liczba przekracza już 7 mln. Nadal jednak pojazdy z tego typu napędem są niewielkim fragmentem europejskiego parku samochodowego, gdyż stanowią zaledwie około 2,7 proc. wszystkich aut zarejestrowanych w UE. Mimo totalnej dominacji samochodów spalinowych europejscy inżynierowie intensywnie pracują nad technologiami, które mają przygotować kontynent na dalszy rozwój elektromobilności.

We Francji na fragmencie trasy A10, 45 km na południowy zachód od Paryża, właśnie testowany jest odcinek autostrady, która może ładować auta elektryczne bez zatrzymywania się. Za projekt odpowiedzialni są m.in. eksperci z Uniwersytetu Gustave'a Eiffla oraz konsorcjów VINCI i Electreon. Na długości 1500 m w jezdni, pod prawym pasem ruchu, wbudowali oni 900 miedzianych cewek, które wytwarzają pole elektromagnetyczne, a pojazdy z odpowiednim odbiornikiem mogą pobierać energię w czasie jazdy. Prąd do cewek dostarczany jest z infrastruktury (transformatory, szafy sterujące i przewody zasilające) znajdującej się obok autostrady, ta natomiast pobiera go z sieci elektroenergetycznej. Projekt ten różni się od dotychczas testowanych m.in. w Szwecji czy Niemczech tym, że po raz pierwszy zrealizowano go na publicznej trasie, po której z dużą intensywnością jeżdżą inne auta. System jednak nie reaguje na nie i uaktywnia się wtedy, gdy wykryje kompatybilny pojazd. Ogranicza to zużycie energii. Co więcej, aby technologia zadziałała, nie trzeba nawet zwalniać. Testy wykazały, że poruszając się ze standardową prędkością autostradową po takim odcinku, ciężarówka może odzyskiwać więcej energii, niż zużywa. W praktyce oznacza to, że z każdym przejechanym kilometrem jej zasięg może zwiększać się o kolejny kilometr. W przypadku aut osobowych rezultat jest jeszcze lepszy. Z każdym przejechanym kilometrem do zasięgu dodawane są nawet 2 lub 3 km. Niestety są też pewne ograniczenia. Otóż aby skorzystać z tego typu ładowania, auto musi być wyposażone przede wszystkim w odbiornik indukcyjny zamontowany od spodu, a także posiadać zintegrowany z drogą system komunikacji. W związku z tym obecnie na omawianym odcinku testowane są głównie cztery pojazdy – auto osobowe, samochód dostawczy, bus i ciężarówka. Ponadto budowa takiej jezdni jest nadal bardzo droga w porównaniu z tradycyjnymi drogami. **GP**

Jeśli technologia sprosta oczekiwaniom, to Francuzi chcą ją zainstalować nawet na 9 tys. km swoich elektrycznych autostrad.



Konrad
Wysocki
albicla.com/KonradWysocki

DEEPFAKE, czyli nie wierz własnym oczom

BROŃ XXI WIEKU

Według szacunkowych danych ośrodków zajmujących się tematyką deepfake'ów (m.in. Europolu) tylko w ubiegłym roku w sieci udostępniono około 8 mln materiałów wyczerpujących znamiona manipulacji audio-wideo. Dla porównania, jeszcze trzy lata temu było ich około pół miliona – szesnastokrotnie mniej. Oznacza to, że średnio co cztery sekundy do sieci trafia spreparowane nagranie. To mniej więcej tyle, ile złapanie oddechu. Kilka lat temu stworzenie zmanipulowanego nagrania wideo wymagało odpowiedniego sprzętu i drogich programów komputerowych. Dziś służą do tego bezpłatne aplikacje, a komputer zastąpiły smartfon lub tablet. Główną areną publikowania deepfake'ów są media społecznościowe. Zapewne wielu z nas trafiło na wideo, na którym znany lekarz wychwalał „supernowoczesny" produkt, który wyleczy nas ze wszystkiego. Widzieliśmy polityka, zazwyczaj z najwyższej półki, przekonującego do inwestycji w zupełnie niespotykany wcześniej model biznesowy. Celebrytę „ujawniającego" tajemnicę sukcesu, jak pracując godzinę albo mniej dziennie, można stać się milionerem. I wiele, wiele innych. Tymczasem wszystko to mniej lub bardziej skutecznie przygotowana manipulacja. Nie brakuje ich też na polu militarnym. Ich cel jest jednak znacznie inny. Nie chodzi o wyłudzenie danych, kradzież środków czy zainfekowanie urządzenia, które otworzy „link do szczęścia". Deepfake staje się potężnym elementem operacji psychologicznych i wpływu oraz dezinformacji, które w istotny sposób mogą wpłynąć na decyzje dowódcze, morale i zachowanie żołnierzy czy przebieg działań zbrojnych.

Kłamstwo w eterze

Tocząca się za naszą wschodnią granicą wojna na Ukrainie od początku stała się poligonem doświadczalnym dla nowoczesnych technologii, w tym wykorzystania sztucznej inteligencji (AI) przy budowie zmanipulowanych nagrań. I to zarówno po stronie ukraińskiej, jak i ro-



Wykorzystanie nowoczesnych narzędzi i technologii na dobre pogrzebało znaną od wieków zasadę „wierzę tylko w to, co widzę". Deepfake, czyli manipulowanie obrazem i dźwiękiem przy użyciu sztucznej inteligencji (AI), z beztroskiej zabawy bardzo szybko przerodziło się w potężną broń, zdolną do wywołania wojny informacyjnej, uderzającą w społeczeństwo, władzę czy armię.

FOT. ADOBESTOCK

syjskiego agresora. W deepfake'owej historii zapisało się m.in. rzekome nagranie prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, który już po kilku tygodniach inwazji, w marcu 2022 roku, w specjalnym orędziu miał wezwać obywateli do złożenia broni i powrotu do domów. Tam agentura nie przyłożyła się jednak zbyt mocno do roboty i spostrzegawcze oko szybko dostrzegło, że nagranie jest fałszywe. Jednak z każdym miesiącem i ten element ulegał systematycznej poprawie. W listopadzie 2023 roku do zamachu stanu, pójścia wojsk na Kijów i obalenia prezydenta „wzywał" ówczesny naczelny dowódca ukraińskiej armii, gen. Walerij Załużny. W sieci zaroiło się też od filmów, na których rzekomi ukraińscy żołnierze skarżą się na warunki na froncie, złe traktowanie przez dowódców, wszechobecną korupcję i spadające morale w jednostkach. Tego typu publikacje często pojawiały się m.in. na TikToku oraz w serwisie Telegram. Oczywiście działało to także po drugiej stronie. We wspomnianym już 2023 roku mieszkańcy rosyjskich obwodów przygranicznych z Ukrainą (m.in. biełgorodzkiego) usłyszeli odezwę Władimira Putina, w której ogłasza stan wojenny i powszechną mobilizację, wzywając przy tym resztę mieszkańców do ewakuacji w głąb kraju. Wysocy rangą dowódcy (m.in. gen. Michaił Tepliński) krytykowali na nagraniach polityczne decyzje Kremla odnośnie do trwającej inwazji. Nie brakowało, także w ostatnich tygodniach, również tzw. cyfrowych awatarów, czyli nagrań z wykorzystaniem AI, na których żołnierze FR zachwalali warunki zapewnione im przez armię, wysokie zarobki i dostęp do strategicznego sprzętu. Ponownie wykorzystano też m.in. wizerunek Putina, który po niedawnych ukraińskich atakach na rosyjskie rafinerie mówił o kapitulacji i braku skutecznej odpowiedzi na działania Ukraińców.

Wabiki na mapie

Cyfrowy kamuflaż to także spreparowane mapy i zdjęcia satelitarne. W tym przypadku chodzi o tzw. deepfake geography. Cała procedura polega na tym, by zmanipulować zdjęcia strategicznych obiektów i punktów. Rosja zrobiła tak ze swoimi bazami zaatakowanymi przez Ukrainę. Na zdjęciach były one w nienaruszonym stanie, podczas gdy w rzeczywistości płonęły zniszczone po uderzeniach dronów. Innym elementem jest tzw. tworzenie przynęt na mapach, czyli fałszywych celów. Po to, by przeciwnik zmarnował amunicję na wabik, który przypomina strategiczne uzbrojenie, na przykład wyrzutnię rakiet.

Jak widać, wykorzystanie technologii deepfake na polu walki jest bardzo szerokie, a co za tym idzie – niesie ze sobą całe spektrum zagrożeń. Podkopywanie morale i zachwianie wiarą w szeregach przeciwnika to tylko jeden z wielu celów. Podobnie jak wywołanie nagłego chaosu. Uznanie tego typu wiadomości czy nagrania za prawdziwe może pociągnąć za sobą lawinę mniejszych i większych decyzji, które mogą w bardzo poważny sposób wpłynąć na sytuację na froncie, m.in. poprzez ostrzał własnych jednostek czy wycofanie się z danego punktu, który za chwilę wpadnie w ręce wroga. Przed technologią się nie ucieknie, jednak warto, by żołnierze przechodzili szkolenia z technik manipulacji i tzw. higieny informacyjnej. Równocześnie należy rozwijać kolejne zabezpieczenia, zwłaszcza w dostępie do strategicznych informacji, rozkazów czy planu działania. Bo jak pokazują obecne czasy, nawet mickiewiczowska zasada „szkiełka i oka" może nas zawieść. **GP**

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

Międzynarodowy turniej im. prof. Lecha Kaczyńskiego

Klub „GP" w Nowym Sączu im. Jana Olszewskiego zorganizował VI Międzynarodowy Turniej Piłki Siatkowej Dziewcząt im. prof. Lecha Kaczyńskiego, Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Zawody zostały objęte patronatem honorowym Kancelarii Prezydenta RP Karola Nawrockiego oraz prezydenta Nowego Sącza Ludomira Handzla.



W turnieju siatkarek uczestniczyło 17 drużyn i 250 zawodniczek.

Turniej otworzyli wiceprezydent Nowego Sącza Artur Bochenek, dyrektor Wydziału Kultury i Sportu Tomasz Baliczek, prezes STS Sandecja Sławomir Wojta oraz radny miasta Jakub Prokopowicz. Podczas zawodów odbył się także quiz wiedzy o Lechu Kaczyńskim, propagujący postawy patriotyczne, wiedzę historyczną i przybliżający postać śp. prezydenta RP. Współorganizatorami turnieju były Sądeckie Towarzystwo Sportowe Sandecja oraz Stowarzyszenie Klub Integracyjny. W turnieju uczestniczyło 17 drużyn i 250 zawodniczek rywalizujących w dwóch kategoriach wiekowych, na dwóch halach i sześciu boiskach równocześnie, a poprowadził go przewodniczący Klubu „GP" w Nowym Sączu Tomasz Baliczek. W rozgrywkach juniorek I miejsce zajął Uczniowski Klub Sportowy Jedynka Tarnów, MVP turnieju została Zuzanna Maziarz, a najlepszą zawodniczką Inga Jarząb. W rozgrywkach młodziczek I miejsce zajęła UKS Jedynka Tarnów, MVP turnieju została Kinga Pałka, a najlepszą zawodniczką Natalia Lorek. II miejsce zajęła SMS Sparta Kraków, najlepszą zawodniczką drużyny została Michalina Pogoda. III miejsce przypadło MKS MOS Wieliczka, a najlepszą zawodniczką była Wiktoria Gibała. Wszystkie zawodniczki otrzymały medale i nagrody, a drużyny – puchary i dyplomy.

GLIWICE | W Gliwicach odbyło się spotkanie z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej" i „Gazety Polskiej Codziennie" oraz prezesem TV Republika. Wydarzenie zgromadziło około 500 osób i odbyło się w wypełnionej po brzegi auli Centrum Edukacyjnego im. Jana Pawła II. Gospodarzami byli Klub „Gazety Polskiej" w Gliwicach oraz Młodzieżowy Klub „Gazety Polskiej" w Gliwicach. Na widowni obecni byli m.in. przedstawiciele klubów „GP" z Częstochowy, Raciborza, Bielska-Białej, Kędzierzyna-Koźla, Żarek, Jeleśni, Bytomia, Opola i Tarnowskich Gór. Spotkanie z Tomaszem Sakiewiczem i Ewą Wójcik poprowadziła Sabina Treffler, a miłym akcentem był koncert Pawła Piekarczyka. Nad całością spotkania czuwała koordynator klubów „GP" województwa śląskiego Marta Święcicka.

WADOWICE | Na zaproszenie posła Filipa Kaczyńskiego oraz lokalnego klubu „Gazety Polskiej" do Wadowic przyjechała była premier Beata Szydło. Otwarte spotkanie odbyło się w Auli Dużej Domu Rekolekcyjnego Ojców Karmelitów w ramach cyklu „Czas Polski. Program Polaków". Beata Szydło mówiła m.in. o znaczeniu sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi w ramach NATO oraz o sytuacji w Unii Europejskiej. Podczas spotkania poruszano także problemy, z którymi mierzą się Polacy, w tym ceny paliw, stanu sądownictwa oraz sytuacji w służbie zdrowia. Poseł Filip Kaczyński zwrócił uwagę na problemy szpitali powiatowych, w tym wadowickiego szpitala, który dołączył do protestu „Czarny Tydzień".

BANINO | W Żukowie odbyło się spotkanie z poseł Dorotą Arciszewską-Mielewczyk, europosłem Arkadiuszem Mularczykiem oraz posłem Kazimierzem Smolińskim. Współorganizatorem wydarzenia był Klub „Gazety Polskiej" w Baninie. Rozmowa koncentrowała się na sprawie reparacji wojennych należnych Polsce od Niemiec. Europoseł Arkadiusz Mularczyk, szef zespołu, który opracował raport o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w latach 1939–1945, podkreślał, że Polska nigdy nie zrzekła się prawa do reparacji i będzie konsekwentnie walczyć o należne odszkodowania. Poseł Kazimierz Smoliński mówił także o pracach parlamentarnych dotyczących reparacji od Niemiec oraz odszkodowań należnych od Rosji. Spotkanie prowadziła Dorota Arciszewska-Mielewczyk, która przedstawiła własne doświadczenia związane z kontaktami z niemieckimi insty-

FOT. ARCH.



tucjami. Po wystąpieniach goście odpowiadali na pytania uczestników, a spotkanie zakończyła tradycyjna sesja zdjęciowa.

ŁOMŻA | Klub „Gazety Polskiej” w Łomży gościł mec. Krzysztofa Wąsowskiego – doktora nauk prawnych, prawnika oraz pełnomocnika i obrońcę ks. Michała Olszewskiego. Główna część wydarzenia została poświęcona analizie głośnych procesów o podłożu politycznym oraz zagadnieniom prawnym. Mecenas Wąsowski mówił również o fundamentach cywilizacyjnych, roli Kościoła, znaczeniu wiary oraz ochronie tradycyjnych wartości w życiu publicznym. Mimo powagi tematów prowadził prelekcję w sposób angażujący, często posługując się anegdotą i humorem. Ważną częścią spotkania była dyskusja z publicznością. Klubowicze „GP” pytali m.in. o stan praworządności w Polsce i możliwości pociągnięcia do odpowiedzialności osób naruszających prawo.

CZĘSTOCHOWA | Klub „Gazety Polskiej” Częstochowa był aktywny w wielu wydarzeniach o charakterze patriotycznym i społecznym. Klubowicze wzięli udział w programie Miłosza Kłeczka „Wysokie napięcie”, emitowanym w Telewizji Republika. Przedstawiciele klubu uczestniczyli również w XIX Katyńskim Marszu Cieni, który przeszedł ulicami Warszawy. Przy tej okazji odwiedzili także Muzeum Katyńskie. Klub „Gazety Polskiej” Częstochowa oraz Młodzieżowy Klub „Gazety Polskiej” Częstochowa zorganizowały spotkanie z Adamem Borowskim, człowiekiem Solidarności, działaczem niepodległościowym i więźniem politycznym PRL. Sala była wypełniona po brzegi. Kolejnym wydarzeniem było spotkanie z Mariuszem Goskiem i Jackiem Wroną. Rozmowy dotyczyły sytuacji w Polsce oraz najważniejszych wyzwań stojących przed państwem.

GAZETA POLSKA

PIOTRKÓW TRYBUNALSKI | Klub „Gazety Polskiej” w Piotrkowie Trybunalskim zorganizował kilka ważnych spotkań o charakterze historycznym i społecznym. Jednym z nich był wykład Pawła Wąsa z Instytutu Pamięci Narodowej Oddziału w Łodzi. Tematem były procesy członków podziemia niepodległościowego przed sądami doraźnymi KBW w województwie łódzkim w okresie od marca do czerwca 1946 roku. Wykład wywołał duże emocje wśród uczestników i został odebrany jako ważna oraz potrzebna lekcja historii.

Dużym zainteresowaniem cieszyło się również spotkanie z prof. Przemysławem Czarnkiem, współorganizowane przez Klub „Gazety Polskiej” w Piotrkowie Trybunalskim. Podczas wystąpienia prof. Czarnek poruszał przede wszystkim kwestie ochrony zdrowia, gospodarki i finansów publicznych. Mówił także o demografii, podkreślając, że niska dzietność jest poważnym problemem, i apelując do młodych ludzi o zakładanie rodzin. Głos zabrał również prof. Sławomir Cenckiewicz i publicznie poparł prof. Czarnka. Po wystąpieniach odbyła się sesja pytań od mieszkańców, które dotyczyły m.in. polityki mieszkaniowej, rolnictwa i ochrony zdrowia. W spotkaniu licznie uczestniczyli klubowicze „Gazety Polskiej” z regionu.

NOWE KLUBY „GP”, ZMIANY I REAKTYWACJE

KLUCZBORK (woj. opolskie) – reaktywacja klubu „GP”. Przewodniczącą została Ewa Lach, tel.: 796 341 020, e-mail: klubgpkluczbork@gmail.com. **GP**

ZAPROSZENIA klubowe

ŁOMŻA – spotkanie z posłem Dariuszem Piontkowskim. 21 maja, godz. 17, Aula kard. Stefana Wyszyńskiego, Uczelnia Jańskiego, ul. Krzywe Koło 9, Łomża.

OSTRÓDA – V Piknik Patriotyczny. 23 maja, godz. 11, Przystanek Piławki.

DZIERŻNIÓW II – „Dzień z rotmistrzem Witoldem Pileckim” z udziałem Tadeusza Płużańskiego. 24 maja, godz. 18, ul. Świdnicka 30, budynek muzeum.

CHEŁM – spotkanie z konstytucjonalistą dr. Oskarem Kidą. 25 maja, godz. 17, Chełmska Biblioteka Publiczna, ul. Partyzantów 40, Chełm.

OSTROWIEC ŚWIĘTOKRZYSKI – Klub „Gazety Polskiej” Ostrowiec Świętokrzyski i poseł Andrzej Kryj zapraszają na spotkanie z Mateuszem Morawieckim. 25 maja, godz. 17, Aula nr II ANS, ul. Akademicka 12, Ostrowiec Świętokrzyski.

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP”

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP”

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP”

Biuro Klubów „GP”: ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

DLA NIEMCÓW NIE BYLI LUDŹMI, TYLKO KUPĄ GNOJU



BESTIE Z AUSCHWITZ

20 maja 1940 roku 30 więźniów funkcyjnych zostało przywiezionych przez esesmana Gerharda Palitzscha z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen do KL Auschwitz. Była to grupa kryminalistów, starych więźniów doskonale znających realia obozowe w III Rzeszy.

Sebastian **Reńca**

Ta trzydziestka – jak pisała Danuta Czech w „Kalendarzu wydarzeń w KL Auschwitz" – była „przedłużeniem" „władz obozowych SS". Kryminaliści „sprawowali bezpośredni nadzór nad więźniami w obozie i w drużynach (komandach) roboczych". Utożsamiali oni „swą postawę z postawą esesmanów, która prowadziła do wyzbycia się wszelkich skrupułów moralnych wobec podległych więźniów".

Ponure dryblasy

728 mężczyzn stało na dziedzińcu. Słuchali przemówienia esesmana Karla Fritzscha, kierownika Konzentrationslager Auschwitz, założonego w niewielkim małopolskim miasteczku Oświęcim. „Przybyliście tutaj nie do sanatorium, tylko do niemieckiego obozu koncentracyjnego, z którego nie ma innego wyjścia, jak przez komin. Jeśli się to komuś nie podoba, to może iść zaraz na druty. Jeśli są w transporcie Żydzi, to mają prawo żyć nie dłużej niż dwa tygodnie, księża miesiąc, reszta trzy miesiące".



W PIEKLE

14 czerwca 1940 roku trafił do Oświęcimia z więzienia w Tarnowie pierwszy transport polskich więźniów politycznych. Gdy wyskakiwali z wagonu ponaglani kolbami karabinów, biciem i wrzaskami, „przywitali" ich esesmani stojący w szpalerze.

FOT. ARCH.

Ci, którzy słuchali Fritzscha, byli z pierwszego transportu polskich więźniów politycznych. 14 czerwca 1940 roku przywieziono ich do Oświęcimia z więzienia w Tarnowie. Gdy wyskakiwali z wagonu ponaglani kolbami karabinów, przywitali ich esesmani stojący w szpalerze. „Wśród niesamowitego wrzasku esesmanów, popychani i bici, wtłaczamy się w otwartą bramę jak stado ogłupiałych baranów" – wspominał po latach Wiesław Kielar w swej książce „Anus mundi".

Na placu było jeszcze gorzej, tam oprócz esesmanów byli również więźniowie, ale nie tacy jak ci z Tarnowa. Kielar określił ich jako „ponurych dryblasów, dziwnie ubranych w coś przypominającego do złudzenia pasiaste piżamy". Każdy z kapo okładał kijem polskich więźniów, którzy stali się numerami od 31 do 751. Kapo, czyli więźniowie funkcyjni, mieli numery od 1 do 30. Więzień Kazimierz Albin zapamiętał, że mieli opalone twarze, „sadystycznie zacięte usta, a złośliwe ogniki w oczach nie wróżyły nic dobrego".

Trzydziestu kryminalistów zostało wybranych przez Palitzscha oraz Rudolfa Hössa, który 4 maja tego samego roku otrzymał nominację na komendanta KL Auschwitz. Kryteria, którymi kierowali się ci dwaj Niemcy, „nie są do końca jasne" – pisze Andrzej Domagała w swej książce „Należał do przeciętnie złych…" i dodaje: „O ile jednak w przypadku Brodniewicza jego brutalność mogła mieć znaczenie, o tyle nie można z całą pewnością stwierdzić, że charaktery pozostałych wytypowanych więźniów były przy ich wyborze czynnikiem decydującym". Mogły o tym również decydować kwalifikacje zawodowe, ponieważ Konzentrationslager w Oświęcimiu powstawał w już istniejących koszarach Wojska Polskiego, w których należało stworzyć infrastrukturę obozową.

Swój udział w doborze więźniów funkcyjnych miał numer 1, czyli Brodniewicz. Domagała w swojej pracy cytuje niemieckiego więźnia politycznego w Sachsenhausen Henry'ego Naujoksa, który zapamiętał, że Brodniewicz wiódł prym wśród brutalnych blokowych. Höss wraz z Brodniewiczem „wyszukują spośród więźniów ludzi zdolnych do najbardziej niegodziwych czynów, którzy do tej pory nie odnaleźli się w Sachsenhausen. W nowym obozie, który ma powstać w Polsce, nie musieliby pracować, lecz pełnić funkcję blokowych i kapo".

Pierwszy i ostatni

Bruno Brodniewicz nazywany był przez niektórych więźniów „Schwarzer Teufel" („Czarny diabeł") lub „Schwarzer Tod" („Czarna śmierć"). Rotmistrz Witold Pilecki, który sam dał się złapać szwabom, by w ten sposób trafić do „anus mundi" (tak właśnie oświęcimski obóz nazwał lekarz SS Heinz Thilo), w jednym ze swych raportów charakteryzował Brodniewicza: „Największą władzą w lagrze był starszy obozu (Lagerältester). Z początku byli tacy dwaj: Bruno i Leo – więźniowie. Dwóch drani, przed którymi trzęśli się wszyscy ze strachu. Mordujący na oczach wszystkich, jednym czasem uderzeniem kija lub pięści. Prawdziwe nazwisko pierwszego – Bronisław Brodniewicz, drugiego – Leon Wieczorek, dwóch eks-Polaków na służbie niemieckiej… Ubrani inaczej niż wszyscy, w długich butach, granatowych spodniach, kurtkach i takichże beretach. (Czarna opaska na lewym ramieniu z białym napisem). Stanowili ciemną parę, często chodząc razem".

Bruno miał numer 1, Leo dostał numer 30. Ten pierwszy był starszym obozu, ten drugi jego zastępcą. Brodniewicz urodził się w 1895 roku w Poznaniu, Witschorek w odległej o 100 kilometrów od stolicy Wielkopolski Skwierzynie, która wówczas nazywała się Schwerin an der Warthe. Jeden i drugi byli złodziejami skazanymi w latach 30. na obóz koncentracyjny. Spotkali się w Sachsenhausen. Doskonale zapamiętali ich więźniowie z pierwszego tarnowskiego transportu.

Eugeniusz Niedojadło, nr 213 w KL Auschwitz, o Brodniewiczu: „Wyjątkowy sadysta i okrutnik, szczególnie w pierwszym okresie pobytu w obozie. Organizator osławionego sportu na kwarantannie w czerwcu 1940 roku. Wykonawca kar chłosty, bezlitosny wykonawca tej i innych kar. Za jego inicjatywą blokowy Krankemann znęcał się nad Żydami i kapłanami katolickimi przy walcu drogowym, który ciągnęli więźniowie, ubijając drogi. Wykonywał we własnym zakresie inne szykany. Za niezdjęcie czapki przed nim bił do nieprzytomności, a po tym jako dodatkową karę stosował godzinny przysiad z taboretem nad głową. Szczycił się niezwykle silnym uderzeniem otwartą dłonią w okolice ucha. Po takim uderzeniu więzień musiał upaść".

Kazimierz Tokarz, nr 282 w KL Auschwitz, o Witschorku: „Bardzo często rewidował

więźniów, poszukując medalików lub krzyżyków. Gdy znalazł te przedmioty kultu religijnego, wpadał we wściekłą furię. Więźniowi zrywał z szyi łańcuszek lub sznureczek, deptał nogami medaliki i krzyżyki, a więźnia prał niemiłosiernie, czym popadło. Gdy minęła pierwsza furia złości, stawał się »uprzejmy«, szczególnie wobec więźniów, którzy nosili okulary. Sam osobiście zdejmował więźniowi okulary, a potem prał go tak, że nieraz po takiej masakrze twarz pozostawała opuchnięta".

Dwie historie

Witschorek w 1942 roku został starszym obozu w Auschwitz II-Birkenau. Znienawidzony przez więźniów, został tam przez nich zarażony tyfusem plamistym. Zmarł 3 lipca 1942 roku.

Brodniewicz miał więcej szczęścia, choć i jego nieraz chciano się pozbyć. Pod koniec 1942 roku z Auschwitz uciekli trzej Polacy, a wraz z nimi Niemiec – więzień funkcyjny numer 2, kapo oddziału zatrudnienia, Otto Küsel. Rotmistrz Pilecki nazwał go „wrogiem" Brodniewicza. Otto „zostawił rozmyślnie w płaszczu, na wozie porzuconym razem z końmi, w odległości kilkunastu kilometrów od obozu" list, w którym pisał, że „szkoda bardzo, że nie mogą Bruna zabrać ze sobą tak, jak się umówili, bo nie mają czasu i muszą spieszyć, a to wspólne złoto, co ma Bruno, trudno – niech już zostawi sobie!".

W zajmowanej przez Brodniewicza sztubie znaleziono ukryte w piecu złoto, został zdegradowany i wylądował w areszcie w bloku 11. Rotmistrz pisał, że po zamknięciu Brodniewicza „obóz szalał z radości (…), zajadając żywność z paczek od rodzin i opowiadając sobie ostatni kawał o Brunie…".

14 czerwca 1943 roku Brodniewicza przeniesiono do nowego podobozu w Jaworznie. W tamtejszym obozie Neu-Dachs więźniowie ponownie posłużyli się podstępem, by pozbyć się „Czarnego diabła". Podrzucili Brodniewiczowi m.in. cywilne ubranie, pieniądze i żywność, a następnie donieśli Niemcom o rzekomo planowanej przez Brodniewicza ucieczce. Dalsze jego losy dokładnie opisał Andrzej Domagała. Brodniewicz przez kolejne obozy trafił w kwietniu do KL Bergen-Belsen, tam doczekał wyzwolenia przez Brytyjczyków.



Bruno Brodniewicz, numer 1 w Auschwitz, nazywany był przez niektórych więźniów „Schwarzer Teufel" („Czarny diabeł") lub „Schwarzer Tod" („Czarna śmierć").

Przez wiele lat uważano, że Brodniewicz został wówczas zlinczowany przez więźniów. Prawda jest inna, ustalił ją właśnie Domagała. Po wojnie numer 1 z Auschwitz zamieszkał w Bremie. Zmarł w szpitalu 30 października 1962 roku. Miał 67 lat.

Mąż, ojciec, esesman

Esesman, który „przywitał" więźniów przywiezionych do obozu w pierwszym transporcie, mówił również tak do kacetników: „Dla nas wszyscy razem nie jesteście ludźmi, tylko kupą gnoju". Fritzsch na każdym kroku udowadniał, że ma ogromną władzę, na przykład wbrew regułom panującym w obozie, zgodził się na propozycję ojca Maksymiliana Kolbego pójścia na śmierć głodową w zamian za innego więźnia, Franciszka Gajowniczka.

Fritzsch, tak jak komendant Höss, mieszkał z rodziną, żoną i dwójką dzieci, chłopczykiem i dziewczynką, w willi położonej niedaleko fabryki śmierci. W ich domu pracowała wówczas nastoletnia Emilia Żelazny, która wspominając esesmana, stwierdziła, że się go bała. Charakteryzując Niemca, opisała jako szczupłego i niskiego mężczyznę, który „miał nieprzyjemny wyraz twarzy".

Jego przełożony Höss miał o nim jak najgorsze zdanie, w swej autobiografii pisał m.in. o Fritzschu: „(…) był ograniczony, ale bardzo uparty i skory do kłótni. We wszystkim musiał mieć rację. Szczególnie lubił grać rolę zwierzchnika", „Jego ograniczoność, ciasnota umysłu i upór nie pozwalały mi spodziewać się po nim nic dobrego".

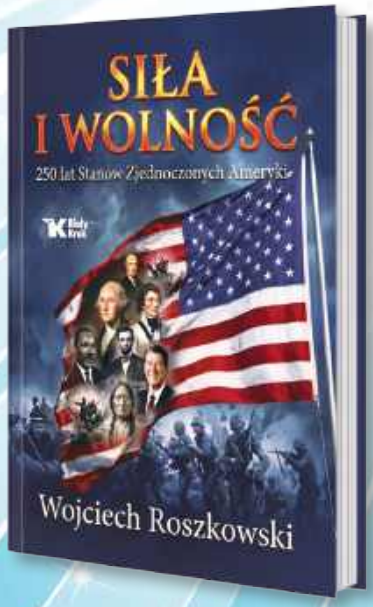
Fritzsch „pracował" w Auschwitz do lutego 1942 roku, kiedy został odkomenderowany na takie samo stanowisko do KL Flossenbürg. W kolejnym roku został przeniesiony na front, najprawdopodobniej zginął w maju 1945 roku.

Kilka lat temu Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu opublikowało wyniki badań archiwalnych poświęconych więźniom z pierwszego transportu do Auschwitz. Ustalono, że z 728 więźniów deportowanych z Tarnowa wojnę przeżyło 325. Wbrew temu, co powiedział im Fritzsch, nie wyszli z obozu przez komin, nie poszli na druty, przeżyli dłużej niż trzy miesiące. **GP**

FOT. FB

Książki, które pomagają zrozumieć świat i człowieka

Nowości na maj!



SIŁA I WOLNOŚĆ. 250 LAT STANÓW ZJEDNOCZONYCH AMERYKI

Wojciech Roszkowski

To fascynująca opowieść o narodzie, który przez stulecia kształtował losy świata i stał się symbolem wolności, odwagi oraz potęgi cywilizacyjnej.
Profesor Wojciech Roszkowski prowadzi czytelnika przez kluczowe wydarzenia historii USA, pokazując nie tylko wielką politykę i wojny, ale także fundamenty zachodniej kultury i demokracji. To książka dla tych, którzy chcą zrozumieć współczesny świat i rolę Ameryki w historii Europy oraz Polski. Monumentalne dzieło, które inspiruje, skłania do refleksji i zostaje w pamięci na długo.

Format: 165x235 mm | **Liczba stron:** 624 | **Oprawa:** twarda



POKONAĆ ŚMIERĆ. KS. DOLINDO RUOTOLO O ŻYCIU WIECZNYM

ks. Robert Skrzypczak

Poruszająca i pełna nadziei książka, która pomaga spojrzeć na życie oraz przemijanie z zupełnie innej perspektywy. Inspirowana duchowością Dolindo Ruotolo publikacja przynosi ukojenie, spokój i odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące sensu istnienia oraz życia wiecznego.

Format: 130x200 mm | **Liczba stron:** 208 | **Oprawa:** miękka



PIOTR I, AUGUST II i RZECZPOSPOLITA 1697–1706

Jacek Burdowicz-Nowicki

Pasjonująca podróż do czasów wielkiej polityki, dynastycznych ambicji i narodzin rosyjskich wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. Jacek Burdowicz-Nowicki odkrywa kulisy relacji między carem Piotrem I a Augustem II Mocnym, pokazując mechanizmy, które na lata zmieniły losy Rzeczypospolitej. To nie tylko historyczna analiza, ale także niezwykle aktualna opowieść o geopolityce, sile państwa i walce o wpływy. Obowiązkowa lektura dla miłośników historii, którzy chcą lepiej zrozumieć źródła współczesnych napięć i politycznych zależności.

Format: 242x174 mm | **Liczba stron:** 766 | **Oprawa:** twarda

Zamów w naszym sklepie pod adresem **sklep.gazetapolska.pl | tel. 22 232 37 70**

Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp z o.o.
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Konto **61 1240 6003 1111 0010 7516 5807**
sklep@gazetapolska.pl
SKLEP GAZETY POLSKIEJ

Piedimonte San Germano, czyli drugie Monte Cassino



Tomasz **Łysiak**
SZEF DZIAŁU HISTORIA
albicla.com/TomaszLysiak

FOT. ARCH.

ZDOBYĆ ŚREDNIOWIECZNĄ TWIERDZĘ



BÓJ

Walka o Piedimonte trwać miała sześć dni, pochłonąć wiele ofiar, a czołgi 6. pułku miały być wystawione na ostrzał ze specjalnie skonstruowanych czołgowych wież pancernych, wmurowanych w beton, z bunkrów i umocnionych piwnic.

Zwycięstwo i zawieszenie flagi na klasztorze 18 maja 1944 roku nie kończyło zmagań z Niemcami. Po przełamaniu Linii Gustawa trzeba było walczyć dalej – przedzierając się zarówno w stronę najwyższej w okolicy góry (Monte Cairo), jak i ku kolejnej niemieckiej linii umocnień. Dolinę Liri zagradzała bowiem druga zapora – Linia Hitlera. Notabene zwana przez Niemców od pewnego momentu Linią Sengera, żeby przy ewentualnej przegranej imię Führera nie było wplecione w klimat porażki. Polacy mieli teraz za zadanie zdobyć miasteczko, które dla tej linii pełniło tę samą funkcję co wcześniej Monte Cassino dla Linii Gustawa: Piedimonte San Germano.

Wyobrazić to sobie trzeba tak: oto z wysokości góry Monte Cairo „spada" w dół słynna Linia Gustawa (sieć umocnień niemieckich, bunkrów, stanowisk ogniowych). W dół, czyli w stronę wzgórz: Sant'Angelo, 575, 593, 569 i Monte Cassino, a potem biegnie doliną rzeki Liri aż do Morza Tyrreńskiego. Zaraz za masywem Monte Cassino i miejscami walk Polaków w dniach 11–18 maja, znajduje się mała miejscowość Villa Santa Lucia – to obok niej znajdował się „zawias", czyli miejsce rozwidlenia Linii Gustawa w drugą odnogę: Linię Hitlera. Średniowieczna twierdza, miasteczko Piedimonte San Germano, była swego rodzaju „drugim Monte Cassino", zaś 2. Korpus Polski miał za zadanie opanować je w drugim rzucie. Co więcej: taka była treść zasadniczego rozkazu dla naszych żołnierzy, wydanego przed bitwą o Monte Cassino przez alianckie dowództwo. Jednak czy było to równie trudne zadanie?

Po pierwsze, trzeba zdać sobie sprawę z tego, że polski korpus wykrwawił się mocno w czasie walk o wzgórze klasztorne i wzniesienia obok niego: obie dywizje piechoty (5. Kresowa Dywizja Piechoty oraz 3. Dywizja Strzelców Karpackich) miały stany osobowe tak obniżone (tylu było rannych, zabitych czy chwilowo niezdolnych do walki), że należało je praktycznie wycofać i uzupełnić niedobory. Na szczęście pomysły aliantów, by z dwóch dywizji zrobić jedną, zostały skutecznie odrzucone przez gen. Andersa.

Po drugie, nie było dobrego rozpoznania i świadomości tego, jakie siły niemieckie de facto będą bronić Piedimonte San Germano. Początkowo postanowiono zdobyć ważną pozycję wyjściową – czyli miasteczko Villa Santa Lucia. Dokonała tego tzw. Grupa Lachowiczan (ppłk. Jana Lachowicza). Do samego Piedimonte tymczasem mjr Franciszek Osmakiewicz (dowódca 18. batalionu) wysłał patrol złożony z 15 ludzi. Wydawało się bowiem, że miasteczko może być słabo bronione lub nawet prawie puste, łatwe do szybkiego zajęcia. Zanim więc doszło do głównego natarcia przeprowadzonego przez Grupę „Bob" (której trzon stanowił 6. Pułk Pancerny im. „Dzieci Lwowskich", wzmocniony pułkami artyleryjskimi i oddziałami piechoty z 18. batalionu Dywizji Kresowej oraz 5. batalionu Dywizji Karpackiej), wysłano naprzód ową niewielką, kowbojską grupkę, mały zwiad. Okazało się, że w Belforcie (tak w kodzie wojskowym oznaczono Piedimonte) wcale nie było tak pusto i łatwo, jak myślano. Całą wyprawę mjr. Osmakiewicza opisał Melchior Wańkowicz w swojej słynnej „Bitwie o Monte Cassino", w przypisie do rozdziału o Piedimonte.

Dzień był gorący i bez chmur

19 maja propagandowe niemieckie Radio Wanda puszczało komunikaty o „unicestwieniu 2. Korpusu Polskiego". Natomiast radio polskiej 5. Brygady nadało o 17.30 rozkaz do wysuniętych jednostek: „Wyprzedzić Anglików w zajęciu Piedimonte i zatknąć polską flagę". Major Osmakiewicz wysłał więc patrol pod dowództwem ppor. Tadeusza Zajdzińskiego. Zajdziński po wojnie wysłał do Wańkowicza relację z wydarzeń, ale i sam napisał wspomnienia

z tamtych dni. Wejście jego niewielkiego oddziału żołnierzy do miasteczka miało w jakiejś mierze westernowy klimat. Poszło kilkunastu ludzi uzbrojonych w pistolety maszynowe, wśród nich był też jeden strzelec wyborowy. Podporucznik chciał wziąć radiooperatora, ale ten zaczął prosić o czas na dostrojenie fal. Zniecierpliwiony Osmakiewicz kazał natychmiast ruszać. Zajdziński spytał: „Jak będę składał meldunki?". Major odpowiedział, że i tak po godzinie batalion ruszy za nimi. Poszli więc bez radia. Podzielili się na dwie grupki – pierwsza, ośmioosobowa, z dowódcą patrolu szła główną dróżką, druga, złożona z siedmiu żołnierzy, dowodzona przez plut. podchorążego Ludkowskiego, równoległą ścieżką, położoną 300 metrów obok.

Posuwali się skokami, utrzymując cały czas łączność wzrokową. Było około godziny 16. „Słońce było wysoko i świeciło jasno, dzień był gorący i bez chmur – wspomniał Zajdziński. – Ruszyliśmy ostro. Najpierw ja ze swoimi chłopcami do zasłony, a potem oni i tak krótkimi, szybkimi skokami na przemian doszliśmy do Piedimonte z dwóch stron". Początkowo zalegli na pozycjach, obserwowali i nasłuchiwali. Potem Zajdziński wziął trzech ludzi i skoczył na skraj miasteczka. Ustawili stanowisko rkm-u i z kolejną grupką weszli głębiej w uliczki. Udało im się przeniknąć przez – wydawało się – puste miasteczko praktycznie aż na drugą stronę, skąd ze skarpy rozciągał się zapierający dech w piersiach widok na dolinę. Przeszukiwali ruiny. W pewnym momencie podchorąży Ludkowski zobaczył gdzieś sylwetkę przebiegającego Niemca, ale ponieważ nic poważniejszego się nie działo, a batalion nie nadciągał, postanowili wysłać gońca, strzelca Maculewicza, z informacją do majora: „Piedimonte zdobyte, ale żeby miejscowość utrzymać, potrzebna natychmiastowa pomoc. Proszę, aby Pan Major natychmiast maszerował z resztą wojska". Goniec pobiegł z meldunkiem. Nie wiedział ani on, ani Zajdziński, że nie tylko Piedimonte nie jest zdobyte, lecz także walka trwać będzie sześć dni, pochłonie wiele ofiar, a czołgi 6. pułku będą wystawione na ostrzał ze specjalnie skonstruowanych czołgowych wież pancernych, wmurowanych w beton, z bunkrów i umocnionych piwnic.

Przeżywałem okropne chwile

Czas leciał. Poważniejsze siły nie nadchodziły. Naraz przez mały placyk przebiegło kilku Niemców. Nasi posłali w ich stronę parę serii. Jeden żołnierz wroga padł, reszta wskoczyła do bunkra i odpowiedziała ogniem. Zajdziński rzucił granat dymny i kazał się cofnąć do ruin. „Wycofamy się dopiero po zmroku, żeby nas nie widzieli" – rzucił do swoich ludzi. Gdy zapadł zmrok, usłyszeli kroki na ulicy oraz głosy – ktoś mówił po angielsku. Czyżby jednak nadeszli Anglicy, których miano wyprzedzić? Jeden z naszych żołnierzy wyszedł, by to sprawdzić, i usłyszał okrzyk… „Hände Hoch!". Podniósł ręce. I w tym momencie uderzyło niedaleko kilka pocisków artyleryjskich, więc Polak skorzystał z okazji i natychmiast skoczył z powrotem do swoich. Gdy zapadły ciemności, patrol zaczął się wycofywać w wyznaczonym kierunku, ale okazało się, że Niemcy ich otoczyli: to była zasadzka. Pozwolono im najpierw wniknąć do miasteczka, by potem złapać patrol w saku. Teren oświetliły rakiety, Niemcy krzyczeli – „Halt! Hände Hoch!". Zajdziński biegł jak szalony, a obok niego Edward Butra. Rzucili się do jakiejś obórki, w której wpadli w coś cuchnącego. Żołnierze niemieccy przebiegli dosłownie tuż koło nich, ale nic nie zauważyli. Butra był mocno potłuczony i pokaleczony. „Przeżywałem wtedy okropne chwile" – zapisał we wspomnieniach dowódca patrolu. „Jak wydostać się z tej sytuacji, co zrobić, gdzie, a raczej którędy uciekać? Jak przekonać Edka, że musimy uciec stąd, gdy jeszcze jest ciemno?". I wtedy przeszedł z nim „na ty". Przestała się liczyć szarża. Liczyło się tylko to, że muszą przeżyć – on, dowódca, i ten szeregowiec, Edek.

„Przygotowani na śmierć i na najgorsze cichaczem wypełzliśmy z ukrycia i cichutko, ostrożnie przebiegaliśmy od zasłony do zasłony". Niemcy znów ich dostrzegli. I znowu niebo rozświetliły rakiety i zaczął się ostrzał. Zajdziński rzucił granat w stronę wroga, po czym obaj zerwali się do szalonego biegu. Te kilka sekund dało im szansę – wpadli do zrujnowanego budynku na skarpie. Wbiegli na pierwsze piętro. Szybko ukryli się między rozbitymi, roztrzaskanymi meblami. Po chwili usłyszeli krzyki i kłótnie Niemców. „Zastanawiali się, gdzie mogliśmy się podziać" – zapisał we wspomnieniach Zajdziński. „Nie przyszło im nawet do głowy, że mogliśmy cichaczem wpaść i ukryć się w budynku, w którym oni na dole – jak to potem zobaczyłem – mają swój punkt oporu. Ja sam się dziwię, że my wpadliśmy tam w cudowny jakiś sposób niezauważeni i skryliśmy się w tych porozbijanych kredensach i innych gratach". Tadeusz i Edward słuchali więc, jak Szwaby zastanawiają się, gdzie zniknęli „ci przeklęci Polacy", nie wiedząc, że mają ich tuż nad swoimi głowami. Ale z drugiej strony obaj byli niejako „uwięzieni" w tej sytuacji.

Wierzyliśmy, że przyjdzie odsiecz

„Byliśmy okropnie zmęczeni, spragnieni, pokaleczeni, obdarci, głodni. Tam właśnie, na tym rozbitym piętrze – pisał Zajdziński – w czasie pięknego, słonecznego dnia widzieliśmy siebie, jak jesteśmy wykończeni. Co gorsze, widać było przez rozbite resztki ścian (bo dachu ten dom już nie miał) S.V. Lucia, skąd wysłano mnie z patrolem do Piedimonte i gdzie chyba były nasze oddziały. Cisza była, żadnych wystrzałów, nic na przedpolu się nie działo". Wysączyli ostatnie łyki herbaty z manierek. Był 20 maja. Upalny dzień. Leżenie na otwartej przestrzeni, bez dachu odbierało im resztki sił. „Ale wtenczas byliśmy jeszcze młodzi, pełni wiary i w tak krytycznej chwili wierzyliśmy, że przyjdzie odsiecz".

Tymczasem w dowództwie batalionu już wiedziano, że w miasteczku są Niemcy. O godz. 19.20 przyszedł rozkaz telefoniczny z brygady, żeby nie atakować na razie Piedimonte, bo jest tam nieprzyjaciel. Podporucznik Zajdziński wraz z szeregowym Butrą muszą przetrwać na pięterku zrujnowanego domku. Sześciodniowy bój o Piedimonte ma się dopiero zacząć. GP

Ciąg dalszy w kolejnym numerze „Gazety Polskiej".

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / DZIEDZICTWO }



ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

Nie złamiecie NAS!

W ubiegłym tygodniu miałem okazję towarzyszyć panu prezydentowi w modlitwie w niezwykle ważnych miejscach, które są świadectwem, czym dla Polaków – nawet w najbardziej dramatycznych okolicznościach – pozostawały wiara, wspólnota i ojczyzna.

Najpierw modliliśmy się w Rumunii nieopodal Braszowa, na mszy św. polowej odprawionej w cieniu karpackich lasów, przy kamiennym ołtarzu zbudowanym przez polskich uchodźców wojennych w 1940 roku. Powstał z potrzeby serca, nie z rozkazu dowództwa ani z inicjatywy duchownych. Nasi żołnierze i cywile sami zebrali kamienie i dzień po dniu wykonywali dekoracje. Ołtarz zdobiły wizerunek Matki Bożej Królowej Polski oraz nasi święci patronowie: Stanisław Kostka i biskup Stanisław ze Szczepanowa. Wygnańcy z dala od ojczyzny zbudowali sacrum w piekle wojny. Postawili ołtarz, który stał się manifestem wykutym dłutem i sercem, że nawet w obozie internowania można znaleźć siłę, by zbudować coś większego niż tylko schronienie: duchowe centrum. Stanęliśmy w tych dniach z panem prezydentem i delegacją jego współpracowników, aby właśnie w tym miejscu dać wyraz pamięci o twórcach tej przestrzeni sacrum i pochylić się nad świadectwem ich wierności Bogu i ojczyźnie.

Obecność ołtarzy jest stałym elementem epopei żołnierzy walczących z okupantami w kraju i na wszystkich frontach, gdzie pojawiali się Polacy. Wraz z żołnierzami szlak bojowy przechodzili ich kapelani, którzy odgrywali ważną rolę w podtrzymywaniu ducha religijnego i narodowego. W kampanii wrześniowej, w rodzącej się jesienią 1939 roku konspiracji, w oddziałach leśnych, w Powstaniu Warszawskim. Także w Armii Andersa (Armii Polskiej na Wschodzie, później 2. Korpusie Polskim), z którą szlak bojowy przeszedł wraz z księżmi ich biskup polowy Józef Gawlina. Wspominaliśmy ich na Monte Cassino. To kolejne w tych dniach miejsce, w którym za naszych bohaterów modliliśmy się z panem prezydentem RP Karolem Nawrockim.

Walka o zdobycie silnie ufortyfikowanego przez Niemców i trudnego do zdobycia pasa umocnień obronnych przebiegającego w najwęższym miejscu Półwyspu Apenińskiego, nazwanego Linią Gustawa, uznawana jest za jedną z najbardziej zaciętych w czasie II wojny światowej. Miała otworzyć aliantom drogę na Rzym. Kapelani 2. Korpusu Polskiego trwali wtedy ze swoimi żołnierzami. Msze odprawiali przy prowizorycznych ołtarzach, czasem na skrzynkach po amunicji, nierzadko pod ostrzałem artyleryjskim. Licznie korzystali z sakramentu spowiedzi świętej.

11 maja odczytano żołnierzom rozkaz dowódcy gen. Władysława Andersa: „Żołnierze – za bandycką napaść Niemców na Polskę, za rozbiór Polski wraz z bolszewikami, za tysiące zrujnowanych miast i wsi, za morderstwa i katowanie setek tysięcy naszych sióstr i braci, za miliony wywiezionych Polaków jako niewolników do Niemiec, za niedolę i nieszczęście Kraju, za nasze cierpienia i tułaczkę – z wiarą w sprawiedliwość Opatrzności Boskiej idziemy naprzód ze świętym hasłem w sercach naszych: Bóg, Honor i Ojczyzna”. Polacy zdobyli wzgórze 18 maja 1944 roku. Na Monte Cassino załopotała polska flaga, którą zatknęli żołnierze z pocztu dowódcy 3. kompanii 5. Batalionu Strzelców Karpackich. W samo południe na ruinach klasztoru Monte Cassino polski żołnierz, plutonowy Emil Czech, odegrał hejnał mariacki, ogłaszając zwycięstwo. Stało się ono legendarne, wciąż się do niego odwołują pokolenia wolnych Polaków.

Obecność ołtarzy jest stałym elementem epopei żołnierzy walczących z okupantami w kraju i na wszystkich frontach, gdzie pojawiali się Polacy.

Zarówno żołnierze internowani w okolicach Braszowa w Rumunii, jak i ci walczący pod Monte Cassino swoim przywiązaniem do wiary i narodowej tożsamości w okolicznościach, kiedy to polityka, a nie męstwo w walce decydowały o naszej przyszłości, pozostawili nam w dziedzictwie ważne przesłanie: „Nie złamiecie nas!”. Wybrzmiało ono także w znanej pieśni Powstania Warszawskiego: „Nie złamie wolnych żadna klęska, nie strwoży śmiałych żaden trud, pójdziemy razem do zwycięstwa, gdy ramię w ramię stanie lud”. Tego właśnie uczy nas historia wolnych Polaków. **GP**

ODESZŁA STANISŁAWA CELIŃSKA – ARTYSTKA MAGNETYCZNA



Sylwia **Krasnodębska**
SZEF DZIAŁU KULTURA
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

ROZKOCHAŁA PUBLICZNOŚĆ AUTENTYCZNOŚCIĄ I CHARYZMĄ

Wspaniała aktorka, a także potężny głos wokalny. Stanisława Celińska była wybitną interpretatorką trudnych tekstów i potrafiła poruszyć autentycznością. We wspaniałym widowisku „Pamiętniki z Powstania Warszawskiego" niezwykle mocno odśpiewała „Litanię piwnic", chwytając widzów za serca i wyciskając im łzy.

Z wielką rozpaczą muszę Państwa poinformować, że dziś po południu odeszła Nasza Stasia. Mam wielką nadzieję, że spotkała się już z Bogiem, którego tak bardzo kochała" – przekazała 12 maja Joanna Trzcińska, która prowadziła wraz z aktorką profil w mediach społecznościowych. Stanisława Celińska dwa tygodnie temu skończyła 79 lat. Nie ukrywała swojej wiary i publicznie opowiadała, co zyskała dzięki Jezusowi. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" w 2002 roku powiedziała: „Alkoholizm jest oznaką pewnej niedojrzałości. Obrazem tego, że człowiek nie może sobie poradzić z samym sobą. Nie wie, co się z nim dzieje, ucieka. Często, szukając ratunku, uwiesza się innych, dręczy ich, nie zdając sobie sprawy, że to do niczego nie prowadzi. Mnie w wyjściu z tej choroby bardzo pomogła wiara w Chrystusa". Grała w Warszawie w Teatrze Współczesnym, Teatrze Nowym, Teatrze Dramatycznym, Teatrze Studio i Teatrze Kwadrat. Ale znaliśmy ją też z Teatru Telewizji i Teatru Polskiego Radia. W 2002 roku – za udział w sztuce „Oczyszczeni" w reż. Krzysztofa Warlikowskiego w Teatrze Rozmaitości w Warszawie – otrzymała Feliksa Warszawskiego za najlepszą drugoplanową rolę kobiecą.

Aktorstwo filmowe rozpoczęła od mocnego debiutu w filmie Andrzeja Wajdy „Krajobraz po bitwie". Wystąpiła w jego „Katyniu". Grała u Antoniego Krauzego („Piżama"), Krzysztofa Zanussiego („Hipoteza") i Stanisława Barei („Nie ma róży bez ognia"). Występowała w serialach, m.in. „Mamuśki", gdzie wcieliła się w Halinę Czajkę. Na wielkim ekranie ostatnio widzieliśmy ją m.in. w serii filmów „Listy do M.".

Żeby móc zbliżyć się do jej nieprzeciętnego talentu, warto przywołać przepiękne widowisko TVP „Pamiętniki z Powstania Warszawskiego" w reż. prof. Jerzego Bielunasa z 2009 roku. Spektakl stworzony w ramach obchodów 65. rocznicy Powstania Warszawskiego miał formę dramatycznego oratorium. Stanisława Celińska, wykonując „Litanię piwnic" do muzyki Mateusza Pospieszalskiego, z impetem i nieprawdopodobną siłą przybliżyła tragedię walczącej stolicy i agonię powstańców. Śpiew, recytacja, wokaliza i krzyk niezwykle utalentowanej artystki przeniosły widownię w mrok rozpadającego się miasta. Stanisława Celińska reprezentowała szkołę aktorstwa i wokalistyki, którą cechują pełne zaangażowanie i kreacja, a nie odtwórczość. „Pamiętnikami…" pokazała, jak wybitną była interpretatorką trudnych tekstów, potrafiącą oddać stan potwornych traum. Obezwładniała swoją siłą, krzycząc w widowisku słowa powstańców wołających do Najświętszego Serca Jezusa. **GP**

Na podstawie tekstu z „Gazety Polskiej Codziennie", 13.05.2026.

FOT. SŁAWOMIR MIELNIK / FORUM

GAZETA POLSKA



MISJA – UTOPIĆ „POTOP”

Sylwia **Krasnodębska**
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

ŻAŁOSNA PREMIERA TEATRU TELEWIZJI

Szwed, przyznając Henrykowi Sienkiewiczowi Nobla, mówi, że to forma przeprosin za potop szwedzki. To jedna z humorystycznych scen w zaprezentowanym przez Teatr Telewizji spektaklu „Potop” w reż. Michała Siegoczyńskiego. Tymczasem przeprosić powinni twórcy przedstawienia, którzy z wielkiego dzieła uczynili „sienkiewiczowski kleks”, kpiąc przy tym z Jezusa Chrystusa.

Współczesny Andrzej Kmicic to żołnierz, który wypina pierś do orderów „za przemoc od dziecka ukierunkowaną w słusznej sprawie”. Choć plansza otwierająca spektakl niesie informację, że sztuka powstała na motywach „Potopu” Henryka Sienkiewicza, ten zapewne swojego dzieła by nie poznał. Twórcy z Teatru Wybrzeże z Gdańska wymyślili pełną bluzgów parodię przypominającą kabaret najniższych lotów.

Prowokacja ma tu polegać na odwróceniu sensów. Wywróceniu do góry nogami nie tylko tego, co napisał Sienkiewicz, lecz także tego, po co w ogóle narodowa epopeja powstała. Kmicic u Siegoczyńskiego nie ma więc ochoty być patriotą, a Oleńka za sprawą wykładów Marii Konopnickiej postanawia wejść na drogę emancypacji. Husaria tańczy w rytmach techno, a bohaterowie rzucają się w wir hipnotycznego, tanecznego rytuału. Nie wiadomo po co. Wiejska chata przemienia się w klub disco. Aktorzy gładko wchodzą w żarty z zakonu, modlitwy i samego Jezusa Chrystusa. Pełno tu wrzasku i bluzgów. Orzeszkowa podsumowuje Sienkiewicza słowami: „Henio pogubiony, tego się nie da czytać, trzeciorzędny pisarz, podrzędny”. Siegoczyński najwyraźniej wtóruje jej, tworząc swoją wersję „Potopu”. Oleńka do zubożałej szlachty mówi: „Ze sceny zejdźcie, bo mnie coś w głowie łupie”. To samo może powiedzieć widz tej marnej parodii „Potopu”.

„Potop” Sienkiewicza miał ogromne znaczenie dla krzepienia serc w czasach zaborów. Dziś jest bogatym źródłem wiedzy o XVII-wiecznej Polsce. Wielkie dzieło powstało zresztą dzięki pracy badawczej Sienkiewicza dotyczącej źródeł historycznych. Archaizacja języka nadawała powieści autentyczność. Realizm postaci i łączenie faktów z fikcją prowadzone były przez noblistę tak, by czytelnik rozumiał konteksty historyczne. Aleksandra Piłsudska, żona Józefa Piłsudskiego, powiedziała kiedyś: „Ilekroć mąż wybierał się w podróż lub wyruszał w pole, zawsze miał ze sobą medalik Matki Boskiej Ostrobramskiej, »Potop« Sienkiewicza i »Kronikę« Stryjkowskiego”.

Tymczasem celem twórców spektaklu „było stworzenie »Potopu«, jakiego jeszcze teatr nie widział”. I taki stworzyli. Nie odpowiadając na pytanie, komu ma on służyć i do czego. A pomysł na to, by produkcję Teatru Wybrzeże w Gdańsku zaprezentować w Teatrze Telewizji, jest dowodem na czczenie antykultury. Zgodnie z założeniem, że jak nie potrafimy stworzyć sami czegoś wartościowego, to spróbujmy chociaż zniszczyć to, co jest. **GP**

FOT. NATALIA KABANOW

ZACISZE MELOMANA



★★★★★★

NAJCICHSZY PROTEST SONG

Alabaster DePlume, DEAR CHILDREN OF OUR CHILDREN, I KNEW: EPILOGUE

International Anthem

Hipnotyzująca muzyka brytyjskiego saksofonisty Alabastera DePlume'a dotyka niczym modlitwa. Choć tym razem zabrakło tu słów, dźwięk instrumentów w połączeniu z nagraniami terenowymi chwyta silniej za serce. Nagrania powstały w trakcie ostatniej trasy koncertowej artysty, któremu towarzyszą jedynie Shahzad Ismaily na basie i Tcheser Holmes na perkusji. Gwar i śmiechy dobiegające z placu zabaw mogłyby wydawać się uniwersalne, niezależne od szerokości geograficznej. Te, które słyszymy na płycie, pochodzą jednak z miejsca szczególnego – Zachodniego Brzegu. To także modlitwa o to, by już nigdy nie zostały przerwane.



★★★★★★

REAKTYWACJA „ŻUKÓW"

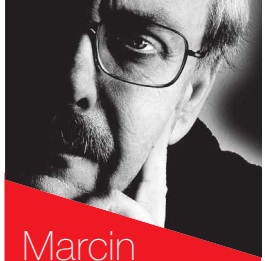
The Lemon Things, LOOK FOR YOUR MIND!

Captured Tracks

Druga muzyczna propozycja przyniesie już tylko beztroski odpoczynek, a może nawet zapowiedź wakacji, na dodatek z mocnym efektem zaskoczenia. Przy płycie The Lemon Things trudno bowiem oprzeć się pokusie, by sprawdzić datę wydania nagrań – czy to aby na pewno współczesny krążek? „Look For Your Mind!" mógłby bez problemu udawać zaginiony album Beatlesów. W tej rekonstrukcji brzmień lat 60. The Lemon Things są naprawdę perfekcyjni, nie sposób też odmówić im inwencji w układaniu chwytliwych piosenek. Z jakichś jednak powodów po radości pierwszego odsłuchu trudno odnaleźć mi chęć do powrotu. Może jednak Państwo znajdą w ich nagraniach coś więcej?

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { WYWIAD RZEKA }



Marcin **Wolski** poleca

★★★★★★

Ziemkiewiczszczyzna

„Ziemkiewicz"

Rozmawia Wiktor Świetlik

wyd. Czarna Skrzynka, Warszawa 2026

Coraz częściej można dziś spotkać Rafała Ziemkiewicza z Wiktorem Świetlikiem. Przeważnie w sieci. Ale nie tylko. Ostatnie ich wspólne dzieło to „Ziemkiewicz" – wywiad rzeka, w którym Rafał opowiada głównie o sobie, w odróżnieniu od innych autorów z rzadka wzmiankując o innych postaciach z jego życia, z których najczęściej przywołuje Macieja Parowskiego z „Fantastyki". Nie stosuje uników, a osobom zainteresowanym jego karierą wyjaśnia, jak stał się tym, kim jest. Jak utalentowany autor science fiction przemienił się w pisarza z górnej półki, a młody rzecznik Korwin-Mikkego stał się krytycznym, niezależnym publicystą? Jak po serii prób i błędów znalazł szczęście rodzinne i jak radzi sobie z hejtem, który dzień w dzień się na niego leje? Może dlatego, że jest człowiekiem sukcesu, o którym świadczą liczne nagrody, popularność, rozpoznawalność i liczba wrogów? Dla kogoś, kto przyjaźni się z bohaterem książki i częściej z nim się zgadza, niż nie zgadza, jest to uzupełnienie posiadanej wiedzy i ujawnienie wielu nieznanych faktów. Dla osób nie z branży rozwiązanie zagadki, jak to się stało, że człowiek przypisywany do ciemnogrodu przewyższa intelektualnie „autorytety" z salonu. Zaskoczyła mnie informacja, że nie interesuje się rodzinną genealogią, mimo że jest skoligacony na przykład z kard. Kakowskim. Zbieżnych poglądów mamy dużo i często łapię się, że szukając argumentów, „mówię Ziemkiewiczem" – zwłaszcza gdy chodzi o ocenę „michnikowszczyzny", agenta „Bolka", „polactwa" czy naszych kompleksów postkolonialnych. Jako „wywiadowca" Świetlik nie jest agresywny, ale dociekliwy. Rozlicza Rafała z jego politycznych wyborów, analizuje stoczone potyczki, również procesowe, i odsłania kulisy życia emocjonalnego. Bez dwóch zdań – ciekawe! **GP**



Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | infolinia: 22 232 37 70

MIX **Kulturalny**



NIEWYGODNE PYTANIE

Polski serial „Morfeusz", który wejdzie na platformę SkyShowtime 2 czerwca, zadaje pytanie, czy geny można oszukać i czy syn bandyty też prędzej czy później nim zostanie. W jednej z ról Andrzej Grabowski.



POLSKĄ OPERĘ KRÓLEWSKĄ

Nie lada atrakcją będą mozartowskie wydarzenia w świeżo odrestaurowanym amfiteatrze w Łazienkach Królewskich. 25 czerwca koncert „Gran partit", a 25 lipca spektakl „Idomeneo". Brzmi jak iście królewskie zaproszenie!

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Wełniści detektywi

„Sprawiedliwość owiec”

reż. Kyle Balda, KOMEDIA, KRYMINAŁ

Wielka Brytania/USA 2026

Na szczególną uwagę zasługuje wykorzystana do stworzenia wełnistych detektywów animacja komputera. Zwierzęta wyglądają niezwykle naturalnie, a prawdziwym mistrzostwem jest ich mimika.

Łukasz **Czarnecki**

Denbrook jest miasteczkiem tak małym, że nawet kiedy odbywa się w nim festiwal lokalnej kultury, składa się on zaledwie z trzech straganów. Czas płynie tu powoli przy dźwięku beczenia owiec wypasanych przez George’a (Hugh Jackman). Mężczyzna jest miłośnikiem zwierząt, głęboko emocjonalnie związanym ze swoim stadem. Kocha owce, a one kochają jego. Więź cementuje specyficzny rytuał – co wieczór pasterz czyta gromadce powieści kryminalne, mimo iż ma świadomość, że słuchacze nie rozumieją ani słowa…

Gdyby owieczki potrafiły mówić, pasterz bardzo by się jednak zdziwił, bo nie dość, że pojmują one ludzki język, to jeszcze są wielkimi koneserami kryminałów, spędzającymi czas na omawianiu fabuł i dociekaniu, kto był mordercą! Dlatego kiedy pewnego ranka George zostaje znaleziony martwy, a wokół okoliczności jego śmierci narasta coraz więcej wątpliwości, zwierzęta postanawiają pójść w ślady książkowych detektywów i rozwiązać zagadkę. I chyba tylko w nich cała nadzieja, bo lokalny posterunkowy nie jest najostrzejszym ołówkiem w piórniku. Właśnie owce raz za razem będą zmuszone sprowadzać go na właściwy trop… Tylko czy wystarczy im odwagi, by opuścić dobrze znane pastwisko i w imię sprawiedliwości ruszyć tam, gdzie owczy wzrok nie sięga… to znaczy do odległego o trzy kilometry miasteczka?



„Sprawiedliwość owiec” to film niezwykle zabawny, z pełną świadomością bawiący konwencją klasycznego kryminału. Oto bowiem mamy na ekranie wszystkie elementy stanowiące obowiązkowy składnik tego gatunku, tyle że w wyjątkowo absurdalnej scenerii pipidówka i z równie groteskowymi, pokrytymi wełną bohaterami. Tak dziwaczna wariacja znanego tematu sprawdza się jednak świetnie, gwarantując doskonałą zabawę. Kto by przypuszczał, że można nakręcić aż tak dobry film o owcach? **GP**

FOT. MAT. PRAS., FACEBOOK



śledź

STARCIE GIGANTÓW

Na trwającym festiwalu filmowym w Cannes o Złote Palmy walczą „Fatherland” Pawła Pawlikowskiego i projekt inspirowany „Dekalogiem” Krzysztofa Kieślowskiego, „Parallel Tales” Asghara Farhadiego. Werdykt 23 maja!



jedź

DO GDAŃSKA

W uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ergo Arenie Gdańsk –Sopot 15 sierpnia odbędzie się festiwal „Prosta droga do Boga”. Pojawią się m.in.: anMari, Schola Adonai, Roxie, Dariusz Kowalski czy kabaret OT.TO.



poczuj

SIŁĘ I WOLNOŚĆ

„Siła i wolność. 250 lat Stanów Zjednoczonych Ameryki” Wojciecha Roszkowskiego to dzieje USA napisane nie tylko z pozycji historyka, lecz także mieszkańca tego państwa. Książka na sklep.gazetapolska.pl.

Swędzący problem

CO WARTO WIEDZIEĆ

Gdy piszę ten tekst, odruchowo się drapię. Mamy XXI wiek. Ludzkość lata w kosmos. Wymyślono internet i sztuczną inteligencję. Nadal jednak nie pozbyliśmy się problemu wszy. To temat, o którym dyskutuje się niezależnie od statusu, miejsca zamieszkania i stopnia rozwoju kraju.

SZKODLIWE OWADY

Patrząc na komputery, sztuczną inteligencję czy przemysł dronowy – ludzkość robi postępy. Mimo tego nie znaleźliśmy zadowalającego sposobu na drażniące nas małe insekty.



KOMAR

Odpowiedzialny za upadek imperiów i porażki wojsk w kilku wojnach. Do dzisiaj jest niebezpieczny. Przenosi malarię, dengę, żółtą febrę, Zika i inne. Zabija więcej ludzi niż jakiekolwiek inne zwierzę na świecie.



MUCHA TSE-TSE

To owad występujący w Afryce. Jest nosicielem śpiączki afrykańskiej, która nieleczona prowadzi do śmierci. Na nasze szczęście owad ten nie występuje w Europie, bo preferuje cieplejszy klimat.



Jacek Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

FOT. ADOBE STOCK, WIKIPEDIA

POLUB NAS
/GazetaPolskaPL

Jest jeden niezawodny sposób na to, aby w kolejce w sklepie utrzymywać dystans. O nie, nie jest to bynajmniej maseczka z napisem „COVID”. Tego mało kto już się w Polsce boi. Wystarczy w kolejce odebrać telefon i teatralnym szeptem powiedzieć: „Tak, pamiętam jeszcze o tym szamponie na wszy. Tak, mnie też swędzi”. A potem dzieją się cuda. Nagle jest przestrzeń. Sam doświadczyłem tego w aptece, gdy kupowałem preparat na wszy – którego zresztą nie użyłem, ale uznałem, że trzeba mieć go w domu na wszelki wypadek. Pani stojąca za mną w kolejce po usłyszeniu, co kupuję, w te pędy uciekła. Każdy bowiem wie, że wszawa przygoda to nic przyjemnego.

Ponieważ nie pamiętałem, czy w przeszłości dopadło mnie to nieszczęście, zapytałem o to swoją mamę. Okazuje się, że w latach 90. przytrafiało się ono dość często. Problemem były jednak środki do walki z wszami. Mama opatentowała więc stosowanie szamponu z pieskiem, czyli specyfiku dla… psów. Działał i o dziwo nie dawał efektów ubocznych. Dziś czytając ulotkę Państwowej Inspekcji Sanitarnej, dowiadujemy się, że w procesie leczenia pedikulozy (ładniejsza nazwa wszawicy): „Nie wolno! Stosować u ludzi preparatów przeciw wszawicy przeznaczonych dla zwierząt. Mogą one działać toksycznie i/lub drażniąco na skórę głowy i przynosić skutki odwrotne do zamierzonego, a tym samym przedłużać i utrudniać leczenie”.

> Szacuje się, że w USA liczba osób dotkniętych wszawicą rocznie wynosi od 6 do 12 mln. Według wyliczeń koszt walki z wszami to około 1 mld dolarów rocznie.

Co to?

Wesz ludzka (Pediculus humanus) to mały, bezskrzydły, spłaszczony owad z rzędu Phthiraptera. Jest to pasożyt całkowicie zależny od swojego żywiciela, czyli w tym przypadku człowieka. Jak przekazała mi pewna lekarz, okazuje się, że od umierającej zawszonej osoby owady te zaczynają uciekać. Być może sygnałem do ucieczki jest dla nich spadek temperatury ciała żywiciela.

Wesz ludzka nie skacze ani nie lata – porusza się szybko, chodząc (do 23 cm na minutę). Bardzo łatwo przenosi się z głowy na głowę lub przez przedmioty osoby zarażonej (grzebienie, czapki czy pościel). Wyróżniamy dwa podgatunki: wesz głowową, która żyje na owłosionej skórze głowy, i wesz odzieżową bytującą w szwach ubrań i na ciele. Owady te odżywiają się wyłącznie krwią człowieka, kłując skórę od czterech do sześciu razy dziennie. Samica składa co dzień kilka jaj (gnid), które przykleja do włosów lub włókien odzieży. Cykl rozwojowy trwa około trzy–cztery tygodnie. Wesz odzieżowa jest groźnym wektorem chorób: przenosi tyfus plamisty, gorączkę okopową i nawracającą gorączkę. Wesz głowowa powoduje głównie swędzenie, wtórne infekcje bak-



PCHŁA

W przeszłości odpowiadała za epidemie dżumy i tyfusu, pochłaniając życie co najmniej dziesiątek milionów ludzi. Można by powiedzieć, że pchły o mało nie doprowadziły do upadku cywilizacji europejskiej.



MRÓWKA OGNISTA

Jej ukąszenie jest niezwykle bolesne. Wydawało się, że Europa nie ma problemu z jej populacją, bo występuje ona za oceanem. Tymczasem pierwsze kolonie zaczęły pojawiać się na południu Włoch.



SZERSZEŃ AZJATYCKI

Ukąszenie tego owada powoduje ostry ból, ale na szczęście nie jest ono groźniejsze od użądlenia przez pszczołę. Szerszeń azjatycki pojawił się już w Europie, ale na razie nie na masową skalę.



KRÓTKI OPIS

Wesz ludzka to mały, bezskrzydły, spłaszczony owad. Nie skacze ani nie lata – porusza się szybko, chodząc. To pasożyt całkowicie zależny od swojego żywiciela, czyli w tym przypadku od człowieka.

teryjne i duży dyskomfort psychiczny, ale rzadko przenosi choroby.

Można powiedzieć, że owady te towarzyszą nam od zawsze. Gdy nasi przodkowie byli bardziej owłosieni, wówczas wszy najprawdopodobniej pojawiały się na całym ciele. Wesz ludzka jest wszak spokrewniona z tą znajdowaną na szympansach. Wspólny przodek tych owadów miał żyć 5,6 mln lat temu. Dalsze rozdzielenie linii głowowej od odzieżowej nastąpiło, gdy człowiek miał migrować na północ i zacząć nosić ubrania. Ogólnie więc możemy przyjąć, że z wszami jako ludzkość męczymy się już 100 tys. lat.

Aby zatem zminimalizować ryzyko tej nieprzyjemności, trzeba pamiętać o profilaktyce i wyciągnąć wszawicę z szufladki z napisem „tabu". Niech pedagodzy w szkołach, przedszkolach i żłobkach nie wstydzą się mówić na głos o tym swędzącym problemie. W razie konieczności mogą posiłkować się obrazkowymi książeczkami dla dzieci o tym, jak się zachować, gdy dopadnie nas natrętny owad.

Komunistyczne i imperialistyczne

W Polsce lubimy jednak ten temat przemilczać. Choć chętnie śmiejemy się



KLESZCZ

Choć to pajęczak, musi pojawić się na tej liście. Przenosi boreliozę i kleszczowe zapalenie mózgu. W Polsce co roku odnotowuje się nawet kilkadziesiąt tysięcy zachorowań na tę pierwszą chorobę.



SZARAŃCZA

Wciąż lokalnie doprowadza do olbrzymich strat gospodarczych i zachwiania lokalnego bezpieczeństwa żywnościowego. Ponoć rój szarańczy jest w stanie zjeść w ciągu dnia tyle, ile 35 tys. ludzi.



MSZYCA

Należy do najpoważniejszych szkodników rolniczych i ogrodniczych na świecie – powoduje zwijanie liści, zahamowanie wzrostu roślin, a przede wszystkim przenosi ponad 200 rodzajów wirusów.



z zawszonych Rosjan. Przebijało to w „Zapiskach oficera Armii Czerwonej” Sergiusza Piaseckiego. W pewnym momencie główny bohater Michaił Zubow odpowiada na pytanie, czy podoba mu się w Wilnie. „(…) Nie podoba mi się wcale, bo żadnej kultury nie ma. Nawet na dworcu woszebijki nie zauważyłem. Cóż to za życie! Cóż to za higiena! Cóż to za kultura!

Tu wtrąciła się Maria Aleksandrowna i mówi tak czysto po rosyjsku… bardzo to jest podejrzane i trzeba będzie o tym do NKWD zameldować. Więc powiada:

– Woszebijek u nas istotnie nie ma. Ale to dlatego, że wszy nie mamy. Więc po co woszebijki!

Same wy wszy jesteście – pomyślałem i powiadam:

– Woszebijki są potrzebne jako urządzenia sanitarne i higieniczne. Myszy też może nie być, a ot, kotów u was wszędzie mnóstwo. Ot co” – kończy lejtnant Zubow.

Dla żyjących stereotypami mam jednak złe wiadomości. Wszy są wszędzie. O tym, że występują w całej Polsce, może świadczyć choćby to, że w każdej aptece da się kupić środek na wszawicę. Ba, w największych miastach istnieje nawet możliwość wykupienia usługi zbadania pod mikroskopem stanu skóry naszej głowy i sprawdzenia, czy nic się na niej nie zagnieździło. Z tego co wiem, mimo wysokich cen w gabinetach oferujących takie badanie chętnych nie brakuje.

Na koniec – dla równowagi – ponieważ było o komunistach, teraz będzie o imperialistach. Szacuje się, że w Stanach Zjednoczonych liczba osób dotkniętych wszawicą rocznie wynosi od 6 do 12 mln, a to przekłada się na 2,6 mln zainfekowanych gospodarstw domowych. Według badań opublikowanych w „Science Direct” koszt walki z wszami to około 1 mld dolarów rocznie. To jednak sporo. Oznacza to, że nawet największe imperium świata nie jest w stanie wykończyć tych owadów. **GP**



STONKA ZIEMNIACZANA

Pochodzi z Ameryki Płn., ale rozprzestrzeniła się w całej Europie i Azji. Dorosłe chrząszcze i larwy żerują na liściach ziemniaków, pomidorów i bakłażanów. Od dekad próbujemy wszystkiego, ale stonka i tak wraca.



KARALUCH

Owad znany ze swojej niezwykłej zdolności przetrwania – może żyć nawet miesiąc bez jedzenia i kilka dni bez głowy. Na nogach i w przewodzie pokarmowym przenosi bakterie, wirusy, pasożyty oraz alergeny.

FOT. ADOBE STOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA, MIKOŁAJ BUJAK/KPRP



PRZYRODNICZY FLASH

REFERENDUM W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

„Czy jest Pani/Pan za realizacją polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?” – takie pytanie referendalne miałoby paść 27 września. Inicjatywę w tej sprawie zgłosił prezydent Karol Nawrocki. To reakcja na postulaty NSZZ „Solidarność”. Związek 20 maja organizuje manifestację poparcia dla inicjatywy referendalnej.



OPTYMALNY SEN

„Szeroko zakrojona analiza długości snu i oznak starzenia się u pół miliona dorosłych wskazała idealny środek – około sześciu do ośmiu godzin snu dziennie – który wiąże się z niższym ryzykiem przedwczesnej śmierci i chorób. Więcej lub mniej snu było związane z przyspieszonym starzeniem, które mierzono przez niemal 20 różnych biologicznych »zegarów« starzenia się, mających na celu ocenę wpływu starzenia się na organizm” – podał portal Nature.com.



Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

NA PUSTYM PLACU
Świątynia stoi na środku placu wykarczowanego do najmniejszego krzaka. Gdy patrzę na okoliczny busz, dociera do mnie, ile wysiłku musiało kosztować utrzymanie tego miejsca w takim ładzie.

Polska niespodzianka na końcu świata

ARKA NOEGO NA WYSPIE

To dość niecodzienna procesja. Nigdy wcześniej nie uczestniczyłem w podobnej. Wraz z dwójką polskich misjonarzy wolno przesuwamy się w stronę jednego z bardziej zjawiskowych kościołów, jakie było mi dane kiedykolwiek zobaczyć.

Szybciej się nie da, gdyż zgromadzony wokół tłum lokalnych mieszkańców idzie bardzo blisko nas. Ramię w ramię. Głowa przy głowie. Co bardziej ciekawscy kroczą tuż obok, przyglądając się uważnie. Co bardziej odważni podają rękę na przywitanie. Ci, dla których wizyta białych gości jest raczej obojętna, idą gdzieś z tyłu procesji.

Nasz przedziwny orszak jest kompletnie nieuformowany. Dookoła biegają dzieci. Jedna z matek próbuje dogonić swego synka. Słychać głośne rozmowy. Ktoś się śmieje. Co rusz do tłumu spacerujących podbiega jakiś mężczyzna, aby podać rękę jednemu z kapłanów. Wierni są wyraźnie poruszeni. Widząc nową białą twarz, również chcą się przywitać. Po ceremonialnym podaniu ręki dołączają do pozostałych idących w stronę świątyni. Wydaje się, że dopóki nie dojdziemy do kościoła, tak to właśnie będzie wyglądało. Wszak ludzi chcących się przywitać jest całe mnóstwo.

Rukus. Licząca sobie kilkadziesiąt rodzin wioska w środkowej części Papui-Nowej Gwinei. Znajdujemy się w górskim interiorze tej tropikalnej wyspy, z pejzażem składającym się z obłych zielonych pagórów, porośniętych wysokimi liśćmi paproci oraz bananowców. A u podnóża z porozrzucanymi bez ładu i składu kolejnymi chatkami. Ich odkrywanie jest niczym szukanie grzybów w lesie po obfitym deszczu. Turysta nigdy nie wie, gdzie natknie się na kolejną. Gdy zaś ją znajdzie, przez chwilę zastanawia się, jak musi się żyć człowiekowi, który zdecydował się zbudować sobie w takim miejscu dom. Stąd wszędzie jest daleko. Ot, gliniana chata pośrodku zielonej głuszy. Bez drogi, bez prądu, bez niczego. Właśnie na takim końcu świata znajduję jeden z najbardziej zjawiskowych kościołów, jaki kiedykolwiek zobaczyłem. Świątynia stoi na środku piaszczystego placu, wykarczowanego do najmniejszego nawet krzaka. Gdy patrzę na okoliczny busz, dociera do mnie, ile wysiłku musiało kosztować utrzymanie tego miejsca w takim ładzie. Tutejsza przyroda – nieujarzmiana przez człowieka – zwykle zabiera wszystko. Plac jednak jest czysty. Bez żadnego drzewa, bez krzaka czy zarośli. Rośliny zaczynają wspinać się dopiero kawałek za kościołem. Porastając szczelnie trzy masywne wzgórza otaczające wioskę. Ten plac również kiedyś tak wyglądał. Dziś jednak jest reprezentatywnym miejscem wioski z ulokowanym na jego środku kościołem. Z powysadzanymi kamieniami białymi ścianami. Ze spadzistym dachem. Niewielkim balkonowym tarasem nad głównym wejściem i z charakterystycznym dziubkiem na głównej fasadzie. Dopełniającym ogólnego wrażenia, które ma sprawiać, że budynek będzie przypominać łódź. Długą i dość wąską. Metafora jest aż nadto czytelna. Także dla Papuasów. To arka. Arka Noego.

Tutejsze wciśnięte pomiędzy zielone doliny papuaskie domki nie różnią się zanadto od pozostałych chat, jakie mieliśmy okazję oglądać już w tej części wyspy. Główna konstrukcja złożona jest z masywnych i wysuszonych bloków gliny. Ścianki wewnętrzne zrobione są z bambusowej plecionki. Wsparte cienkimi drewnianymi palikami. Tak wzniesioną





Tuż za ołtarzem z daleka widzę tak dobrze znany obraz z polskim napisem: „Jezu, ufam Tobie”.

POLSKI AKCENT
Opisany dziś obraz z kościoła w Rukus pochodzi z Warszawy. Dokładnie z michalickiej parafii na Bemowie. Ofiarowała go jedna z parafianek, pragnąc, aby służył on misjom. I tak też się stało. Dziś zdobi Sanktuarium Bożego Miłosierdzia na końcu papuaskiego świata.

POLSKIE MISJE
Według danych Komisji Episkopatu Polski ds. Misji z października 2025 roku w Oceanii pracuje dziś 65 polskich misjonarzy, z czego większość posługuje właśnie w Papui-Nowej Gwinei. Są wśród nich m.in.: michalici, werbiści czy misjonarze Świętej Rodziny.

JĘZYKI Ostrożne szacunki wskazują, że w Papui-Nowej Gwinei ludność posługuje się aż 900 językami (lokalne dialekty). Oznaczałoby to, że na jednej wyspie skoncentrowana jest blisko trzecia część wszystkich języków świata.

na planie koła chatę zdobi zwykle dach z pandanusowych liści, czasem z liści palmy. A czasem ze strzechy pokrytej dodatkowo smołą.

– To na robactwo – tłumaczy mi któregoś dnia ojciec Józef, jeden z moich papuaskich przewodników po wyspie. – Poza tym smoła pomaga stworzyć nieprzepuszczalną warstwę.

Historia powstania Sanktuarium Bożego Miłosierdzia ulokowanego na końcu świata to temat na dobrą książkę. Wszystko zaczęło się daleko stąd. W egzotycznej dla Papuasów Europie. A konkretnie w południowej Polsce, w Krakowie, gdzie w sierpniu 2002 roku papież Jan Paweł II podczas swojej pielgrzymki do ojczyzny poświęcał łagiewnickie Sanktuarium Bożego Miłosierdzia. Wśród wiernych była wtedy także pewna młoda dziewczyna z Papui o imieniu Cristincia. Tamtego dnia otrzymała od Ojca Świętego światło – symbolicznie zapaloną świecę. Z tym światłem miała od tej pory iść dalej i rozświetlać Papuasom ciemność. Nie tylko tę fizyczną. Przede wszystkim duchową. Po powrocie do kraju Cristincia nie miała z początku pomysłu, co zrobić ze świecą, którą otrzymała w prezencie od papieża. Ostatecznie światło z Łagiewnik wylądowało w zapomnianej przez świat wiosce. Właśnie tutaj. W Rukus.

Gdy kilka lat później inna dziewczyna z tej wioski, o imieniu Rose, zostanie na skutek modlitw katolickiej wspólnoty cudownie uzdrowiona z uporczywej choroby, postawi sobie za punkt honoru wzniesienie w rodzinnej wiosce tej właśnie świątyni. Namówi mieszkańców. Namówi sąsiadów. To właśnie oni siłą własnych mięśni, najbardziej prymitywnymi narzędziami dokonają tego, co podziwiamy teraz. Wykarczują



To właśnie rękoma tych ludzi, którzy nie użyli jakiejkolwiek maszyny, dźwigów czy koparek, zostanie zbudowana zaprojektowana przez Francisa Boniego świątynia.



Stąd wszędzie jest daleko. Ot, gliniane chaty pośrodku zielonej głuszy. Bez drogi, bez prądu, bez niczego…

busz, będą dźwigać kamienne otoczaki z pobliskiego strumienia, lepić ściany. A wszystko bez użycia jakiejkolwiek maszyny, bez dźwigów, bez koparek. Zaprojektowana przez Francisa Boniego świątynia zostanie zbudowana – podobnie jak wszystko w tej osadzie – rękami tych właśnie pokornych ludzi. Powoli docieramy do bram wejściowych kościoła. Wchodzimy do środka. I już sam nie wiem, czy budowla bardziej mnie zachwyciła z zewnątrz, czy od wewnątrz. Zwłaszcza że na końcu nawy głównej, tuż za ołtarzem, widzę z daleka tak dobrze znany obraz z polskim napisem: „Jezu, ufam Tobie”. Polski obraz schowany na końcu świata. W papuaskim buszu. Między zielonymi pagórami. **GP**

FOT. STEFAN CZERNIECKI



LEWY WYPRZEDZIŁ MESSIEGO

PRZYSZŁOŚĆ

Kapitan Biało-Czerwonych nie powinien mieć problemów ze znalezieniem dobrego klubu. Pytanie, czy wybierze drużynę z Europy, czy na przykład skusi się na pieniądze z Major League Soccer czy jednej z lig arabskich.

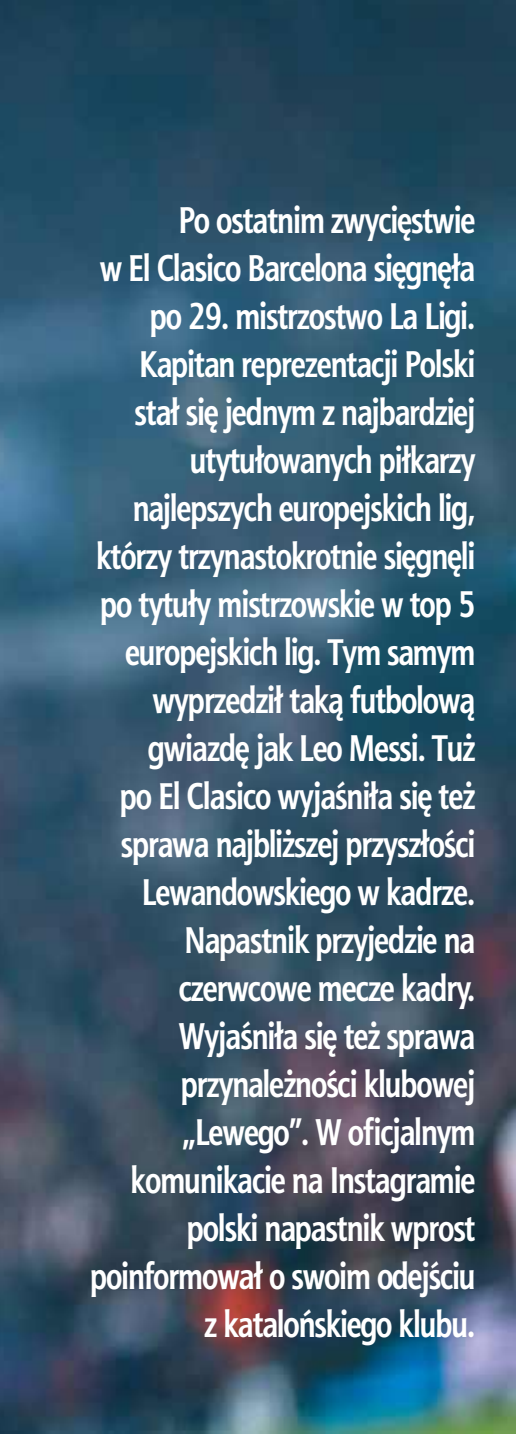
Leszek **Galarowicz**
albicla.com/LeszekGalarowicz

13 TYTUŁÓW MISTRZOWSKICH W NAJLEPSZYCH LIGACH

El Clasico to znacznie więcej niż zwykły mecz. Ostatnie, w którym Barca pewnie pokonała Real Madryt, nie było wielkim widowiskiem z futbolowymi fajerwerkami. Blaugrana po spotkaniu mogła świętować zdobycie 29. tytułu mistrza Hiszpanii, ale zwycięstwo w tym meczu było nie tyle wynikiem nadzwyczajnej postawy Dumy Katalonii, ile słabości Realu, który znalazł się w kryzysie, Realu rozbitego, pogrążonego w chaosie, rozdartego wewnętrznymi konfliktami. Nie umniejsza to sukcesu Barcelony z Robertem Lewandowskim, który nie był może tak ważną postacią jak w ostatnich dwóch sezonach, kiedy zdobywał bramki jak na zawołanie, ale wciąż istotnym ogniwem katalońskiego klubu. „Lewy" ma w tym roku na koncie 13 trafień w La Lidze, jest trzecim strzelcem swojego zespołu. Wyprzedzają go Lamine Yamal i Ferran Torres. Media donoszą, że ten ostatni, który wygryzł „Lewego" z wyjściowego składu Barcelony, może wkrótce trafić do Premier League.

13 tytułów mistrzowskich

Robert Lewandowski, gdy grał w Bayernie Monachium, śrubował kolejne rekordy strzeleckie. Pobił słynne osiągnięcie Gerda Müllera, który w jednym sezonie Bundesligi zdobył 40 bramek. „Lewy" w sezonie 2020/2021 pobił legendarne osiągnięcie niemieckiego snajpera, zdobywając o jedną bramkę więcej. Po tym sezonie napastnik Biało-Czerwonych może się pochwalić także innymi spektakularnymi osiągnięciami. Napastnik Dumy Katalonii po raz trzeci sięgnął po mistrzostwo Hiszpanii, czym przebił wynik samego Cristiana Ronaldo. Ponadto jest jednym z czterech piłkarzy, którzy zdobyli 13 tytułów mistrzowskich w najlepszych europejskich ligach. Należą do tego grona tylko: Ryan



Po ostatnim zwycięstwie w El Clasico Barcelona sięgnęła po 29. mistrzostwo La Ligi. Kapitan reprezentacji Polski stał się jednym z najbardziej utytułowanych piłkarzy najlepszych europejskich lig, którzy trzynastokrotnie sięgnęli po tytuły mistrzowskie w top 5 europejskich lig. Tym samym wyprzedził taką futbolową gwiazdę jak Leo Messi. Tuż po El Clasico wyjaśniła się też sprawa najbliższej przyszłości Lewandowskiego w kadrze. Napastnik przyjedzie na czerwcowe mecze kadry. Wyjaśniła się też sprawa przynależności klubowej „Lewego". W oficjalnym komunikacie na Instagramie polski napastnik wprost poinformował o swoim odejściu z katalońskiego klubu.

FOT. FOTOMAG

Giggs, Thomas Müller, Manuel Neuer i Kingsley Coman. 12 tytułów ma legenda argentyńskiej piłki Leo Messi.

„Lewy" pozostaje w kadrze

Od kilku miesięcy, szczególnie od porażki Polski w barażach do mistrzostw świata ze Szwecją, fani reprezentacji, dziennikarze, piłkarscy eksperci stawiali sobie pytanie o przyszłość napastnika Barcelony w kadrze. Sam „Lewy" po przegranych barażach nie chciał podejmować pochopnych decyzji. Po niedzielnym El Clasico potwierdził, że nie rezygnuje z występów w kadrze i na najbliższym czerwcowym zgrupowaniu chce być, również dlatego, że będzie ono szczególne ze względu na fakt oddania hołdu zmarłemu niedawno członkowi sztabu szkoleniowego reprezentacji Jackowi Magierze. Jednak nadal niejasna jest bardziej odległa przyszłość napastnika Barcy w reprezentacji.

Ostatnio o zainteresowaniu polskim napastnikiem donosiły portugalskie media. Jedna z lizbońskich telewizji twierdzi, że Polak jest na celowniku FC Porto.

Nadszedł czas, by ruszyć dalej

„Po czterech latach pełnych wyzwań i ciężkiej pracy nadszedł czas, by ruszyć dalej. Odchodzę z poczuciem, że misja została wykonana. Cztery sezony, trzy mistrzostwa. Nigdy nie zapomnę miłości, jaką obdarzyli mnie fani już od pierwszych dni" – napisał Lewandowski na Instagramie. Jeszcze kilka tygodni temu wydawało się, że Lewandowski jest bliżej pozostania w katalońskim klubie, jednak ostatnie wypowiedzi, choćby ta Hansiego Flicka, nic nie wyjaśniały. Po El Clasico trener Blaugrany powiedział: „To zbyt odległa perspektywa, aby mówić o przyszłości Lewandowskiego. W tym sezonie zostało nam jeszcze osiem meczów ligowych. (…) Mogę powiedzieć, że jestem naprawdę zadowolony z niego i ze wszystkich moich zawodników". Wiadomo, że orędownikiem pozostania Polaka w Dumie Katalonii był prezes klubu Joan Laporta. Podobno innego zdania pozostawał dyrektor sportowy Katalończyków Deco, który chciałby, aby „Lewy" odszedł. To otwierałoby mu szansę wykorzystania pieniędzy na nowe wzmocnienia. Kontrakt Roberta Lewandowskiego wygasa 30 czerwca, więc nie jest to wcale tak odległa perspektywa. Wtedy „Lewy" będzie mógł odejść z klubu mistrza Hiszpanii za darmo. Pytanie, czy na zatrzymanie Lewandowskiego może wpłynąć fakt odejścia z Dumy Katalonii konkurenta „Lewego", Ferrana Torresa. Media spekulują, że reprezentant Hiszpanii może przejść do jednego z klubów Premier League.

Ostatecznie wygląda na to, że wygrała opcja dyrektora sportowego. Kapitan Biało-Czerwonych nie powinien mieć problemów ze znalezieniem dobrego klubu. Pytanie, czy wybierze drużynę z Europy, czy na przykład skusi się na pieniądze z Major League Soccer czy jednej z lig arabskich. Ostatnio o zainteresowaniu polskim napastnikiem donosiły portugalskie media. Jedna z lizbońskich telewizji twierdzi, że Polak jest na celowniku FC Porto. Czterech kadrowiczów w klubie mistrza Portugalii – to byłoby coś wyjątkowego. Wiele wskazuje, że na razie są to tylko czyste spekulacje, choć wobec słabszej skuteczności napastników pod koniec sezonu snajper pokroju Roberta Lewandowskiego z pewnością przydałby się Smokom.

Wiadomo, że nic nie wiadomo

Serial z piłkarską przyszłością kapitana polskiej kadry dobiegł końca. „Lewy" podziękował wszystkim, szczególnie prezesowi Laporcie za to, że dał mu szansę przeżyć niesamowity rozdział w jego karierze. Jaka przyszłość czeka kapitana polskiej reprezentacji? Według ostatnich doniesień Lewandowski otrzymał propozycję od saudyjskiego Al-Hilal. Polak miałby zarabiać 90 mln euro za sezon. Pytanie, czy „Lewy" jest gotowy na przeprowadzkę do kraju arabskiego. Sceptyczny wobec życia w kraju arabskim jest Paweł Dawidowicz, który miał kontrakt w jednym z arabskich klubów, ale nie zagrał tam ani minuty, bo rozwiązał umowę. Robert Lewandowski nie doszedł do porozumienia z katalońskim klubem. Po czterech latach pełnych sukcesów odchodzi z podniesionym czołem. „Lewy" to wciąż wartościowy napastnik, który będzie chciał w klubie walczyć o najwyższe cele. Wkrótce rozpocznie się nowy serial pod hasłem: gdzie od nowego sezonu będzie grał polski napastnik. **GP**

Listy

Czy jest za późno?

Dyskusje i rozporządzenia w sprawie legalizacji homomałżeństw w Polsce to ściema, bo w tle są ogromne pieniądze, sprowadzenie imigrantów i pogonienie Amerykanów. Przejęcie złota z Banku i sprowadzenie wojsk niemieckich oraz euro. Niestety już za późno na sprzeciw. Tusk ma władzę, resorty siłowe i media.
Ryszard T.

Koniec Albionu

Premier Wielkiej Brytanii zatrzymuje protestujących przeciw nielegalnej imigracji, ale łódek z nielegalnymi imigrantami już zatrzymać nie umie. Anglia jest skończona. Mieszkam i widzę. Kiedy wychodzisz na ulice, to na 100 czarnych widać może jedną osobę o jasnej karnacji. Rdzenni Anglicy nie mają już nic do powiedzenia. To koniec wielkiego i dumnego Albionu.
Adam M.

Migranci wchodzą, lekarze wychodzą!

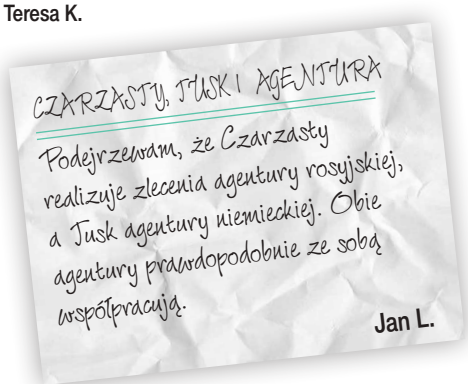
Uwaga! Pakt migracyjny wchodzi w życie już 12 czerwca 2026 roku. Z dokumentu przekazanego przez MSWiA wynika, że do końca 2025 roku podpisano umowy na realizację projektów w 7 województwach, a Centra Integracji Cudzoziemców zostały uruchomione w 18 miastach. Tymczasem szpitale bankrutują, bo nie mają pieniędzy.
Iwona B.

Gest pod publikę

Tomasz Lenz poza Koalicją, ale tak naprawdę nikt nikomu nie podpadł. Afera została ujawniona publicznie, więc oficjalnie trzeba było coś zrobić. Żadnych więcej skutków ze strony partii pan Lenz nie będzie miał. To jest pewne. Być może nawet dostanie „1" na przyszłej liście wyborczej. A Donald znowu będzie czysty jak w przypadku der SAFE.
Krzysztof K.

Dziwna zbieżność

Ilekroć uśmiechnięta patologia sprzedaje Polskę, to natychmiast wrzucany jest jakiś temat zastępczy, a wraz z nim hejt setek trolli. Tym razem hejtują nawet pracownicy ministerstw. I to w godzinach pracy!
Teresa K.



Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl



FOT. WIKIPEDIA

GAZETA POLSKA

1. 21 maja 1932 roku pierwsza kobieta na świecie przeleciała samotnie Atlantyk. Jak się nazywała?
2. Tego samego dnia, tylko w 1939 roku, Ernest Wilimowski ustanowił niepobity do dziś rekord polskiej ligi piłkarskiej w meczu Ruchu Chorzów z Union-Touring Łódź. Na czym on polegał?
3. W związku z jakim wydarzeniem 23 maja 1892 roku wściekły Jan Matejko zwrócił dyplom Honorowego Obywatela Miasta Krakowa, obiecując, że już nigdy nie wystawi w tym mieście swoich dzieł?
4. Jak nazywała się umowa zawarta przez kraje byłego ZSRS 23 maja 1992 roku w sprawie likwidacji postradzieckich składów broni jądrowej na ich terytoriach?
5. Frank Sinatra jest uznawany za najwybitniejszego amerykańskiego piosenkarza. Został odznaczony Medalem Wolności. Który prezydent tak go uhonorował?
6. „Kiedy tworzysz... nawet niebo nie jest granicą" – mawiał ten amerykański genialny muzyk. 26 maja będziemy świętować jego setne urodziny. To...

ODPOWIEDZI:
1. AMELIA MARY EARHART, 2. STRZELIŁ 10 GOLI W JEDNYM MECZU, 3. DOPROWADZIŁO DO TEGO WYSIEDLENIE W POWIETRZE KRAKOWSKIEGO KOŚCIOŁA DUCHA ŚWIĘTEGO W CELU POZYSKANIA MIEJSCA NA BUDOWĘ TEATRU IM. JULIUSZA SŁOWACKIEGO, 4. PROTOKÓŁ LIZBOŃSKI, 5. RONALD REAGAN, 6. ...MILES DAVIS

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) Marcin Wolski, historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Ewa Wójcik (kluby), Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 22 290 29 58 (wew. 1);
e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa
FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA · GAZETA POLSKA · Gazeta Polska · niezalezna.pl · NOWE PAŃSTWO · R
Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA
www.fundacjaniezaleznemedia.pl

PRENUMERATA

Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej":
rok – 460 zł, pół roku – 244 zł;
kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.

Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW
IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl



Iwona **Balcerak**
TEKST I ZDJĘCIA

Kwaśny smak dzieciństwa

Jeszcze kilkanaście lat temu rabarbar kojarzył się głównie z kompotem u babci, drożdżowym ciastem z kruszonką i początkiem lata. Dziś przeżywa kulinarny renesans. Szefowie kuchni wykorzystują go w wytrawnych sosach, cukiernicy zamieniają w eleganckie kremy i konfitury, a domowi kucharze odkrywają, że jego kwaśny smak potrafi całkowicie odmienić potrawy.

KURCZAK **Z RABARBAREM**

- 4 ćwiartki z kurczaka
- 1 łyżeczka słodkiej papryki
- 4–5 łodyg rabarbaru, najlepiej młodego
- 1/4 szklanki miodu (około 90 g)
- oliwa z oliwek
- kilka gałązek świeżego rozmarynu lub tymianku
- sól
- świeżo mielony pieprz

Rozgrzej piekarnik do 190°C i ustaw tryb góra-dół. Mięso umyj oraz osusz, podziel na pałki i udka. Następnie natrzyj solą, świeżo mielonym pieprzem oraz słodką papryką, skrop oliwą z oliwek i ułóż w naczyniu żaroodpornym skórą do góry. Staraj się nie układać kawałków jeden na drugim – pozostaw odstępy między nimi. Piecz bez przykrycia przez około 30 minut, aż skórka lekko się zrumieni. W tym czasie umyj łodygi młodego rabarbaru i pokrój je na kawałki o długości około 2,5–3 cm. Przełóż rabarbar do miski, dodaj płynny miód i dokładnie wymieszaj, po czym odstaw na kilka minut, aby puścił sok. Wyjmij naczynie z piekarnika, rozłóż rabarbar wokół kurczaka i częściowo pod mięsem. Polej całość sokiem z miodem i dodaj kilka gałązek świeżego rozmarynu lub tymianku. W razie potrzeby skrop mięso dodatkową porcją oliwy. Wstaw ponownie do piekarnika i piecz jeszcze 20–25 minut, aż kurczak mocno się zrumieni, a rabarbar zmięknie i lekko się rozpadnie, tworząc aromatyczny sos. **GP**

CZAS	**60 MINUT**
KOSZT	**25 ZŁ**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWE**
PORCJI	**4**



CZY WIESZ, ŻE...

Rabarbar znakomicie łączy się z cukrem, wanilią i cynamonem, ale równie dobrze komponuje się z truskawkami, które łagodzą jego kwaśny smak. Z tego połączenia powstają dżemy, konfitury, musy, lody i sorbety. Mus z rabarbaru świetnie sprawdza się w tartach, monoporcjach i sernikach.

Doskonale nadaje się do dań wytrawnych. Można przygotować z niego sos do kaczki, wieprzowiny czy pieczonych warzyw. Coraz częściej spotyka się chutneye rabarbarowe z imbirem i chili, podawane do serów lub grillowanych dań.

Rabarbar lubi kardamon, anyż, goździki i imbir, równie ciekawie smakuje z pieprzem, rozmarynem czy octem balsamicznym.

Jadalne są jego mięsiste ogonki liściowe, najczęściej czerwone lub zielonkawe. Liści nie wolno spożywać, ponieważ zawierają duże ilości kwasu szczawiowego. Zbyt długo gotowany, traci kolor i staje się włóknisty. Najlepiej dusić go krótko lub piec przez kilka minut.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl



OKONIEM

Katarzyna
Gójska
albicla.com/KatarzynaGojska

Bandytokracja

Gdy oddajemy to wydanie „Gazety Polskiej” do druku, mamy już doświadczenie kilkunastu sytuacji, w których służby podejmowały działania wobec siedziby Telewizji Republika lub jej dziennikarzy oraz redakcji naszego tygodnika. Za każdym razem wszystko odbywało się wedle tego samego schematu: pojawiała się policja (niekiedy w towarzystwie straży pożarnej lub ratowników medycznych) i poszukiwała w lokalach bądź prywatnych mieszkaniach wysadzających się samobójców czy ludzi, którzy już odebrali sobie życie. Kompletny absurd, którego sama policja nie traktowała poważnie, działał jak nękanie, straszył przebywające w domach dzieci, budował atmosferę grozy. Nie wiem, czy informacje, które miały dać podstawę tym interwencjom, rzeczywiście istniały, czy też nie, a jeśli istniały, to kto był ich adresatem. Jednak mam pewność co do jednego: gdyby intencje rządu w tej sprawie były uczciwe i zgodne z interesem publicznym, to sprawa byłaby klarownie komunikowana, służby podjęłyby współpracę z Republiką, a przebieg ewentualnych interwencji byłby pozbawiony agresji i przemocy. Jest dokładnie odwrotnie – służby państwa dezinformują w tej sprawie, ukrywają dokumenty lub udają, że nie wiedzą, o co chodzi. Zatem albo koalicja 13 grudnia sama preparuje fałszywe i absurdalne zgłoszenia, by wykorzystywać je do próby legitymizacji szykan wobec znienawidzonego medium, albo korzysta z ataku hybrydowego o wschodnim rodowodzie, który wycelowany jest w największą i antyrosyjską stację informacyjną w Polsce, stojącą na straży relacji transatlantyckich, i na tej podstawie stara się szykować grunt pod sparaliżowanie pracy Republiki. Dziś nie wiemy, który scenariusz jest rzeczywiście w grze, jednak oba oznaczają przejście kryptodyktatury Tuska na nowy poziom agresji cenzorskiej. Jeśli sami tworzą fałszywki i na ich podstawie rozkręcają akcje interwencji, to mamy do czynienia z systemem, który zasługuje na określenie „bandytokracja”. Ale bandytokracją będzie również scenariusz opisany powyżej jako drugi – jeśli ekipa Tuska przyłącza się do jakiejś ruskiej akcji przeciw Republice, to działa skrajnie bezprawnie i uderza w interes oraz bezpieczeństwo Polski. Tusk nieraz podejmował współpracę z Rosjanami. Jego ludzie knuli z putinowcami przeciwko prezydentowi Kaczyńskiemu, w ostatniej kampanii wyborczej to środowisko polityczne podchwyciło kolportowane przez Kreml wulgarne hasło uderzające w Prawo i Sprawiedliwość i uczyniło je mottem swojej aktywności politycznej. Jedno jest jednak pewne – bez względu na korzenie tego zjawiska ma ono na celu pogłębienie destrukcji demokracji w Polsce i siłową zmianę ustroju w naszej ojczyźnie. Jeśli ulegniemy, to za jakiś czas bandytokracja stanie się naszą codziennością. **GP**

Jeśli ekipa Tuska przyłącza się do jakiejś ruskiej akcji przeciw Republice, to działa skrajnie bezprawnie i uderza w interes oraz bezpieczeństwo Polski.

MIESIĘCZNIK
„NOWE PAŃSTWO”

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!

Zamów na www.prenumerata.swsmedia.pl
i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!



Prenumerata roczna ELEKTRONICZNA **99 PLN**

Prenumerata roczna PAPIEROWA **155 PLN**

Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net
WEJDŹ / prenumerata.swsmedia.pl DANE DO PRZELEWU / **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**
ADRES / Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.



www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA